ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XV.—OGÓLNEGO ZBIORU TOM LVII.

TOM I.—ZESZYT I.

Styczeń.

1890
1

WARSZAWA.

1890.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Druk ukończono dnia 24 Stycznia 1890 r.

ATENEUM

PISMO MIESIĘCZNE

NAUKOWE I LITERACKIE.

PIĘTNASTY ROK ISTNIENIA.

Prospekt na r. 1890.

Są społeczności, gdzie czytanie ogólniejszych pism peryodycznych, poświęconych nauce i literaturze, stało się potrzebą powszednią. Są społeczności, gdzie czytelników takich pism nieprzeliczone znajdują się zastępy. Nasze społeczeństwo, niestety, do rzędu podobnych jeszcze nie należy. Gdzieindziéj pisma miesięczne, raz stworzone, stają na niewzruszonéj podwalinie. U nas podstawy ich często się chwieją. Dłużej niż chwile przypływu, trwają u nas godziny odpływu: stąd też zabiegi i prace osiadają na mieliźnie. Ani nas to dziwi, ani zniechęca, choć powodu do radości nie daje.

Wszakże niezrażeni tém, że nasz czytający ogół tłumnie się nie garnie do przybytku, jakim dla nauki i literatury u nas usiłuje być „Ateneum," ustępować bynajmniej nie zamierzamy ze stanowiska raz zajętego. Spełniamy obowiązek służby względem ogniska, któreśmy sami przed laty wzniecili. Właśnie piętnasty rok rozpoczynamy naszéj działalności. Ufamy, że tak wytrwale, z niemałą ofiarą grosza czyniąc to, co zdało nam się być naszą powinnością, pobudzimy innych do uiszczenia się poniekąd z długu względem pracy, prowadzonéj wśród znoju i trudu nie dla zysku, ani dla poklasku.

Przewodniéj myśli, która dotychczas kierowała naszém pismem, i nadal bez zmiany wiernemi pozostać zamierzamy. Stanęliśmy u steru nie jako początkujący, ale z zasobem doświadczenia naukowego i życiowego; po tylu zaś latach pracy na tym samym zagonie, chyba pewniejszą jeszcze ręką, nie zmieniając dróg i celów, prowadzić możemy łódź naszę do wytkniętéj mety. Na wysokości wiedzy współczesnéj, „Ateneum“ zawsze pragnęło utrzymać swych czytelników. Jeżeli niekiedy grzeszyło zbytnią powagą, to może dlatego, iż nie chciało podsycać dość powszechnéj u nas skłonności do powierzchownego dyletantyzmu. Tam, gdzie fale łatwo unoszą okręt na płytką wodę, nie bywa zbytecznym ciężar, który bieg statku pogłębia. Słusznym jednak wymaganiom przystępniejszego wykładu i powabniejszej formy pismo nasze nadal według sił zadość czynić będzie.

Z szerokiego i urozmaiconego swego programatu „Ateneum“ nie wyłącza żadnej gałęzi wiedzy, któréj rozwój obchodzić może każdego ogólnie wykształconego człowieka. Zarówno postęp nauk, poświęconych zgłębianiu zjawisk duchowych, jak rozwój umiejętności, które świat przyrody badają, znajdować będzie właściwe odbicie w łamach naszego pisma. Nie hołdując wyłącznie krańcowym teoryom, do których prowadzi wrażliwe umysły jednostronność wykształcenia, „Ateneum“ widzi normę rozumnego postępu w spokojném, rozważném i wszechstronném badaniu i ocenianiu zarówno zjawisk przyrody, jak i zjawisk duchowych.

Sprawom społecznym zamierza Redakcya „Ateneum“ pilniejszą, niż dotąd, poświęcić uwagę, pragnąc ściśléj zespolić pismo swoje z potrzebami współczesnéj chwili. Zabierać więc będzie głos we wszystkich rzeczach, które żywiéj ogół nasz obchodzić mogą; ale nie dla tego, żeby sprowadzać rozstrój, lecz owszem, żeby różne głosy do harmonijnego dostrajać tonu. „Ateneum“ nie traci z uwagi téj okoliczności, że harmonią stanowi nie jeden tylko głos wyłącznie, lecz cała skala słabszych i silniejszych tonów. W układzie społecznym, kierowanym rozumną zasadą, słabsze żywioły otaczać należy tarczą troskliwéj opieki mocniejszych. „Ateneum“ nie podziela tych fałszywych uogólnień, które na grunt życia społecznego przenoszą zasadę, iż dla wątłych i osłabionych nie masz miejsca przy stole biesiadującéj ludzkości. Po nad prawami, które rządzą naturą, panują inne potęgi moralne wyższego rzędu.

Redakcya potrafiła w ciągu czternastoletniego istnienia „Ateneum“ zgromadzić około swéj przewodniéj myśli najdziel-

niejsze siły polskie naukowe i literackie. Jéj dążności w zakresie programatu społecznego odzywały się głośném echem w kołach naszéj inteligencyi. Mamy to głębokie przekonanie, że z zastępem dawnych i nowych pracowników zdołamy wywiązać się należycie z podjętego zadania. Ufamy też zarazem, że do dalszego skutecznego oraz owocnego rozwoju działalności „Ateneum“ dopomogą nam liczni czytelnicy, którzy szczerze i gorąco ukochali sprawy naszego postępu.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **„Ateneum“** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs. 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI „ATENEUM.“ Obożna, 5.

UWAGA. **Redakcya „Ateneum“** po porozumieniu się z wydawcami uzyskała dla swoich prenumeratorów znaczne obniżenie cen kilku dzieł, pierwszorzędnéj wartości, które mogą być pojedyńczo nabywane za uiszczeniem należności.

Macaulay'a, **Dzieje Anglii** w 10-ciu tomach. Zam. rs. 7, cena zniżona rs. 3, z przesyłką rs. 4 kop. 50.

Zeissberga, **Dziejopisarstwo polskie wieków średnich**. Tomów 2. Zam. rs. 4, zniżona cena rs. 2, z przesyłką rs. 2 kop. 30.

Bain'a, **Logika.** (Przekład z angiel.). Tomów 2. Zam. rs. 5, zniżona cena rs. 2 kop. 50, z przesyłką rs. 3.

Matuszewicza, **Pamiętniki z czasów Augusta III-go i Stanisława Augusta.** Tomów 4. Zam. rs. 4 kop. 50, zniżona cena 2 rs., z przesyłką rs. 2 kop. 60.

Załęskiego, **Statystyka Królestwa Polskiego**, zam. rs. 2, zniżona cena 1 rs., z przesyłką rs. 1 kop. 25.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści spółczesnéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz współczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Wydawca *W. Spasowicz.* Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Декабря 1889 г.
Druk Jana Cotty, Senatorska, Nr. 29.



MIESZCZAŃSTWA
ZNACZENIE I POTĘGA.

Przed miesiącem jeden z historyków pokazywał nam niezmiernie ciekawe dokumenta z końca XVI-go wieku, odpisane z akt radzieckich Olkusza. Były to wyciągi z inwentarzy, spisanych po śmierci czterech obywateli tego niegdyś zamożnego, dziś tak bardzo upadłego miasta. Wyciągi te obejmowały tylko spis książek, znalezionych po każdym z owych czterech mieszczan olkuskich. Pierwsze miejsce ze względu na datę zajmuje spis ksiąg, znalezionych w sklepiku (zapewne w piwniczce), dokonany w 1555 r. na żądanie Reginy Hallerowéj, wdowy, a będących własnością zmarłego jéj męża, rajcy miasta Olkusza. Spis ten obejmuje kilkadziesiąt woluminów. Tytułów nie podajemy, bo te z naszym przedmiotem i celem nie mają nic wspólnego; zaznaczymy tylko, że owe tytuły świadczą, iż rajca Haller musiał być naukowo wykształconym i poważne księgi lubiącym wertować człowiekiem. Drugi inwentarz z 1582 r. po Kasprze Waśniowie, obejmuje tak znaczną liczbę ksiąg i takiéj rozmaitości, iż ten zbiór mógł na owe czasy stanowić istotną bibliotekę. Trzeci spis, utrzymywany od 1591 do 1598 r. przez innego mieszczanina olkuskiego jest mniéj liczny, świadczy jednak dobrze o poważnym kierunku umysłowym zbieracza i o troskliwéj nad sobą pracy. — Najwięcéj jednak zastanowił i zbudował nas inwentarz w 1585 r. spisany po Jerzym Szylkrze. Dowiadujemy się z niego, że po owym zacnym mieszczaninie olkuskim znaleziono „cztery skrzynie zielone,“ napełnione księgami, których długi katalog przebiegliśmy. Cytujemy z niego tylko kilka tytułów, które nas najwięcéj uderzyły i które na każdym zrobią z pewnością takież same, jak na nas wrażenie. W owych tedy czterech zielonych skrzyniach znajdowały się np. *Homeri opera omnia latine et graece*, Tucydydes, Xenofont, Kodex Justyniana, *Statuta Regni Poloniae* Przyłuskiego, etc.

Więc przed trzystu laty w Olkuszu, dziś ubożuchnéj mieścinie, znajdował się człowiek, który nie z obowiązków jakiegoś naukowego, akademickiego powołania, wczytywał się w niezrównane piękności Homera, zagłębiał się z Ksenofontem w Sokratesa filozoficzną mądrość, albo podziwiał geniusz wielkiego wodza, prowadzącego odwrót 10,000 greków z pod Kunaxy i gromiącego gnające za nim hordy wielkiego króla. Więc na tym partykularzu jakiś łyk olkuski, że użyjemy tego dziś zwyczajnego pogardliwego wyrażenia, porównywał *Kodexa* Justyniana z statutami Jagiellońskiéj Polski, a warcholstwo demagogii ateńskiéj przez Tucydydesa zaznaczane, z pierwszemi objawami warcholstwa i anarchiczności podjudzanego przez możnowładzców polskiego szlacheckiego gminu.

Jeżeli sławetny właściciel czterech zielonych skrzyń, podobnemi księgami napełnionych, posiadał tyleż bystrości politycznéj i krytycznego rozumu, ile mógł mieć erudycyi, jeżeli swego mieszczańskiego stanu ważność dla kraju dobrze pojmował, jakże bolesne mógł już wówczas przebywać w rozmyślaniach godziny. Wprawdzie wobec świetności i potęgi jagiellońskiéj i batorowskiéj Polski, nie mógł przewidywać, że za jakie lat sześćdziesiąt nastąpi ów straszny za Jana Kazimierza potop, zdrady i ambicya możnowładzców, anarchia, bezrząd, rozkład i ów zatruty owoc złotéj wolności szlacheckiéj, owo *liberum veto*, wprowadzone po raz pierwszy w polityczne życie narodu, na rozkaz Radziwiłłów przez ich najemnika Sicińskiego z Upity. Ale zacny mieszczanin olkuski znał już wojnę kokoszą, Zygmuntowskie kłopoty, pierwsze elekcye królów, dowody nieokiełznanéj pychy i ambicyi ze strony Zborowskich, Górków i innych bliższych lub dalszych rodzących się królewiąt. Widział zresztą, i to z pewnością, coraz dotkliwsze ograniczanie najsłuszniejszych praw mieszczaństwa na korzyść przewagi i politycznéj i ekonomicznéj szlacheckiego gminu. Utracenie zaś tych praw, a przynajmniéj sprowadzenie mieszczaństwa do zupełnéj bezsilności i ubóstwa, następny wiek, jego straszne klęski i wzrastająca w kraju ciemnota ostatecznie przeprowadzić miał, ku całego ogółu i wszystkich jego stanów czy klas powszechnéj zagubie.

Historyk, który nam te inwentarze pokazywał, nie jest zwyczajnym szperaczem, prostym odkrywcą ciekawych dokumentów. Dla niego dokumenta żyją i o życiu mówią. Ostrożniejszy od nas, nie oswojonych z podobnemi badaniami, może z owych inwentarzy olkuskich nie wyprowadziłby on tak daleko sięgających wniosków, jak my naszkicowaliśmy. Rozwaga i krytyka zawodowa trzyma u niego imaginacyą i zbytnią lotność myśli nieco hamuje. To jednak nie krępuje ani szero-

kości jego poglądów, ani głębokości i śmiałości wniosków. Na podstawie tych inwentarzy wywiązała się więc rozmowa na temata: o roli mieszczaństwa w naszéj historyi, o niezmiernéj a widocznéj w dziejach łączności tego stanu z pomyślnością i potęgą kraju, pomimo wszelakich tego mieszczaństwa w XIV-ym wieku i wcześniéj przeciwnarodowych cząstkowych zamachów, które się i późniéj w XVI-ym wieku w miastach pruskich ponawiały. Przyznając te stare, dawno zapomniane grzechy, doszliśmy jednak w rozmowie do przekonania, że, jak tylko kraj posiadał rząd silny, odpowiednio do epoki umiejący utrzymywać ład w państwie i prawo, a nie pozwalający na rozwielmożenie się anarchicznego egoizmu jednego stanu, czy jednéj klasy, mieszczaństwo u nas stawało się silne, zamożne i poważane. Zaczynając od Kazimierza Wielkiego, bośmy się daléj w tył nie cofali, przeszedłszy epokę Jagiellonów i Wazów, doszliśmy do wniosku, że z wzrostem rozkładu politycznego w kraju marniało także mieszczaństwo u nas, i że ten jego upadek oddziaływał wzajem na ów rozkład i powiększał jego rozmiary. Tak w organizmie człowieczym, choroba i zamieranie jednego poważnego organu sprowadza śmierć całego organizmu.

Od tych wywodów miejscowych, cofnęliśmy się daleko w tył w inne powszechniejsze sfery historyi, szukając śladów działalności dziejowéj miast i mieszczaństwa, a porównywając ją z śladami działalności innych stanów i czynników dziejowych w różnych epokach, śledząc to, co owe miasta zrobiły, co po nich pozostało, jakie było ich życie i o ile jeszcze na nasze dzisiejsze życie, na nasze idee, na naszę cywilizacyą, na nasze nawet w pewnych dziedzinach poglądy (Estetyka np.) oddziaływają. Przedewszystkiém schyliliśmy czoło przed tym grodem Pallady, przed Atenami, przed tém miastem wybraném ponad inne, które, licząc zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy obywateli, od przeszło dwóch tysięcy lat odgrywało rolę podziwianéj, ciągle przyświecającéj, a niekiedy przewodniéj gwiazdy, wiecznie jako miasto i jako mieszczaństwo zbiorowo wzięte, nie jako państwo zaborcze i rząd przebiegły występując.

Zawadziliśmy o Rzym, o owe *urbs*, owo także miasto nad miastami, które świat podbiło i shołdowało, które jednak pomimo swego ogromu dziejowego, zatrzymało nas krócéj, aniżeli Ateny. Bo w Rzymie więcéj ciągle się ma do czynienia z państwem aniżeli z miastem, z władzą więcéj aniżeli z ludem, z gminem a nawet motłochem, przez wielką arystokracyą rodową prowadzonym, więcéj aniżeli z samodzielném, zamożném, subtelnie wykształconém i kształcącém mieszczaństwém. Wielki i wspaniały, a niezmiernie w swém bogactwie rozmaity spadek zostawił po sobie Rzym; ale zostawił jéj więcéj jako mocarstwo po-

wszechne, z setki narodów w trzech częściach świata złożone, a scentralizowane nad brzegami Tybru, aniżeli jako miasto, więcéj jako rząd albo raczéj rządy, aniżeli jako mieszczaństwo samo w sobie.

Ale z jego nauk korzystając, gdy barbarzyńska pomroka, wędrówką narodów sprowadzona, rozjaśniać się zaczynała w wieku X-ym i XI-ym naszéj ery, na ruinach państwa staréj Romy, wzrastać zaczęły owe miasta włoskie, występujące jako małe rzeczypospolite, których czysto mieszczańskiego żywota ślady dziś wszyscy oglądamy, podziwiając siły ich ducha, ich pracowitość, geniusz, niesłychane zasoby ich energii, która im pozwoliła, pomimo ciągłych wojen domowych i postronnych, pomimo rewolucyi, zmian, upadków, zostawić po sobie tyle i takich pomników wszelakiego rodzaju. Któryś z niemców powiedział, że w jednym łokciu kwadratowym rzymskiego *forum*, czyli dzisiejszego *Campo Vacino*, więcéj tkwi dziejów ludzkości, aniżeli w tysiącach kwadratowych mil nie jednego z dzisiejszych wielkich państw Europy. Toż samo możnaby powiedzieć nietylko o Atenach, ale nawet o takich miastach włoskich, jak Florencya, Genua, Sienna, Piza, jak miasta lombardzkie, jak cały szereg innych, jak zwłaszcza owa Wenecya, wyrosła na błocie laguny, która dziś olśniewa każdego cudnością i bogactwem swych pomników, a więcéj jeszcze czynami swemi i znaczeniem w dziejach ludzkości zdumiewa tych, co się z jéj historyą mogli cokolwiek obeznać. To miasto, które przez czas jakiś było państwem bardzo potężném i w losach Europy nader ważną odgrywało rolę, pomimo wyrodzenia się w niém wielkiéj dziedzicznéj arystokracyi, zachowało jednak przez czternaście wieków, aż do końca, w swych instytucyach pewien charakter mieszczański. Charakter ten odbił się nawet w niektórych postanowieniach rządowych i prawodawczych po 1780 r., mających na celu ratunek państwa, którego ruina była widoczną i upadek konieczny.

Miasta i dawne mieszczaństwo włoskie pozostaną na wieki jednym z najświetniejszych wzorów. Im głównie Włochy winny swą cywilizacyą, wykształcenie swego języka, swe przodownictwo w sztuce wszelakiej, swe bogactwo, późniéj roztrwonione, gdy mieszczaństwa znaczenie i siła upadła. Sztukom wprawdzie i naukom nie brakowało protektorów bardzo wysokich i potężnych z innéj sfery; ale, by ci protektorowie, czy to późniejsi książęta, czy papieże, mieli kogo protegować, nad tém pracowało tylko mieszczaństwo, z którego energicznych lędźwi wyszło tyle i takich geniuszów i talentów. Gdy mieszczaństwo zmarniało i skarłowaciało, owi wysocy protektorowie zostali; ale zabrakło talentów do protegowania.

Niezmiernie pouczającém jest rozwijanie się mieszczaństwa we

Francyi. Z upadkiem zachodniego cesarstwa rzymskiego, wytwarzanie się drobnych związków ludzi wolnych, czyli gmin pod osłoną zamku baronów feodalnych, stało się początkiem mieszczaństwa, którego podstawą, tak jak wszędzie były wolność i praca. Jakkolwiek w południowéj Francyi pozostały jeszcze wspomnienia i niby tradycye starych municypiów rzymskich (w północnéj części innym rzeczy szły porządkiem) początki były bardzo ciężkie. Był to krwawy poród w walce nieustannéj z barbarzyńskiemi i drapieżnemi panami feudalnemi. Gminy owe, skutkiem tych walk ciągłych, stały się jakby obozem na pół cywilnym i pracy oddanym, na pół wojennym i w każdéj chwili do walki gotowym. Dopiero w X-ém stuleciu zaczyna się nieco spokojniejszy dla nich żywot. W XII-ém stuleciu mieszczaństwo już wywalczyło sobie znaczenie. Staje się ono siłą, na któréj królowie Francyi opierają się w swéj walce z feudalnemi swemi wasalami. Wówczas to z łona mieszczaństwa francuskiego występują owi legiści, czyli uczeni w prawodawstwie rzymskiém i kanoniczném prawnicy, którzy od XIII-go do XV-go wieku odgrywają rolę podobną do téj, jaką w w. XVIII-ym odgrywali filozofowie. Ci legiści, mieszczanie, byli głównymi doradzcami królów. Oni to już w dekretach Filipa Pięknego, albo Ludwika Dumnego, zamieszczali takie np. zdania: „Każde stworzenie jest wolném (*franche*) na mocy prawa naturalnego,“ albo: „Każdy chrześcianin jest równie odkupiony krwią Pana naszego Jezusa Chrystusa.“ Poprzednio krucyaty bardzo podniosły siłę mieszczaństwa, rujnując pieniężnie szlachtę feodalną, a bogacąc mieszczaństwo przez otwarcie nowych dróg handlowych. Za Filipa Pięknego już najwyżsi przedstawiciele mieszczaństwa wpływem i znaczeniem równali się szlachcie. Przy swobodzie, jaką zapewnia bogactwo, mieszczaństwo to zdobywało sobie światło, ukształcenie, naukę, w któréj zaczęło współzawodniczyć z duchowieństwem. Filip sprzedawał urzędy, co zresztą było powszechnym zwyczajem, mieszczaństwo je kupowało i za pomocą parlamentów, wyszłych z jego łona, stało się stróżem prawa. Organizacya korporacyi przez Ludwika Świętego wzmocniła je niezmiernie. Rzemieślnicy i robotnicy miejscy, skupieni i zjednoczeni, wytworzyli siłę zdolną stawiać czynny opór uciskowi i gwałtowi. „Jak tylko mieszczaństwo francuskie, — pisze jeden z jego historyków, — przestało ograniczać się na oporze przeciw naciskom i uciskom zewnątrz, objawiła się w niém wielka siła rozrostu. Od drugiéj połowy XIV-go stulecia mnożą się objawy dążeń do równości, do zastosowań prawa powszechnego. Pod względem prawa cywilnego mieszczaństwo, ulegając wpływom prawa rzymskiego, odróżniało się zupełnie od szlachty ziemskiéj. Zaprowadziło ono w swym stanie podział majątków

ojczystych i macierzystych, ruchomych i nieruchomych pomiędzy dzieci, uznawało równość podziałową braci i sióstr, i wspólność majątkową małżonków, co do mienia zarobionego przez czas małżeństwa.“ Szlachta ziemska aż do końca, to jest do wielkiéj rewolucyi, żyła pod systemem majoratów, fideikomisów, ograniczenia prawa spadkowego córek etc.

Od r. 1484-go w sejmach francuskich (*Etats generaux*), mieszczaństwo francuskie jako stan trzeci (*tiers etat*) zaczyna robić przedstawienia królom, ze względu na marnotrawstwo grosza publicznego, domagać się oszczędności, poprawy obowiązujących praw i uczciwego ich wykonania. Te przedstawienia i wymagania wzrastają w sile i nacisku aż do czasów, kiedy Ludwik XIV z sejmami owemi skończył i zwoływać je zaprzestał. Parlamenty jednak, wyszłe z mieszczaństwa, od czasu do czasu zdobywały się na przedstawienia, a nawet na stosunkowo wytrwałą opozycyą. Mieszczaństwo i bez tego rosło w siłę. Ludwik XIV-ty, który siebie tytułował pierwszym szlachcicem Francyi, bezwiednie pracował dla mieszczaństwa i jego przewagę przygotowywał. Największy z jego ministrów i najsławniejszy, Colbert, był mieszczaninem. Po długich i ciężkich walkach praca odnosiła przez niego zwycięstwo nad nadętém, chociaż gładkiém, próżniactwem. Jakkolwiek sławny obrońca arystokracyi, książę de St. Simon, oburzając się na to, nazywał w swych pamiętnikach panowanie Ludwika XIV-go „panowaniem podłego (*vile*) mieszczaństwa,“ już wówczas przewidywano, że pracę czeka władza i zaszczyty, a pogarda padnie na gnuśność i lenistwo. Już za czasów Ludwika XIV-go prawie wszyscy urzędnicy korony istotnie czynni, nawet najwyżsi (intendenci prowincyi), byli brani z sfer mieszczańskich, bo na tych urzędach trzeba było pracować i umieć pracować.

Przez trzy panowania Ludwików XIV-go, XV-go i XVI-go mieszczaństwo wzrastało ciągle w rzeczywistą siłę, znaczenie, powagę, a zwłaszcza wpływ na lud. Jeżeli lat temu właśnie sto Sieyès w swéj sławnéj broszurze napisał, że stan trzeci jest niczém, kiedy powinien być wszystkiém, chodziło mu o to, by ów *Tiers Etat* nietylko prawnie i formalnie został równy dwu drugim stanom (duchowieństwo i szlachta), ale by te dwa stany w owym trzecim roztopiły się, by w ten sposób *tiers etat* stał się wszystkiém i całą ogarnął Francyą. Wiadomo, że téj teoryi stało się zadość. Napoleon I-szy przeprowadzenie jéj uporządkował i oparł jéj stosowanie na podstawach tak niewzruszonych, że dotąd żadne rewolucye wstrząsnąć niemi nie mogły. Z Ludwikiem Filipem mieszczaństwo stało się klasą rządzącą. Nie potrzebowało piąć się wyżéj, owładnęło wszystkiém. Miało za sobą rozum, pracę, bogactwo, władzę polityczną, talenta wszelkie, energią i poparcie nau-

kowych teoryi. Tu jednak w historyi mieszczaństwa francuskiego zaczyna się zwrot nowy. W 1848-ym r. występuje jako siła na pół zorganizowana stan czwarty, któremu druga rzeczpospolita, a następnie drugie cesarstwo i trzecia rzeczpospolita dała w rękę bardzo potężny oręż polityczny, głosowanie powszechne. Ta nowa ewolucya jednak nie może nas w téj chwili zajmować; założeniem tego artykułu bowiem jest tylko wykazanie wzrostu i potęgi mieszczaństwa. Chodzi nam o zaznaczenie jego walk dawnych, jego postępowych zdobyczy, jego tryumfów; może kiedyś będziemy mogli powiedzieć coś o obowiązkach, jakie na tych zwycięzców z samego tryumfu spływają, a których zaniedbanie stać się może przyczyną ich upadku a wielkich dla ogółu klęsk. Zadośćuczynienie obowiązkom jest jedynym środkiem, by tryumfujące mieszczaństwo, zamknąwszy się samo w sobie i w swym stanowym egoizmie, nie podzieliło losu tylu innych arystokracyi, znanych w dziejach od dwudziestu czterech stuleci. Mogą to być rzeczy bardzo jeszcze dalekie; ale ostrzeżenia historyi są pod tym względem nieomylne, a wyroki jéj srogie dla tych, co z doświadczenia dziejów korzystać nie umieją.

Pozostają nam jeszcze dwa wielkie, i z wspaniałą historyą, mieszczaństwa: niemieckie i niderlandzkie, o tych jednak na teraz tylko pobieżnie wspomnieć możemy, zmuszeni się ograniczać. Historya mieszczaństwa angielskiego, które dziś przez parlament wielko-brytański rządzi losami państwa największego na świecie, oraz mieszczaństwa północno-amerykańskiego, które się powoli zabiera do kierowania losami największéj z pięciu części świata, rozwijało się na nieco innych podstawach, aniżeli historya mieszczaństw kontynentalnych.

W Niemczech rozwój mieszczaństwa był początkowo nieco różny od francuskiego; podstawy wszakże i cele były też same. Podbój rzymski nie zostawił tu za Renem takich tradycyi, jak w Galii. Germanowie pierwotni mieli wstręt do miast; uważali je za niebezpieczne dla ich wolności. Ale w wiekach średnich z potrzeb i wypadków w sposób bardzo naturalny utworzyło się wiele miast nowych, obok owych staro-rzymskich około Renu i od południa. Około X-go stulecia zaczął się i tam wytwarzać osobny stan mieszczan (*Bürger*, dawniéj *Burger*, po łacinie *Burgenses* od *Burgu* czyli grodu). Mieszkańcy tych grodów dla obrony swéj wolności, dla zabezpieczenia swéj pracy, łączyli się w gminy i korporacye, uorganizowane zbrojnie dla obrony życia, spokoju i mienia. Każdy urodzony w gminie lub do niéj przyjęty był wolnym człowiekiem, chociażby był zbiegiem i niewolnikiem, czyli poddanym, sąsiedniego pana feodalnego. W wielu ustawach miejskich, jak powiada Bluntschli, wstawiano wyraźnie to piękne zdanie:

„Powietrze miasta robi wolnym.“ Do końca XVII-go wieku te miasta i to mieszczaństwo wzrastały ciągle przez pracę, ład, energią, talent, wykształcenie, naukę. Miasta cesarskie (*Reichsstädte*) stały się samodzielnemi rzeczpospolitemi, z osobném w sejmie rzeszy przedstawicielstwem w tak zwaném kolegium ław miejskich, oddzieloném od zebrania książąt i panów. Przyzwolenie téj ławy miejskiéj konieczném było do wydania ogólnie całe cesarstwo obowiązujących praw. W terytoryach miasta krajowe podobny w sejmach udział miały, a bez ich przyzwolenia nowe podatki nie mogły być nakładane. Wszędzie mieszczaństwo występowało, jako stan zamknięty, obok rycerstwa. Wojna trzydziestoletnia (1618—1648) zniszczyła bogactwo miast, a z niém i polityczne ich znaczenie. Sejm cesarstwa stracił powagę. Sejmy krajowe nie były zwoływane, albo tylko dla formy. Wśród téj powszechnéj ruiny utrzymał się jeno nieograniczony despotyzm książąt. Mieszczaństwo jednak znowu dawnemi drogami wyrabiać się zaczęło z tego upadku. Przychodziło to z trudem, ale w końcu w. XVIII już było ono gotowém do przyjęcia nowych idei, a przez ostatnie lat sto po rozmaitych przejściach, doszło znowu do znaczenia i potęgi, która je robi pierwszym i najważniejszym z czynników państwowych, a pomimo rozmaitych oporów i przeciwnych usiłowań wpływ jego wzrasta raczéj, aniżeli maleje. Całe wykształcenie narodu niemieckiego otrzymało już dawno charakter mieszczański, w miejsce przeważającego do XVII-go wieku charakteru arystokratycznego. W życiu téż towarzyskiém także mieszczańskie przemagają formy.

Jakkolwiek na małéj działając przestrzeni i liczbą nie wielkie, historyą jednak swoją, po weneckiém, może najwyższe zajmuje miejsce mieszczaństwo holenderskie. Bohatérstwem w obronie wolności swojéj i kraju równa się ono weneckiemu, rozumem praktycznym przewyższając je, bo do téj pory kraj ten, po niezliczonych a srogich przejściach, swą niezależność zachował. I tu spotykamy także walkę z morzem, ale jakże kolosalną i jak nieustającą. Holandya jest krajem zdobytym na oceanie, który ciągle jéj grozi i który ciągle odpieranym być musi. I tu spotykamy w XVII-ym w. razem ze zdobytą wolnością kolosalny rozwój sztuki (malarstwa), niezrównane dla nauki poświęcenia, tysiące ludzi z tego mieszczaństwa wyszłych, a sławę i zasługi posiadających ogólno-światowe. I ten kraik mały, przez pracę, rozum, wytrwałość, patryotyzm i dzielność swego mieszczaństwa, które mu dostarczało równie znakomitych kupców, jak wielkich wodzów i admirałów, przez czas jakiś odgrywało rolę prawie wielkiego mocarstwa, łamało potęgę hiszpańską, nie ulękło się Ludwika XIV-go napaści, flotami swemi zagrażało Londynowi. Gdy zaś w XVII-ym wieku ta

świetna chwila minęła, mieszczaństwo holenderskie stało się bankierem całéj Europy, do którego drzwi pokornie najwięksi stukali potentaci. Historya Holandyi jest głównie historyą jéj miast i mieszczaństwa; daje ona wszystkim wielkie nauki tak ze względu na wysokie mieszczaństwa przymioty, jak i na wady, ujawniające się zwłaszcza, gdy staje się klasą wyłącznie kierującą.

A teraz na zakończenie o naszém mieszczaństwie, kilka słów tylko. By losy jego opowiedzieć, by jego siły i wzrost wykazać, by jego roboty i zasługi ocenić, na to nie wystarcza ogólno-szkicowy artykuł. Na to potrzeba olbrzymiego dzieła, długiéj i sumiennéj pracy, téj zaś może się tylko podjąć albo historyk, który nam owe inwentarze olkuskie wykazywał, albo inny jego kolega, podobnie jak tamten umiejący wysnuć obrazy życia z martwych dla każdego innego cyfr, czy innych suchych dokumentów, które dla niego są niby pulsacyą, siły życia miarę dającą. Tutaj jedynie powiemy, że mieszczaństwo nasze jak się powoli temiż samemi ideami co inne wznosiło, tak prawie z podobnych powodów i prawie w tymże czasie, jak inne sąsiednie, upadło, by następnie także prawie jednocześnie z niemi powoli się podnosić. W Niemczech upadek ich potężnego mieszczaństwa datuje się od wojny trzydziestoletniéj. U nas wprawdzie mieszczaństwo nigdy nie miało takiéj potęgi, warunki krajowe ułożyły się inaczéj, było jednak już w końcu XVI wieku bardzo poważnym w życiu krajowém czynnikiem. Klęski panowania Jana Kazimierza, błędne pojęcia ekonomiczne i rozkład polityczno-społeczny, jaki po owych klęskach nastąpił, podcięły ten, już poważny, zarodek miejscowego mieszczaństwa. Usług, jakie ono oddawać miało i mogło, podjęły się inne żywioły, bądź całkiem obce, bądź miejscowe wprawdzie, ale pomimo przebiegłości swéj i sprytu, nie posiadające naówczas warunków do wytworzenia poważnego i szacunek nakazującego mieszczaństwa. Żywioły te umiały prowadzić handel ale przekupniarski głównie, i stłumiły żywotność poważnego u nas mieszczaństwa. Pomagały im do tego przeróżne polityczne przesądy i fanaberye. Dopiéro w końcu XVIII-go stulecia zaczęto rozumiéć niebezpieczeństwo, widząc upadek miast, ich wyludnienie, ich bezsilność. Zaczęto się krzątać nad podniesieniem stanu mieszczańskiego. Było już zapóźno, by jakieś ważniejsze faktyczne osiągnąć wyniki. Robota była zresztą zbyt improwizowana. Ale nie zapominano odtąd już o konieczności wytworzenia silnego mieszczaństwa, przez podniesienie przemysłu krajowego. Od 1816 roku zwłaszcza, statyści nasi szczerze nad tém pracowali; nie wszystkie próby były szczęśliwe; ale praca nie poszła na marne, pomimo mnóstwa najrozmaitszego rodzaju przeszkód. Dziś, kiedy ekonomiczne warunki

bytu i takież sprawy stanowią najgłówniejszą dla społeczeństwa kwestyą; posługując się tą tylko miarą, w ocenie naszych stosunków, możemy powiedzieć, że wracamy znowu do posiadania mieszczaństwa poważnego i poważanego, opartego na tych podstawach, jedynie pewnych: na pracy, sumieniu, zabiegłości, ukształceniu, energii i tém zacném poczuciu, że praca nietylko własny pracującego, ale i kraju interes winna mieć na celu. Jeżeli weźmiemy tylko dwa nasze miasta: Warszawę i Łódź, jeżeli zsumujemy wartość nagromadzonego w nich nieruchomego i ruchomego kapitału, jeżeli dodamy do tego ów inny jeszcze, niby czysto moralny, a pomimo tego bardzo rzeczywisty, kapitał pracy, rozumu, energii, ukształcenia, sumienności i połączonego z nią kredytu, może suma ogólna wypadnie tak, iż stanowić będzie niezmiernie poważną, nie śmiemy powiedzieć, jak wielką część naszego krajowego mienia. Posiadamy do tego pewne cyfrowe dane. Owo wielkie, ratunkowe zaprawdę, pomnożenie naszego mienia winniśmy temu mieszczaństwu, które pod pewnemi względami już jako potęga ekonomiczna występuje. Sławetni i zacni rajcy olkuscy nie doczekali się bezpośredniego potomstwa; ale widząc to dzisiejsze, chociaż tak spóźnione, z pociechą w sercu, z nadzieją i dumą błogosławiliby jego usiłowaniom. ☐



NAUKOWO-SPOŁECZNA DZIAŁALNOŚĆ
PROFESORA
TYTUSA CHAŁUBIŃSKIEGO.

...Tacy nie umierają całkowicie; czyny ich żyją i jak dobre ziarno krzewią się w następnem pokoleniu, które często nieświadomie przyjmuje ten spadek i z niego pożytki ciągnie. Taki spadek zostawił po sobie Chałubiński.
(*Józef Kenig* w życiorysie Chałubińskiego, „Niwa“ Nr. 22 r. 1889).

W szeregu powołań, jakie z podziału pracy społecznéj wynikły, i cechę pewnych odrębności zyskały, najodrębniejszém jest powołanie lekarskie, i może najobszerniejsze do działania przedstawia pole. O ile bowiem niedola człowiecza, chorobą zwana, jest powszechną, i każdego bez wyjątku dotknąć może, o tyle zakres działalności lekarza jest obszernym, rzec można, granic nie posiadającym. Wielkiém i ważném jest zadanie tego, który ma łagodzić cierpienia, ratować życie i strzedz zdrowia społecznego od całego szeregu wpływów, które trwałość onego podkopać mogą. Że dla spełnienia podobnego zadania, potrzeba prócz specyalnego przygotowania, niemałego zapasu wiedzy i rozległego doświadczenia, rzeczą jest naturalną i konsekwentnie wynikającą, tak z wielostronności potrzeb jednostek i społeczeństw, jak i samej trudności uczynienia zadość tymże potrzebom. Jeżeli jednak fachowe uzdolnienie i należny stopień doświadczenia w innych zawodach są wystarczającemi, to w zawodzie lekarskim nie są one wszystkiém. Istnieją jeszcze inne po za samą wiedzą czynniki, które zawodowi lekarskiemu nadają swoiste piętno, i wynoszą go do godności powołania, czynniki, które czerpiąc swe źródło w humanitarnych uczuciach człowieka, wkraczają już w sferę, leżącą po za ramami fachowego przygotowania. Tylko o lekarzu posiadającym obok specyalnéj wiedzy w sobie te czynniki, możemy powiedzieć, iż jest ideałem, godnym nazwy ideału lekarza-człowieka. Atoli ideały w powyższém

pojęciu zarówno w innych zawodach, jak i w lekarskim, nie są zjawiskiem powszedniém. Do szczupłéj ich liczby należy zaliczyć Tytusa Chałubińskiego, śmierć którego dała powód do całego szeregu wspomnień, oraz wyrazów czci i uznania w naszéj prasie, i wywołała żal niekłamany, w którym wziął udział kraj cały. Sam ten fakt dowodzi, iż zmarły musiał być osobistością niezwykłą i dobrze zasłużoną ogółowi, skoro na wiadomość o jego zgonie, całe społeczeństwo pośpieszyło ze złożeniem mu hołdu. Że Chałubiński zajął wybitne stanowisko w rozwoju naszéj umysłowości i w różnych pracował kierunkach, już to jako lekarz i przyrodnik, już też jako profesor, pedagog, myśliciel lub działacz społeczny, powszechnie jest wiadomém. Rozpatrzéć przeto tę działalność i ocenić wpływ Chałubińskiego na otoczenie, wśród którego przeszło lat czterdzieści pracował, jest zarówno pożytecznėm zadaniem, jak i spełnieniem obowiązku względem człowieka, który w sposób tak wyjątkowy potrafił cały ogół do siebie przywiązać.

Działalność swą rozpoczął Chałubiński bardzo wcześnie; bo gdy po ukończeniu studyów przyrodniczych i lekarskich, które rozpoczął w r. 1838 w Wilnie, a kontynuował w Dorpacie i w r. 1842 i 1843 Würzburgu, a wreszcie je uzupełniał w ciągu następnych lat trzech na różnych wszechnicach europejskich, przybył w roku 1847 do Warszawy, miał zaledwie lat 27. Dr. Dworzaczek, jeden z ówczesnych lekarzy warszawskich, może najwyżéj pod względem uzdolnienia i erudycyi stojący, a następnie dr. Wilhelm Malcz, rozgłośny praktyk, oceniwszy od razu zdolności Chałubińskiego, użyli całego swego wpływu, aby mu stanowisko naczelnego lekarza w Szpitalu Ewangelickim zapewnić i dać możność dalszego kształcenia się. Powierzenie tak młodemu, jak Chałubiński, lekarzowi kierownictwa szpitala, starającego się zawsze o jaknajlepsze siły, zwróciło powszechną na Chałubińskiego uwagę, a publiczność oraz lekarze, i to lekarze o wiele starsi, po niedługim czasie zaczęli uważać Chałubińskiego za osobistość, mającą wszelkie prawo do zajęcia wydatnego stanowiska. Ogrom wiedzy, zdumiewająca pracowitość i wytrwałość, i ta gotowość z jaką Chałubiński niósł pomoc każdemu bez wyjątku, wyrobiły mu wkrótce taką wziętość i rozgłos, że z najdalszych zakątków kraju się zjeżdżano, aby porady u niego zasięgnąć. Z dnia na dzień wzrastała jego popularność, a ludzie zamożni, którzy dawniéj tylko u zagranicznych lekarzy i profesorów szukali porady, poznawszy go, przestali już potém cudzych bogów szukać. Chałubińskiemu to zawdzięczyć należy, iż potrafił obudzić zaufanie ogółu do lekarzy krajowych, i przekonać, że i u nas zdolnych i sumiennych lekarzy, pomimo trudniejszych niż gdzieindziéj warunków, znaléźć można. Sława Chałubińskiego nie była

efemeryczną, owszem, z postępem czasu coraz bardziéj się utrwalała. W krótce też imię jego taki posiadało urok, tak potrafiło owładnąć zarówno publicznością jak i lekarzami, iż nie było ani jednego cięższego przypadku, któryby nie był przez Chałubińskiego leczony, lub w którymby Chałubiński przynajmniéj jako konsultant, decydującéj nie odegrał roli. Kluczem, który mu naoścież otwiérał wrota zaufania, talizmanem, co zjednywał serca wszystkich, była ta szczera i gorąca chęć przyniesienia ulgi, to głębokie przejęcie się obowiązkami swego powołania, jakie zawsze cechowało działalność Chałubińskiego jako lekarza. Nie było dlań położeń bez wyjścia, nie było przypadków rozpaczliwych; żaden chory nie usłyszał z ust jego, iż już dla niego nie ma ratunku.

Nigdy na duchu nie upadający, umiał Chałubiński wléwać otuchę w serca swych chorych, i do ostatniéj chwili ich nie odstępował, wiedząc ze swego i innych doświadczenia, iż nieraz wśród najgorszych warunków, mogą zajść takie korzystne zmiany, jakich najprzenikliwszy umysł przewidzieć nie jest w stanie. To wytrwanie na stanowisku wobec najcięższych przypadków, i szereg kuracyj do téj kategoryi należących, kuracyj, których inaczéj jak szczęśliwemi nazwać nie można, postawiły Chałubińskiego na stanowisku bez rywalizacyi, a niektórzy uwielbienie swe dla niego posunęli aż do bałwochwalstwa, przypisujące mu potęgę nadprzyrodzoną i możność robienia istnych cudów, jak tego świeżo w prasie mieliśmy dowody.

Jeżeli Chałubiński pracując nad sobą ciągle i nabiérając coraz więcéj doświadczenia, trafnością leczenia zdobywał sobie uznanie, to w równéj mierze umiał olśnić i przyciągnąć swém sympatycznem, prawie przyjacielskiém obejściem, które od razu znamionowało w nim człowieka wyższego, podniosłemi uczuciami ożywionego. Kto raz go poznał, ten już na zawsze pozostał mu wiernym, a podobny stosunek nie był dla pacyentów bez doniosłego znaczenia, gdyż tym sposobem Chałubiński miał możność robienia nad swymi chorymi dłuższych obserwacyj, mógł zbadać indywidualność pacyenta, widując go co czas pewien przez dłuższy szereg lat; mógł poznać wszelkie tak fizyczne, jak i psychiczne właściwości całych pokoleń, całych rodów, będąc ich stałym lekarzem. Praktykując blisko lat czterdzieści — gdyż ostatnich kilku, w których sam już był złamany chorobą, nie liczymy — léczył rodziców, dzieci i wnuki, kierował ich wychowaniem fizycznem, poznawał ich usposobienia, wady i t. d. Słowem, miał wszelką możność urobienia sobie dokładnego pojęcia o tém wszystkiém, co zawsze dla lekarza bardzo jest cenném, i czego zrazu najbystrzejsze oko, najprzenikliwszy umysł dostrzedz nie zdoła. W tym to warunku spoczy-

wała może w znacznéj części ta wyższość Chałubińskiego nad innymi, acz uzdolnionymi i sumiennymi lekarzami.

Wobec dziwnéj zdolności zatrzymywania w pamięci tego, co raz widział przed kilkunastu lub więcéj laty, a co mogą potwierdzić koledzy i uczniowie Chałubińskiego, oraz wobec wyżéj zaznaczonych danych pod względem możności długoletniego robienia obserwacyj, zdanie jego, szczególniéj w określeniu charakteru nieraz zagadkowego cierpienia lub przepowiedni dotyczącéj przyszłości chorego, miało stanowczą powagę i rozstrzygawcze znaczenie.

Z wiedzą, zdolnościami i doświadczeniem, szła zawsze u Chałubińskiego w parze energia i żelazna wytrwałość, jaką szczególniéj w chwilach, gdy społeczeństwu zagrażała klęska, gdy się srożyła epidemia, rozwijał. Niedość, że jako człowiek inicyatywy, organizował środki ku zwalczeniu złego, ale sam będąc wodzem, pracował jak prosty szeregowiec, zachęcał do działania, uczył spełniać najprostszych posług, i z widocznem, często nieuniknioném narażeniem się, cały oddawał się sprawie. Chałubiński nie umiał nic robić bez zapału, bez poświęcenia. Nie potrzeba dowodów na poparcie tego, gdyż Warszawa, która była prawie wyłącznem polem jego działalności, pamięta dobrze te chwile. Nie podobna atoli przemilczéć o zasługach jego w tym względzie, podczas jednéj z groźnych epidemii cholery, jaka w Zakopanem wśród górali tatrzańskich liczne zbiérała żniwo. Na widok pierwszych ofiar, wśród panicznego strachu, ludność rozpierzchła się na wszystkie strony, kryjąc się przed tą straszną chorobą. Nikt nie zdołał przerażonych nakłonić do powrotu, a ci którzy ulegli chorobie zostali w domach sami, opuszczeni i wystawieni na pastwę śmierci. Wtedy to Chałubiński, acz sam znużony całoroczną pracą, dniami i nocami biegał od chaty do chaty po chorych, umysły uspakajał, chorobie uległych sam ratował, był aptekarzem, siostrą miłosierdzia, wykonawcą najprostszych posług, dostarczycielem żywności, słowem wszystkiém, i dopóty nadludzkich używał wysiłków, dopóki nie zorganizował systematycznéj pomocy i nie zapewnił warunków ku zwalczeniu złego, będąc bez chwili wytchnienia jedynym opiekunem zakopańskiego ludu. Ten rys działalności Chałubińskiego starczy chyba za wiele innych, których tu dla braku miejsca szczegółowo opisywać nie możemy.

Opiérając się na danych faktycznych, możemy o Chałubińskim, jako o lekarzu powiedziéć, iż był to człowiek, który w ciągu całego swego życia dążył bezustannie do tego, aby zawsze i wszędzie nieść ulgę, bez względu na osobiste korzyści; który umiał odczuwać ludzką niedolę i walczyć z nią nietylko bronią nauki i doświadczenia, ale i zasobami, jakie w swém sercu miał dla każdego; że był to nakoniec czło-

wiek, dla którego najwyższą nagrodą za ciężką pracę było uratowanie życia zarówno maluczkiemu jak i temu, co go złotem obsypywał.

* * *

Chociaż Chałubiński znany był szerokiemu ogółowi jako lekarz lub profesor medyczny, wszelako pierwotną jego specyalnością, głównym przedmiotem, który mu cały czas po za zajęciami lekarskiemi zapełniał, było przyrodoznawstwo, a w szczególności badania na polu botaniki, od których rozpoczął i na których ukończył swą naukową działalność. Atoli studya przyrodnicze nietylko, że nie wpłynęły ujemnie, jako pochłaniające mu czas na jego dalsze prace z dziedziny medycyny, lecz owszem, zaprawiły umysł Chałubińskiego do badań, i nie mało przyczyniły się do zajęcia tego stanowiska pomiędzy lekarzami i profesorami, które później jako pierwszorzędny lekarz i niezrównany kierownik kliniki zajął. W czasach, w których Chałubiński zaczął studyować medycynę, nauki przyrodnicze w tak szczupłym na wydziale lekarskim wykładano zakresie, iż zaledwie na tém się ograniczano, co miało tylko bezpośredni z medycyną związek. O nauki przyrodnicze, pojmowane jako całość, jako o niezbędną dla lekarza wiedzę przygotowawczą, oniemal, że się nietroszczono wcale. Dziś, pojęcia pod tym względem zasadniczo się zmieniły, i obecnie nie możemy sobie wyobrazić lekarza, któryby gruntownéj znajomości nauk przyrodniczych nie posiadał. Gdy Chałubiński, mając lat ośmnaście przybył do Wilna, mógł jeszcze pełną piersią oddychać w atmosferze czystéj nauki, wytworzonéj przez nieśmiertelnego autora „Teoryi jestestw organicznych“, który swe monumentalne dzieło wysnuł z podstaw ogólnéj biologii i badań nad przyrodą. Nic więc dziwnego, że umysł żądny przedewszystkiém niezależnych badań, nęciły podówczas więcéj nauki przyrodnicze niż lekarskie. To téż z zapałem zabrał się Chałubiński do badań przyrodniczych, a pierwszym ich owocem była wyczerpująca rozprawa, którą w r. 1843 w „Bibliotece Warszawskiéj“ ogłosił p. t.: „Historyczny przegląd mniemań o płciowości i sposobie zapładniania się roślin“, w któréj niepośledni zapas wiedzy, jak na owe czasy, oraz wysoce krytyczny umysł wykazał. Była to praca zdaniem specyalistów rzetelną wartość przedstawiająca, i pomimo swego kompilacyjnego charakteru, niejeden oryginalny pogląd, oparty na własnych badaniach autora, zawierająca. Zamiłowanie Chałubińskiego do botaniki objawiło się następnie w postaci przekładu wybornego dzieła Adryana Jussieu, w którém tłómacz wystąpił jako niepośledni znawca języka ojczystego, i znaczną liczbą poraz piérwszy do nauki wprowadzonych terminów, wiedzę botaniczną wzbogacił.

Gdy po upływie lat kilku, Chałubiński pracując już systematycznie nad medycyną, przekonał się, iż chemia w całéj obszerności dla myślącego lekarza jest konieczną, uznawszy swoje dotychczasowe wiadomości za niedostateczne, z całym zapałem, jakim się wszystkie jego naukowe zajęcia odznaczały, oddał się chemii. Wnet też pracownia, na któréj założenie potrzeba było bardzo znacznych funduszów, jego stanęła kosztem, bo odpowiedniéj dla niego w Warszawie naówczas nie było, i Chałubiński z dziełami pierwszorzędnych ówczesnych badaczy, jak Frezeniusa i Otto Grahama w ręku, przepracował kilkakrotnie wszystko to, co wówczas stanowiło podstawy chemii analitycznéj. Mając dzień cały zajęty, pracował Chałubiński nocami nad chemią w ciągu lat trzech, jak świadczą ówcześni jego koledzy.

Pomimo wzrastającéj z niezmierną szybkością wziętości Chałubińskiego i prac w szpitalach, co mu literalnie cały czas od rana do późnéj nocy zabiérało, umysł jego chciwy wiedzy bez końca, po studyach nad morfologią roślin i chemią, zapragnął poznać dziwy świata mineralnego. Prace na nieznaném sobie bliżéj polu rozpoczął od studyów nad krystalografią, nauką bardzo trudną, i całkiem odrębną od tych, jakiemi się dotąd zajmował. Zasobny w gruntowne wiadomości z chemii analitycznéj i obznajmiony wybornie z analizą dmuchawkową Plattnera, już w niedługim czasie doszedł do znacznéj biegłości w klasyfikacyi minerałów. Ufny w swą wytrwałość, zaczął Chałubiński tworzyć systematyczny zbiór minerałów, i odtąd nigdy nie opuścił żadnéj sposobności, aby go powiększyć i uzupełnić. Zawiązał obszerne stosunki ze specyalistami, i osobiście wystudyował najznakomitsze gabinety mineralogiczne w Europie. Korzystając z obszernych swych znajomości i nie oszczędzając ogromnych sum na okazy, których mu brakowało, po kilkunastu latach wytrwałych zabiegów, stał się Chałubiński posiadaczem pięknego i kompletnego zbioru, który mógłby być ozdobą pierwszorzędnych ognisk naukowych. Zbiór ten, mający tak pod względem czysto naukowym, jak i pedagogicznym, bardzo doniosłe znaczenie, zarówno uderza pełnością i ilością, jak i pięknością samych okazów, w liczbie których są takie, co jeśli nie są unikatami, to dziś już wielką rzadkość co do piękności stanowią, z uwagi, iż kopalnie z których one pochodziły, już dawno nie istnieją. Zbiory swe gromadził Chałubiński nie jako prosty amator lub dyletant, który tworzy zbiory dla zbierania, lecz jako prawdziwy badacz, świadom celu w jakim kosztowną i mozolną pracę podejmuje. Zbiór, o którym mowa, posiada wszelkie cechy ściśle naukowe. To też dołożyćby należało wszelkich starań, aby zbiór tak piękny, będący przedmiotem podziwu specyalistów oraz kompletnym obrazem znanych do dziś bogactw kopal-

nianych, nie przeszedł w obce ręce. Wyliczeniem białych kruków w tym zbiorze nie dodamy mu wartości. Powinien on się stać raczéj przedmiotem wyczerpującego dzieła opracowanego przez specyalistów miejscowych. Wtedy mieliby możność przekonania się wszyscy, czém jest zbiór ów dla nauki. Pozbyć się tego zbioru i wydać go z kraju, byłoby to samo, co wyprzéć się jego twórcy, który całe swe życie pracował dla nauki w tém głębokiém przekonaniu, że tylko za jéj pomocą można wyższe cele osiągnąć.

Spełniwszy w sposób tak świetny ważne zadanie na polu mineralogii, powrócił Chałubiński do swych ulubionych studyów botanicznych, których nie zaniedbywał nawet wtedy, gdy olbrzymia praktyka i profesorskie zajęcia cały czas mu pochłaniały. Owoce swych samodzielnych poszukiwań ogłosił w postaci dwóch prac. Jedna wyszła w r. 1882, w II-gim tomie „Pamiętnika Fizyograficznego" p. t. *Grimmieae tatrenses ex autopsia descripsit et adumbravit* dr. T. Chałubiński, z 18 tablicami, rysowanemi przez autora wspólnie z prof. Augustem Wrześniowskim, i obejmuje szczegółowy opis 28 gatunków mchów flory tatrzańskiéj. Praca ta była wstępem do drugiéj, daleko obszerniejszéj w VI-ym tomie tegoż Pamiętnika w lat 4 ogłoszonéj i zawierającéj opis 422 gatunków tychże mchów, zebranych przez autora na różnych wysokościach Tatr. Jestto najkompletniejszy wykaz mchów liściastych, jakie dotąd w naszéj strefie zostały zbadane i zdeterminowane. Do drugiéj téj pracy dodał Chałubiński niewielką, lecz bardzo dokładną mapę Tatrów, która dla każdego, chcącego się oryentować w tym wspaniałym labiryncie gór, jest niezbędną. Obie prace napisane po łacinie, aby były dostępne dla ogółu badaczy, zyskały w kołach specyalistów wysokie uznanie, i wyrobiły naszemu profesorowi niepoślednie wśród botaników stanowisko. Gdy drugą tę pracę Chałubiński ostatecznie do druku opracowywał, a było to w r. 1885, nadwątlone siły już mu nieraz wypowiadały posłuszeństwo. Miłość przedmiotu sił mu dodawała, a badania naukowe taką były jego umysłu potrzebą, iż to, co dla kogo innego stanowiłoby mozolną pracę, on nazywał wytchnieniem po całodziennych zajęciach! To téż rozpatrując się w działalności Chałubińskiego raz jako lekarza, drugi raz jako badacza przyrody, uderza nas przedewszystkiém ten fakt, iż był to człowiek, który wobec olbrzymich zdolności w różnych kierunkach, wyróżniał się nie mniejszą pracowitością, że praca szeroka, ciągła, była dla niego koniecznością, była wynikiem jego organizacyi umysłowéj. Był to człowiek, który przez życie całe przeszedł wedle zasady: *nulla dies sine linea.*

Atoli nie na zajęciach lekarskich lub przyrodniczych kończy się

działalność tego wytrwałego pracownika. Kto chce poznać tę niepospolitą osobistość, musi rozpatrzéć jeszcze najpłodniejszą sferę jéj działalności, musi się przyjrzéć, w jaki sposób Chałubiński wychowywał całe pokolenia polskich lekarzy, jak ich rozwijał i jak pojmował swe zadanie jako przedstawiciel nauki oraz pedagog.

* * *

Gdy w roku 1857 otwartą została w Warszawie akademia medyczna, obsadzenie katedr odpowiednio uzdolnionymi profesorami nie małe przedstawiało trudności. Wprawdzie nie zbywało podówczas na ludziach, którzy dla nauki z korzyścią pracowali, ale wytrawnych pedagogów brak był zupełny. Największe stosunkowo trudności przedstawiało zaopatrzenie nowéj instytucyi w zdolnych klinicystów. Szczęśliwy pod tym względem wyjątek stanowiła klinika terapeutyczna, czyli klinika chorób wewnętrznych; Warszawa bowiem posiadała Chałubińskiego, który pod względem biegłości w dyagnostyce i bardzo szerokiego filozoficzno-przyrodniczego przygotowania, nie miał sobie równego wśród naszych lekarzy. Nazwisko przeto jego dostateczną przedstawiało rękojmię, iż klinika, któréj ma się stać przewodnikiem, będzie posiadała ściśle naukowy, racyonalny kierunek.

Jak wszystko do czego Chałubiński rękę przyłożył, tak téż i jego klinika miała swoje odrębne cechy, swoją wybitną indywidualność. Znamiennym jéj rysem było to, iż wszystko, co się w niéj działo, musiało być wynikiem ścisłego rozumowania, musiało się opiérać na szczegółowym rozbiorze wszelkich zjawisk i ocenieniu ich wzajemnego do siebie stosunku, na dążeniu do wytworzenia w umyśle każdego słuchacza pojęcia o całości zjawisk, jako obrazie klinicznym, a to wszystko, wobec jaknajściślejszego badania każdego chorego. Wróg wszelkiéj szablonowości i schematyzmu, wymagał Chałubiński, aby każdy z jego słuchaczy umiał myśléć, aby sobie zdawał sprawę z każdego zjawiska i poddawał ścisłéj krytyce własne rozumowanie. Za najważniejsze zadanie wziął sobie Chałubiński wdrożyć umysły do ścisłego badania, do rozumowania, któreby zawsze mogło znaleźć potwierdzenie w saméj naturze. Wychodząc z zasady, że nie masz dwóch przypadków ściśle do siebie podobnych, zawsze przestrzegał, aby nie zaniedbywać procesu myślenia, i poddawać bacznemu rozbiorowi nawet najprostsze z pozoru zjawiska, czyli inaczéj mówiąc: Chałubiński dążył do podania swym słuchaczom ścisłéj, na rozumowaniu opartéj, metody naukowéj, którąby o tyle o ile tylko prawa logiki na to pozwolą, chroniła lekarza od możebnych błędów. Powyższe zasady, będące, że się tak wyrazimy, środkiem ciężkości pro-

gramu klinicznego Chałubińskiego, były zarówno wynikiem jego pojęć o zadaniu, jakie każdy pedagog ma do spełnienia, jak i wynikiem kierunku jego naukowego przygotowania. Klinikę podobną mógł tylko stworzyć myśliciel i badacz-przyrodnik, jakim był Chałubiński.

Aczkolwiek Chałubiński ogrom dawnych i współczesnych autorów pochłonął, przy chorym jednak kazał o książce zapomnieć. Opisy bowiem książkowe, choć się na naturze wzorują, nigdy nie mogą wyczerpać téj nieskończoności odmian, jakie każda bodaj najprostsza postać choroby, u różnych osobników badana, przedstawić może. Ztąd pochodzi, iż ci którzy chcą dany przypadek chorobny podciągnąć pod pewien książkowy schemat, dążą do wyszukania objawów, na których w danych przypadku może zbywać, lub przeoczają faktycznie istniejące, dla tego, że o nich w książce nic nie ma. Od podobnych zasadniczych błędów uwolnić może tylko ścisłe i niezależne badanie, przedsięwzięte w każdym bez wyjątku przypadku. Poczynający, jeśli o tém pamięta, już wkrótce się przekonywa, że jedna i ta sama sprawa patologiczna może u różnych osobników przybiérać najrozmaitsze charaktery, a to stosownie do właściwości osobniczych, do indywidualności danego chorego. Umiéć w każdym pojedyńczym przypadku należycie ocenić, w jaki sposób warunki indywidualne na przebieg choroby wpływają i częstokroć sam punkt wyjścia jéj modyfikują; umiéć sobie zdać sprawę z wzajemnéj zależności od siebie tych dwóch czynników, stanowi cały rozum lekarza, i jedynie daje podstawę do trafnego leczenia. Gdy więc wedle powyższego, indywidualizacya jest podstawą działalności lekarza, przeto miéć się winno na uwadze leczenie chorego, a nie choroby. Prosta ta teza, która niejednemu paradoksem wydać się może, stanowi jednak wyraz rzetelnego w medycynie postępu, jakiego u nas Chałubiński był najwybitniejszym przedstawicielem.

Gdy głównem staraniem profesorów kliniki w wielkich miastach było zgromadzanie jaknajwiększéj ilości rzadkich bardzo przypadków, przedmiot ciekawości stanowiących, a to w tym celu, aby jaknajwięcéj słuchaczy przyciągnąć, to w klinice Chałubińskiego rzecz się miała całkiem inaczéj. Chałubiński nie starał się o niezwykłości, prowadząc swe zajmujące wykłady, na przypadkach najczęściéj napotykanych. Lekarz, mówił, powinien przedewszystkiém umiéć gruntownie leczyć najpospolitsze, najczęściéj się przytrafiające przypadki. Poświęcanie zaś czasu ze strony uczących się, którzy go nie mają za wiele, na przypadki, z któremi się może nigdy w życiu nie spotkają, nie ma celu. Lekarz, który sobie przyswoił naukową metodę badania, da sobie radę w każdym, najbardziéj zagadkowym przypadku. Poradzi się autorów i czas dłuższy obserwując, dojdzie do celu. W przypadkach

częstych, nie ma na to czasu; musi się szybko oryentować, jeśli chce większéj liczbie chorych udzielić pomocy i działalność swą o ile możności rozszerzyć.

Za niezbędne uważał Chałubiński, aby każdy przypadek, bez względu na zakończenie, obserwować od początku do końca, bo tylko taka obserwacya jest całkowitą i pouczającą, gdy inna jest połowiczną. Powinniśmy badać zjawisko w całości, z jego głównemi i pobocznemi następstwami. Niedość jednak było w klinice Chałubińskiego badać i spostrzegać dany przypadek do końca, trzeba było jeszcze zastanowić się nad nim w tak zwanéj epikryzie. O ile opisanie saméj obserwacyi winno było być jaknajwierniejszém odźwierciedleniem tylko wyłącznie tego, co w danym przypadku miało faktycznie miejsce, o tyle epikryza miała na celu wyczerpanie wszelkich możliwości, jakie z danego przypadku wywiązać się mogły, powinna była podać krytyczną ocenę zabiegów leczniczych, nakreślić plan dalszego postępowania i wogóle poddać analizie to wszystko, co z danym przypadkiem mogło mieć choćby najdalszy związek. Był to jakby rodzaj rachunku sumienia lekarskiego, jakby rodzaj wykładu klinicznego, dla którego punktem wyjścia był opisywany przypadek. W ten sposób opracowywane historye chorób były wielce pouczającemi i wyrabiały samodzielność w słuchaczach, na którą profesorowie zagranicznych klinik współcześni Chałubińskiemu, prawie że uwagi nie zwracali.

Gdy z rozwojem nauk przyrodniczych metody przedmiotowego badania chorych, jako to: auskultacya i perkusya, chemiczne badanie wydzielin, termometrya kliniczna, badanie za pomocą wszelakiego rodzaju wzierników i t. d., zyskały na ścisłości, badanie podmiotowe na drugi plan zostało zepchnięte. Chorzy stawali się przedmiotami do badań, a co ze zbadania ich przez lekarza wynikło, stanowiło jedyną podstawę dla postępowania lekarskiego. Tymczasem doświadczenie przekonywa nas codzień, że i to, co chory o początku swéj choroby, o sposobie jéj powstania i innych okolicznościach udzielić nam może, ma nieraz niezmiernie ważne znaczenie, i w wielu przypadkach nawet na sam sposób leczenia, i dalsze plany onego, może mieć wpływ stanowczy. Otóż, Chałubiński przeciwko podobnemu lekceważeniu badań subjektywnych jaknajenergiczniéj występował, wykazując na szeregu odpowiednich przykładów, że każda z tych metod ma swoje właściwości i jedna przez drugą zastąpić się nie da, że chociaż objektywne badanie jest ważniejsze i w wielu razach może być jedynie stosowane, to jednak pełny obraz badania lekarskiego osiąga się przez połączenie tych obydwóch metod, ile tylko razy współcześnie obie mogą znaleźć zastosowanie. Atoli o ile badanie przedmiotowe musi

być ścisłe i kilkakrotnie dla pewności powtórzone, o tyle podmiotowe musi być prowadzone ostrożnie i z pewną wprawą, jaka się tylko doświadczeniem zdobywa. Nie należy podsuwać chorym pojęć, które nam do uzupełnienia naszego obrazu mogą być potrzebne, nie trzeba w nich wmawiać, lecz dać im się samym wypowiedzieć. Często nawet niezbyt rozwinięci chorzy udzielają nam o naturze i charakterze swego cierpienia takich wskazówek, jakichbyśmy za pośrednictwem najstaranniejszego badania objektywnego nie zdobyli.

Jeżeli sposób prowadzenia kliniki przez Chałubińskiego był zupełnie samoistnym, to może najsamoistniejszą była jego „nauka o wynajdywaniu wskazań lekarskich“, z których wypływał „plan leczenia i jego wykonanie“. Aby ideę przewodnią Chałubińskiego w nauce téj zrozumiéć, potrzeba samemu być lekarzem i poznać dobrze wszystko, co w tym zakresie przez innych klinicystów zostało jako metoda, jako system przyjęte. Gdy rozwinięcie idei téj nie dałoby się w sposób dostateczny na tém miejscu uskutecznić, musimy się ograniczyć tylko na zaznaczeniu, że wskazaniem (*indicatio*) w lekarskiém zrozumieniu kliniczném, zowie się danie odpowiedzi na pytanie: co lekarz ma zrobić w danym przypadku, aby zadanie swe najskuteczniéj spełnić t. j. wyleczyć chorego, czyli, jakie obrać drogi, któremi idąc, osiągnąć może pewne lecznicze cele. Choroba ma swoją przyczynę, przyczyna ta wytwarza mniejsze lub większe skutki, czyli zmiany w pewnych narządach ciała; zmiany te mogą zagrażać bezpośrednio życiu lub ograniczać pewne funkcye — daléj, zmianom tym towarzyszyć może szereg zjawisk, czyli symptomatów niepokojących chorego, acz nie zagrażających życiu, wreszcie, rzeczone zmiany chorobowe mogą po sobie zostawić liczne następstwa, począwszy od wytworzenia w organizmie usposobienia do ponownych zachorowań, aż do zaburzeń trwałych, które już nigdy całkowicie nie znikają i tym sposobem szerokość zdrowia w większym lub mniejszym stopniu ograniczają. Otóż, zdawałoby się, że z tak przedstawionego łańcucha zjawisk, których punktem wyjścia była pierwotna przyczyna, wypływają sposoby leczniczego postępowania, to jest zadośćuczynienie pewnym wskazaniom, które stosownie do ogniw owego łańcucha zboczeń chorobnych, określają się jako wskazania: przyczynowe, chorobowe, objawowe, życiowe i t. d., albo innemi słowy, że one wyrażają dążenie do usunięcia przyczyny choroby, daléj, usunięcia zmian już wytworzonych, daléj, objawów niepokojących chorego i t. d. i t. d. Jeżeli jednak przyjrzemy się zawiłéj kwestyi wskazań bliżéj, to się przekonamy, że podobny schematyzm jest sztucznym i prawie nigdy nie znajduje w naturze potwierdzenia. Na wskazania lecznicze, i na ich sposób uzasadniania, Chałubiński zapatrywał

się całkiem inaczéj. Opiérając się na tym oczywistym fakcie, iż w większości przypadków przyczyna choroby jest niedosięgalną, co zarówno da się powiedzieć i o już wytworzonych w organizmie sprawach chorobnych, zastanawiał się Chałubiński nad tém, który z warunków, albo jak się wyrażał, momentów chorobnych, jest dosięgalnym. Z dosięgalnych znowu, który ma względnie najważniejsze znaczenie. Najważniejsze zaś znaczenie miał ten, zniesienie którego zapewniało możność otrzymania największéj sumy skutków, bądź to pośrednich, bądź bezpośrednich. Tym sposobem ujęty w pewną genetyczną całość szereg momentów, przeciwko którym działanie lecznicze było możebne, służył jako podstawa do nakreślenia planu leczenia. Aby system Chałubińskiego w sposób wyczerpujący przedstawić, i doniosłość tegoż systemu pod względem praktycznym wykazać, musielibyśmy przywołać na pomoc cały szereg typów, czyli obrazów klinicznych, co leży już po za granicami zadania, jakie możemy spełnić na tém miejscu. System swój ogłosił Chałubiński w r. 1874 p. t. *Metoda wynajdywania wskazazań lekarskich. Plan leczenia i jego wykonanie.* Dzieło to jest jakby zformułowaniem tego, co przez każdy samodzielny umysł w każdym pojedyńczym przypadku przechodzić musi. Jak na każdém miejscu, tak i tu, wyrobienie samoistności w lekarzu, wprowadzenie myślowego, krytycznego pierwiastku do postępowania lekarskiego było jednêm z najważniejszych zadań, jakie sobie Chałubiński zakréślił. Z tego to punktu widzenia oceniana jego „metoda“ posiada wszelkie dane, chroniące lekarza od możebnych błędów; może być uważana za drogowskaz do racyonalnego postępowania, i przez długi czas będzie zajmowała wybitne w dziedzinie myśli ludzkiéj stanowisko.

Wartość systemu nauczania stosowanego przez Chałubińskiego, systemu, opartego z jednéj strony na ścisłém obserwowaniu natury, z drugiéj zaś na rozumowaniu i krytyce własnego postępowania, nabierała jeszcze większego znaczenia, gdy na klinice pojawił się przypadek ciężki, skomplikowany, lub wogóle nie często spotykany. Wobec bystréj analizy Chałubińskiego, która nic nie pominęła i wszystko potrafiła złożyć w całość, wobec ścisłości w badaniu, najzawikłańsze przypadki stawały się jasnemi. Jasnemi? tak jest; ale to jeszcze nie wszystko. Ważniejszą nierównie rzeczą było to, iż dalsza, nieraz całe miesiące trwająca obserwacya, jaknajściśléj potwierdziła i przepowiedziany przebieg i zakończenie choroby, nie mówiąc już o trafności rozpoznania, czyli dyagnozie choroby, w któréj Chałubiński prawie się nie mylił.

Badając ogromne mnóstwo chorych i umiejąc z każdego przypadku odnieść naukowe korzyści, Chałubiński nabył takiéj wprawy

w ocenianiu każdego zjawiska, które się za pomocą zmysłów dokonywa iż bez przesady powiedzieć można, zmysły jego były czulsze i wrażliwsze, niż innych. Nadto, zawdzięczając temu, iż żadnego szczegółu nie opuścił, i umiał je w pewną całość ułożyć, nadzwyczaj szybko się oryentował. Jeden rzut oka, jedno wrażenie odniesione, było dla niego nieraz zupełnie wystarczającém, aby dany przypadek scharakteryzować. Tam, gdzie niedostateczny stan wiedzy współczesnéj nie mógł zapewnić możności rozwiązania kwestyi, gdzie zbywało na kryteryach, tam brak faktycznych danych zastępowała Chałubińskiemu intuicya. Ileż to razy na klinice, lub po za kliniką byliśmy świadkami nadzwyczajnéj przenikliwości jego umysłu, opartéj na czémś oderwaném, przenikliwości, dającéj się objaśnić tylko intuicyą? Szeregiem wykładów starał się Chałubiński uzasadnić, iż są przypadki, których rozpoznanie (*dyagnoza*) jest niemożebne, i w których błędy są nieuniknione. W lekarzu jednak, który dużo obserwował i umiał pewne zasadnicze w każdém cierpieniu uchwycić rysy, wytwarza się jakby oddzielny zmysł, pozwalający z wielkiém prawdopodobieństwem uchwycić jądro rzeczy. Nie da się to bliżéj określić, ale fakt pozostanie faktem. Nie długo trzeba było nieraz czekać, aby się zdanie Chałubińskiego sprawdziło. Możnaby to nazwać trafem, gdyby to dotyczyło jednego lub kilku przypadków, ale tam, gdzie się to częściéj powtarzało, trzeba przyznać istnienie pewnéj acz niedającéj się ściśle sformułować przyczyny. Talent, czy intuicya, czy téż wyjątkowa bystrość spostrzegawcza, lub czułość zmysłów, jak tam kto chce nazwać, szczególniéj na jaw występowały, gdy chodziło o przepowiednią, dotyczącą sposobu zakończenia się choroby, czyli o tak zwane rokowanie (*prognosis*). Były przypadki z pozoru pomyślne zakończenie obiecujące, które jednak dla Chałubińskiego od razu bardzo wątpliwemi lub stanowczo złemi się wydawały, a smutna rzeczywistość przekonała o prawdzie słów jego; odwrotnie, przypadki rozpaczliwe nieraz, przez wielu lekarzy określane jako fatalne, kończyły się pomyślnie i od pierwszego ich widzenia przez Chałubińskiego, za dające niewątpliwe szanse były uważane. Wobec podobnych faktów, których świadkami byli zarówno uczniowie, jak i ogół lekarzy, nic dziwnego, iż Chałubiński stał się bardzo wziętym konsultantem, że prawie nie było cięższego przypadku, w którymby go pominięto i jego nie zasięgano rady. Podobny stan rzeczy wyrobił mu wśród wszystkich najwydatniejsze, naczelne stanowisko.

Przymioty, które Chałubiński zarówno odziedziczył od natury, jak i nieustającą pracą w sobie wyrobił, stawiały go w rzędzie pierwszorzędnych klinicystów, w rzędzie osobistości, które same w sobie

mają dość warunków, aby stworzyć pewną szkołę, pewien kierunek wybitny. Był to klinicysta wielkiego pokroju, i przedstawiciel pojęć samoistnych.

Jakiego rodzaju szkołą była klinika Chałubińskiego, mogli jeszcze lepiéj ocenić ci, którzy zasobni pewném doświadczeniem, uzupełniali swe studya już jako lekarze, w najlepszych klinikach europejskich.

W ciągu swego zawodu nauczycielskiego, wykształcił Chałubiński do dziesięciu seryi polskich lekarzy, rozpocząwszy swe wykłady w 1859-ym roku, a skończywszy w r. 1871-ym. Jeżeli powiedzieliśmy, że Chałubiński kształcił lekarzy, powiedzieliśmy za mało; Chałubiński tworzył lekarzy, bo uczył ich nietylko leczyć; zniewalał on każdego ze swych słuchaczy do myślenia, zmuszał do tego, aby każdy stawał się jednostką samoistną, uczył więc tego, czego żadna książka nauczyć nie może.

Tak jest. Chałubiński nietylko uczył i kształcił w swéj klinice, lecz urabiał charaktery lekarskie w tym podniosłym duchu, w tém pojęciu etycznėm, jakie stawiało każdego z jego przyszłych kolegów na stanowisku lekarza-obywatela, lekarza-człowieka, który po za swém powołaniem ma jeszcze inne cele do spełnienia, jako jednostka najszybciéj i najsilniéj mogąca się zżyć ze swém społeczeństwem, i mająca najwięcéj warunków do odczucia jego wszelkich potrzeb w najszerszém tego słowa znaczeniu.

Gdy Chałubiński opuścił zajmowane przez się w ciągu 12-tu lat stanowisko, był u szczytu swego rozwoju i swéj popularności, miał bowiem wtedy rok pięćdziesiąty pierwszy; mógł był więc co najmniéj z lat dziesiątek pracować daléj. Wieść, iż Chałubiński opuszcza stanowisko profesora kliniki, zrobiła bardzo przygnębiające wrażenie. Nikt się nie spodziewał takiego obrotu rzeczy, nikt nie przewidywał tego. Gdy jednak fakt stał się faktem, wdzięczność i przywiązanie, jakie wszyscy słuchacze jego mieli do niego, objawiło się bardzo gorąco. Z najodleglejszych zakątków kraju zjechali się uczniowie Chałubińskiego. Wręczono mu album i zebrano się na składkową wieczerzę, o któréj wspominamy tu tylko dlatego, że na niéj powstała myśl zebrania funduszu stypendyalnego imienia Chałubińskiego. Już w kilka tygodni fundusz drogą składek przez uczniów i kolegów Chałubińskiego złożony, dosięgnął dostatecznych rozmiarów i wkrótce téż regulamin stypendyalny do zatwierdzenia przedstawiony został.

* * *

Z przekonań, był Chałubiński wyznawcą idei spokojnego rozwoju, opartego na krzewieniu wiedzy, na wzniecaniu światła. Wierzył głęboko, że tylko za pomocą tego czynnika można dojść do wyższych celów, że chociaż dla osiągnięcia pewnych ideałów droga pracy umysłowéj i podniesienia intelektualnego poziomu mas jest najpewniejszą. Tą to drogą jedynie, acz w czoła pocie, zdobywała i zdobywa sobie ludzkość trwałe podwaliny bytu, oraz rozszerza granice praw, zawsze ręka w rękę z rozwojem umysłowości idących. Postęp duchowy ludzkości, bezustanny rozwój społeczeństw i różne postacie ich bytu, są takiemi samémi przejawami życia wedle niezłomych praw się dokonywającego, jakie dostrzegamy we wszechświecie, którego częścią składową jest człowiek. Różnice dotyczą tylko kształtu, postaci, ale nie istoty, nie treści. Prawa rozwoju wszelakiego bezwzględnie są jedne, a ich zakłócenie, lub zboczenie od nich, jest tylko pozorném, chwilowém. Nie istnieją przyczyny dostatecznie silne, aby ludzkość wykoleić z toru wszechprawem zakreślonego. Odczucie praw tych, świadomość dróg prowadzących do celu, stanowi punkt zwrotny, od którego datuje się wkroczenie ludzkości na ów tor wiodący do postępu, na tor rozwoju myśli ludzkiéj i badań we wszelkich kierunkach.

Tak się da sformułować ogólny pogląd Chałubińskiego na ludzkość, jéj cele i drogi do urzeczywistnienia celów tych prowadzące.

Jako wyznawca i przedstawiciel poglądów wyżéj streszczonych, Chałubiński żył życiem ogólném, społecznėm, zawsze gotów z całém zaparciem się ponieść ofiarę z siebie, gdy chodziło o wywalczenie praw dla pracy i umysłowych swobód. Nie było téż ważniejszéj chwili w życiu naszém, w któréjby Chałubiński nie przyjmował czynnego udziału. Gdzie tylko mógł, zawsze walczył, aby wszelkiéj pracy normalny rozwój zapewnić, a pierwsze na tém polu wystąpienie, które na niego powszechną uwagę zwróciło, bardzo wczesną nosi datę. Gdy bowiem przybył na studya do Dorpatu i zauważył, że instytucya burszenszaftów, nietylko że nie służy do wyrażenia żadnéj podniosłéj idei, lecz jako zabytek średniowiecznéj ekscentryczności stanowi nie małą przeszkodę w pracy, i przez swój brutalny absolutyzm ogranicza swobodę osobistą, odrazu postanowił wystąpić z nią do walki. Z razu trudności były nie do pokonania, bo rygor w korporacyach burszowskich, godzien lepszéj sprawy, był tak wielki, iż następstwa wyłamania się z pod niego, dla niejednego były nieraz fatalne. Nie zraził się jednak temi trudnościami Chałubiński i po latach dwóch niespełna, jako wielce już wpływowy młodzieniec, tak potrafił znaczenie rzeczonych burszenszaftów obniżyć i nicość ich wykazać, że najprzód Polacy naówczas w uniwersytecie dor-

packim będący, a za przykładem ich i inni, całkiem się z pod ich jarzma wyemancypowali. Ci co znali dobrze ówczesne tam stosunki, twierdzą, iż był to fakt dla rozwoju prawidłowéj pracy bardzo doniosły, a całe ciało nauczające z najwyższém uznaniem tę korzystną zmianę przyjęło.

Idea walki w celu wytworzenia możebnie produkcyjnych warunków dla każdéj, a przedewszystkiém naukowéj pracy, przyświecała Chałubińskiemu przez całe życie. Celom pedagogicznym, jako ułatwiającym zdobywanie wiedzy, oddany był całą duszą i na tém polu wielkie położył zasługi.

Pomimo całodziennéj, jak rok długi pracy, nigdy Chałubiński nie odmawiał swego czynnego udziału, ile razy chodziło o naukę. Umiał wtedy podwoić siły, aby wszystkim potrzebom uczynić zadość. Przewodniczył też czas długi kasie zapomogi imienia Mianowskiego dla pracujących na polu naukowém, był orędownikiem i współredaktorem jednéj z najpoważniejszych publikacyi w kraju, mianowicie „Pamiętnika Fizyograficznego,“ istniejącego od lat 10-ciu; czynną przykładał rękę jako współredaktor do utrwalenia bytu „Wszechświata.“ W okresie spodziewanych w kraju reform wychowawczych, pracował wraz z innymi w komitecie specyalnym, który pod przewodnictwem kasztelana Dembowskiego czynności swe rozpoczął. Chałubiński, bolejąc nad tém, iż wykształcenie filozoficzne prawie całkowicie u nas było zaniedbane, nosił się z projektem programu, któryby brakowi temu mógł uczynić zadość. Nie tyle mu chodziło o to, aby rezultaty badań na polu filozofii spopularyzować, ile o to, że same studya filozofii, sama, że tak powiemy, technika zdobywania wiadomości w tym kierunku, wybornie się nadaje do rozwijania i gimnastykowania umysłu.

Gdy w r. 1864-ym w miejsce Akademii medycznéj miała powstać Szkoła główna, władza nie pominęła Chałubińskiego, wezwawszy go na członka komitetu wyznaczonego do opracowania uniwersyteckiéj ustawy. Sam więc rodzaj zajęć powierzanych Chałubińskiemu, skłaniał go do wkraczania na pole pedagogiczne, które się dlań bardzo wdzięczném okazało.

Pedagogiczne zdolności Chałubińskiego bardzo się wcześnie objawiły. W krótkim czasie po swém przybyciu do Warszawy, poprzedzony jaknajkorzystniejszą o sobie opinią, wyrobioną mu przez kolegów wileńskich i dorpackich, potrafił Chałubiński skupić około siebie wszystkie młode elementy, dzieląc się z niemi chętnie wszelkiemi wiadomościami, jakie zdobył na różnych wszechnicach. Wytworzył się podówczas, jak wspomnieliśmy, rodzaj kliniki, któréj Chałubiński chcąc nie chcąc był kierownikiem, i wtedy to miał pierwszą sposobność ujawnienia swych zdolności w kierunku pedagogicznym. Widzieliśmy już,

jakim Chałubiński był pedagogiem, gdy zajął stanowisko aktualnego profesora kliniki. Atoli nietylko wyższe nauczanie było przedmiotem jego najżywszego zajęcia. Umysł Chałubińskiego zaprawiony na dociekaniach filozoficznych i studyach dzieł Descartesa, Spinozy, Leibnitza, Lockego, Kanta, Herbarta, Condillaca, Hegla, oraz swojskich autorów: Śniadeckiego, Trentowskiego, Kremera i Libelta, oddawna kwestyą wychowania i rozwijania umysłów uważał za jednę z najważniejszych i już wcześnie nad nią rozmyślał.

Jako przyrodnik zastanawiał się mianowicie, nad pedagogiczném znaczeniem nauk przyrodniczych w humanitarném wychowaniu. Wyszedłszy z téj zasady, iż zadaniem humanizmu jest rozwijanie wszelkich zdolności myśli ludzkiéj, bez względu na przyszłe powołanie młodzieży, starał się Chałubiński rozwiązać pytanie: czy tak pojmowany, a wszystkiemi dotychczasowemi środkami rozporządzający kierunek humanitarny wypełnia swoje zadanie? czy w istocie wszelką zdolność umysłu dostatecznie rozwija? Pytanie, jak widzimy, bardzo doniosłe. Odpowiedź na to pytanie wysnuwa Chałubiński z porównawczego zestawienia dwóch głównych kierunków myślenia, jakiemi są jak wiadomo: syntetyczny i analityczny. Nie trudno jest dowieść, że kierunek syntetyczny bywa z konieczności poprzedzony przez analityczny, a w szczególności, że umysł młodociany, dziecięcy, naprzód nabywa świadomości pojedyńczych przedmiotów i bezpośrednich faktów; potém umysł ludzki powoli przychodzi do pojęć, to jest do pierwszych wytworów myśli, które umożliwiają dopiéro właściwe rozumowanie. Przeciwnie, kierunek syntetyczny, stawiający na wstępie każdego rozumowania pewną tezę, z któréj ma nastąpić wywód (dedukcya) i przejście od cech ogólnych danego zjawiska lub danych zjawisk, do szczegółów, wymaga już znacznego wyrobienia umysłu i znajomości całego szeregu faktów i pojęć, t. j. wymaga takiego przygotowania, które się tylko na drodze analitycznego kierunku myślenia zdobywają. Tymczasem zastanawiając się nad naukami dotyczas używanemi za narzędzia rozwijania i ćwiczenia umysłu, widzimy, iż one kształcą tylko kierunek myślenia syntetyczny, gdy kierunek analityczny całkiem jest zaniedbany i własnemu zostawiony losowi. Jeżeli tak jest z jednéj strony, a z drugiéj, jeżeli już w czasach Bakona dostatecznie stwierdzoném zostało, że jedynie nauki przyrodnicze mogą dla analitycznego kierunku myślenia stanowić najwłaściwsze narzędzie pedagogiczne, to zachodzi pytanie, dlaczego one dziś do tego celu nie są użyte? Dlaczego, jeśli nawet są objęte planami szkolnemi, wykładane są raczéj jako *realia*, nie zaś jako najwłaściwsze narzędzie do humanitarnego kształcenia umysłu?

Aby jednak nauki przyrodnicze odpowiadały swemu zadaniu w pedagogice, aby mogły być narzędziem humanitarnego kierunku, muszą być wykładane wcale w inny sposób, niż się to dzieje dotychczas. Najelementarniejszy nawet wykład zaczyna od określeń ogólnych, od różnic w tak zwanych królestwach przyrodniczych. Wykłady fizyki i chemii również wchodzą w téż same ślady, poczynając od pojęć ogólnych, od praw ogólnych, a demonstracye i doświadczenia używane są tylko na poparcie tych z góry wygłoszonych praw, czyli, że wykłady te odbywają się ściśle w kierunku syntetycznym. Młody umysł ani pojąć tych ogólników należycie nie może, ani dojrzéć skąd one właściwie się biorą.

Otóż, wykłady elementarne nauk przyrodniczych, aby mogły spełnić na wstępie wyłuszczone zadanie, powinny być prowadzone wprost w odwrotnym kierunku, tak zwaną metodą genetyczną; a jest to ten sam właśnie kierunek, któremu same umiejętności przyrodnicze winny swe wykształcenie.

Historya naturalna zaczynać się powinna od stosownie wybranych przykładów, od przedstawienia odpowiednich okazów zwierząt, roślin i minerałów. Nauczyciel rozbiéra szczegóły budowy, oraz zaznajamia z głównemi objawami życiowemi; wykazuje różnice i podobieństwo narzędzi, oraz przeznaczenie każdéj funkcyi. Tym sposobem umysł młodociany przyucza się do otrzymania pójęć, najprzód szczegółowych, potém ogólnych, i coraz ogólniejszych, które zestawiając w dalszym ciągu, przychodzi do poznania budowy, organizacyi i życia, a w końcu ma pojęcie o całości. Tą samą drogą powinny kroczyć fizyka i chemia, oraz inne nauki przyrodnicze, a cel zostanie całkowicie dopiętym; sam zaś wykład, który dotąd przy największych zdolnościach nauczyciela musi być suchy i nużący, stanie się interesującym i wyda nieporównanie lepsze owoce.

Nie chcemy wchodzić w dalsze szczegóły, które rozwijają i uzasadniają pogląd autora. Sądzimy, że z podanego, choć doraźnego rysu, można sobie urobić pojęcie o téj doniosłéj kwestyi wychowawczéj, w imię któréj przemawiał Chałubiński.

W kwestyi obrania wychowawczego kierunku nie mało dzielnych umysłów głos zabierało. Nie można wszelako powiedziéć, aby kwestya ta, za całkowicie rozwiązaną uznana została. Chałubiński wierzył jednak silnie, że nauki przyrodnicze odegrają w tym względzie stanowczą rolę, że czas ten już nadszedł, i że niewątpliwém jest, iż doniosłe znaczenie nauk przyrodniczych w wychowaniu humanitarném, lada chwila powszechnie uznaném zostanie, i pragnął gorąco, aby to u nas nastąpić mogło.

Jeżeli się rozejrzymy w dzisiejszym systemie początkowego nauczania, musimy przyznać, że Chałubiński nie mylił się w tym względzie. Bo czyż dzisiejsza metoda poglądowa nie jest w gruncie rzeczy tąż samą metodą, jakiéj zarys podaje Chałubiński, z tą tylko różnicą, że gdy on ściśle się trzymał nauk przyrodniczych, to tu wszystko co stanowi rzecz, bez względu na swe pochodzenie, może być przez nauczyciela za przedmiot do wykładu użytém. Obie metody, ze względu na rezultat myślowy, są całkiem identyczne, gdyż wyrabiając analityczny kierunek myślenia, zarówno do tegoż samego prowadzą celu. Rozpatrywane jednak porównawczo, jako pewne systematy, nie stoją na równi. System Chałubińskiego przedstawia skończoną, organiczną całość, gdy system poglądowy ma raczéj charakter przygodny, okolicznościowy i współcześnie jako środek do zdobywania wiedzy, wtórorzędne ma znaczenie.

Aby wykazać, że Chałubiński się nie mylił, twierdząc, iż bliskim jest czas, w którym uznany zostanie kierunek wychowania przez niego broniony, nie trzeba się uciekać do porównania tegoż kierunku z metodą poglądową. Dziś bowiem istnieje już cały cykl podręczników przez najznakomitszych badaczy (szczególniéj w literaturze angielskiéj) z zakresu nauk przyrodniczych opracowany, który w literalném tego słowa znaczeniu, odpowiada ściśle idei przez Chałubińskiego wyłuszczonéj. Może to dla tego idea jego niektórym wydaje się nie całkiem nową. Jeżeli jednak przypomnimy sobie, że od czasu, w którym Chałubiński obszerny memoryał w tym przedmiocie złożył b. Komisyi Oświecenia, upłynęło bez mała lat 30, a następnie rozejrzymy się jak kwestya początkowego nauczania w krajach ucywilizowanych podówczas stała, przekonamy się, iż prawo pierwszeństwa zostaje przy Chałubińskim. Nawet w roku 1876 gdy memoryał ten czytany był na drugiem ogólném posiedzeniu piątego zjazdu ruskich przyrodników i lekarzy w Warszawie, kwestya pedagogicznéj doniosłości nauk przyrodniczych w humanitarném wychowaniu, była nową. Dziś weszła ona na prawidłowe tory, a gdyby podówczas głos Chałubińskiego nie był głosem wołającego na puszczy, pierwsi zatknęlibyśmy sztandar odrodzenia na niwie pedagogicznéj. Rozprawę Chałubińskiego o danym przedmiocie, którą uwadze każdego myślącego człowieka polecić należy, pomieścił w całości „Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego“ w r. 1877 (Tom LXXIII, zeszyt I), oraz dziennik zjazdu przyrodników i lekarzy ruskich z r. 1876.

B. Komisya Oświecenia umiała memoryał Chałubińskiego należycie ocenić, skoro poleciła wygotowanie programów wykładowych we-

dle téj t. j. genetycznéj metody. Miało to miejsce w r. 1861. Przy następnych jednak organizacyach, projekt Chałubińskiego poszedł w niepamięć.

* * *

Odrębny rodzaj działalności rozwinął Chałubiński w Zakopanem. Kto słyszał o Zakopanem zanim Chałubiński obrał je sobie za miejsce wytchnienia po pracy, a następnie za miejsce ku spełnieniu całego szeregu obywatelskich czynów? Kto przedtém podziwiał ten uroczy zakątek, obfitujący do zbytku w piękne i groźne zarazem obrazy, co swą świeżością i fantazyą nęcą tak silnie do siebie, jak może żadne inne, choć rozgłośną sławę mające górskie kraje?

Do roku 1873, t. j. do chwili, w któréj Chałubiński po raz pierwszy przybył do Zakopanego, miejscowość ta prawie dla wszystkich była obcą. Ci, którzy łaknęli górskich wrażeń, robili wycieczki do Szwajcaryi, do Turyngii, Czeskiego lasu, w Pyreneje lub Apeniny i t. d. Nawet Czatyrdag miał więcéj szczęścia niż Giewont. Dopiéro Chałubiński zwrócił prąd ten ku Tatrom.

Jako turysta, który zwiedził wszystkie piękności, jakie posiada Europa, a pomimo tego Tatry ponad nie wynosił, miał Chałubiński za sobą wszelką powagę, a entuzyazm jego dla Tatrów udzielił się odrazu bardzo obszernym kołom. Wkrótce też wielkie mnóstwo lekarzy, artystów, literatów, przyrodników i t. d., dowiedziawszy się o tym Edenie, za przykładem Chałubińskiego podążało rok rocznie do Zakopanego, aby odetchnąć świeżém górskiém powietrzem, rozkoszować się powabami tak szczodrze uposażonéj w piękności natury, lub w górskich wycieczkach pokrzepiać swe siły. W niedługim czasie Zakopane stało się letnią kolonią Warszawy; zaczęto o niém coraz więcéj pisać, gdyż współcześnie nabrało ono znaczenia stacyi klimatycznéj; słowem, stało się bardzo popularném, a to wszystko zawdzięczając tylko Chałubińskiemu, który, jak to ktoś trafnie się wyraził, „odkopał Zakopane.“

Jeśli dla wszystkich, co tu przybywali, Zakopane stanowiło miejsce zachwytów lub wypoczynku, to dla Chałubińskiego stało się ono obszerném polem pracy i wielokierunkowéj działalności. Czém było Zakopane dawniéj, a czém jest dziś? mogą zaświadczyć ci, co na miejscu mieli sposobność przekonać się o płodnéj w następstwa działalności Chałubińskiego, wiedzą koledzy, wié kraj cały, co znał Chałubińskiego jako człowieka inicyatywy i czynu. Rozwój Zakopanego pod wielorakiemi względami, od chwili gdy doń Chałubiński zawitał, był tylokrotnie przez prasę naszą podnoszony, i tak dobrze jest ogółowi z osobistego przeświadczenia się znany, iż wszystko, co byśmy o tém

powiedzieć mogli, byłoby tylko powtórzeniem rzeczy już znanych. Atoli dla uzupełnienia całości niepodobna nam go tu choć w najogólniejszych rysach nie zaznaczyć.

Działalność Chałubińskiego w Zakopanem, to coś, co może służyć za społeczno-historyczny i ekonomiczny eksperyment, to coś, co na podobnie obszerną skalę nie da się w kronikach odszukać, coś wreszcie, co przez jednego człowieka dorywczo tylko wykonywane, wkracza w granice nieprawdopodobieństwa. Oto, do nieznanéj sobie krainy, któréj przyroda dała aż do zbytku piękności, ale bardzo poskąpiła powszedniego chleba, przychodzi człowiek. Człowiek ten zastaje na obszarach górskich ludność dziś już przeszło czterotysięczną, nawpół dziką, łaknącą wszystkiego, czego ludy, co już pierwszy szczebel cywilizacyi przekroczyły, mają dostatek. Lud ten mieszka w nędznych chatach, nie zna co to szkoła, nie ma komunikacyi, bez któréj jego produkcya, jeśliby jaka nawet była, nie mogłaby mu zapewnić korzyści; lud ten w latach ciężkich trapiony głodem, pomimo człowieczéj treści i uczciwych w sobie pierwiastków, pchany jest na drogę występku. Człowiek ten, poznawszy miejscowe warunki, widzi jak trudne ma przed sobą zadanie, aby lud ten umoralnić, rozwinąć w nim ludzkie przymioty i dać mu dobrobyt. Przed zadaniem tém jednak się nie cofa, bo wierzy głęboko, że praca jego nie pójdzie na marne.

Wielkie doświadczenie życiowe i znajomość ludzkiéj natury, a przedewszystkiém wielka, nigdy niegasnąca miłość, jaką Chałubiński miał dla ludzkości całéj, miłość, którą naturę i lud górski ukochał, oto dźwignia, zapomocą któréj podniósł on tatrzańskich mieszkańców z nizin półbarbarzyństwa do godności ludzi, i utorował im drogę do moralnego i materyalnego postępu. W kilkanaście lat późniéj jakież olbrzymie w Zakopanem widziémy zmiany. W ciągu tego czasu Chałubiński nauczył lud górski uprawiać ziemię i siać na niéj to, co największą korzyść przynieść może; tysiące odwiedzających Tatry, w których najbardziéj może przyciągającą siłą był on sam, wpłynęło potężnie na rozwój dobrobytu ludu zakopańskiego. Chałubiński zainicyował w ciągu tego czasu budowę dróg, z których najważniejsza, czteromilowa szosa dawno już ukończoną została; wyrobił dla Zakopanego u rządu przywileje, jakie przysługują stacyom klimatycznym i wypracował odpowiednią w tym względzie ustawę. Za jego wpływem powstała w Zakopanem szkoła snycerska, która dziś uchodzi za jednę z lepszych w państwie, a w któréj prócz właściwego snycerstwa przeszło stu uczniów uczy się stolarstwa, ciesielstwa, architektury w zakresie budowy z drzewa, oraz

wielu pomocniczych nauk. W lat kilka późniéj powstała szkoła koronkarstwa. Szkoły te są państwowe i byt ich jest zapewniony. Ile na tém zyskała moralność ludu, ile kraj cały przez przyciągnięcie do Zakopanego tych, którzyby gdzieindziéj szukali bądź zdrowia, bądź wytchnienia, czyliż dowodzić potrzeba? A to wszystko zrobił jeden człowiek. Ale ten człowiek umiał przemawiać do ludu, umiał się z nim zżyć, umiał własnym przykładem zagrzéwać do pracy i prosto a jasno wskazywać mu cele, które dotąd ciemnéj téj masie były obce.

Zakopane, to dzieło Chałubińskiego, to państwo w którém go jednogłośnie „królem górali“ okrzyknięto, to pomnik żywy jego zacnych dążeń. Złożyć swe kości na łonie pięknéj natury, któréj badaniu się poświęcił, pozostać wśród tych, których miłość umiał sobie zaskarbić, było ostatniém jego pragnieniem.

Działalność Chałubińskiego w Zakopanem, to treść bogata dla podań ludowych, które imię jego przekazywać będą z pokolenia w pokolenie; to materyał na legendy, które opowiadać będą o nim, jak o olbrzymie, co sam budował drogi, zakładał szkoły, orał ziemię i odganiał zarazę, co śmierć siała wokoło. Fantazya ludu przypnie mu skrzydła i jako orła osadzi na szczycie niedostępnéj skały, a potomkowie tych, co tyle dobrego osobiście doznali od niego, zwracać się w tę stronę będą z głęboką wiarą, że nad nimi czuwa duch opiekuńczy tego, który już dawno, bardzo dawno, wśród ich praojców jako żywy człowiek gościł.

Taką zapewne jest geneza każdéj legendy, która aby się mogła zrodzić, potrzebuje treści niezwykłéj. Treści téj szczodrą ręką dostarczył Chałubiński.

Szczupłe ramy, w jakich artykuł niniejszy zawrzéć musieliśmy, dozwoliły na zaznaczenie zaledwie najważniejszych naukowo-społecznych Chałubińskiego zasług. Z konieczności musieliśmy pominąć te, które tylko przez współczesnych mu świadków jego działalności mogłyby być w sposób należyty odczute i zrozumiane. To atoli, cośmy mogli nieco bliższemu poddać rozbiorowi i na faktycznym oprzéć materyale, wystarcza do urobienia sobie pojęcia o téj niepospolitéj postaci i przekonywa, że Chałubiński był człowiekiem inicyatywy, organizacyą zdolną do wszelkiéj umysłowéj produkcyi, umysłem na wskroś filozoficznym, ogarniającym całość życia ludzkości we wszelkich jego kształtach; że Chałubiński choć nie pisał wiele, lecz to co po sobie pozostawił i co wniósł do nauki, ma niezaprze-

czoną wartość, i ze względu na praktyczne wyniki zawsze będzie miało bardzo doniosłe znaczenie.

Społeczne i etyczne Chałubińskiego ideały, stanowiły niezakłóconą harmonią ze sferą jego uczuciową, i przyczyniały się do złożenia całości opromienionéj urokiem, jaki posiada człowiek co żyje tylko po to, aby czynić dobrze, co się nigdy nie przeniewierza swoim zasadom, i idzie przez całe życie „prawdą a pracą“.

H. Dobrzycki.





SNY LUDZKOŚCI.

I.

Bodźce zmysłowe.

1. Przemiana bodźców zmysłowych na senne obrazy.—Sny dając początek mytom religijnym, są zarazem pierwiastkiem sztuki.

Lazurowe, bez chmur, sklepienie Eteru, przyćmione wieczornym słońca odbłyskiem, wydało dyamentową wstęgę boskiego Erydanu. Zdala, na kresach niebieskiego widnokręgu, majaczeje ciemna Kimeryów kraina, od reszty świata odgraniczona bezdennym Kocytem, na swych falach kołyszącym wiecznie wahającą się łódkę Charona. Czarna, posępna skała, wyrzucając z siebie żar piekielny ognistych wód Piroflegetonu, przegląda się jak wieczność w niezmierzonych głębokościach rzeki. Buchające gazy z rozwartych wrót państwa Plutona, wód ognistych języki, piekielnych rzek rodzicy, dech w piersi zatrzymują, krwistym blaskiem oślepiając, zniewalają do zwrócenia wzroku w stronę, gdzie z Elizyum bijąca jasność niebieska ziemską opromienia nizinę. Na łące najświeższą zabarwionéj zielonością, bławatem, purpurą magnolii błyszczącéj, pod gajem odurzających wawrzynów, smętnych tuj i cyprysów, białém kwieciem obsiadłych pomarańcz i mirtów, stoi pełna uśmiechu i tęsknoty postać, w czarny przybrana całun, z białą we włosach rozkwitającą różą.

Po kwiecistym żywym kobiercu, promienna dniem wesela, biegnie postać owa ku swemu małżonkowi, piewcy Orfeuszowi. Ananke jednak, małżonka zamiary ludzkie niweczącego Charona, przybrawszy postać żmii, śmiertelném ukąszeniem truje ślubów słodycze.

W tém, zagrzmiał głos otchłani Hadesu. Na skrzydlatych nogach przebiega kwiecisty kobierzec Hermes, poseł nieubłaganego Plutona, z swego władcy rozkazem rozłączenia kochającéj się pary.

Słodkie upojenie Eurydyki zbudzi się za chwilę w otchłaniach Erebu. Jedną już dłoń w niewolą Hermesowi oddaje, drugą na ramio-

nach oblubieńca wspierając, szepce: nieszczęsny małżonku, miłość twa zgubiła nas oboje i na zawsze!

Na widok jak cień o zmroku znikającéj postaci, śmiertelna bladość pokrywa lica Orfeusza, drżące serca bicie z ręki poety wytrącając lirę, druzgoce ją o skałę Acheronu.

Łoskot o skałę strzaskanéj liry helleńskiego piewcy, a raczéj wysunięcie się z méj dłoni jakiegoś czasopisma i tym sposobem wywołany szelest, znów na pola Elizyum wygnał Orfeusza i jego nieszczęsną małżonkę.

Był to więc sen tylko.

Przedemną lampa naprzemian to raźniéj, to znów smętniéj świeci, gasnąc, konającym płomieniem, nizki i szczupły pokój, w którym przed chwilą gościły elizejskie cienie, duszącym napełniła dymem.

Przez otwarte okno wpada prąd powietrza nasyconego świeżo skoszonéj łąki zapachem, a księżycowe promienie zalewają pokój srebrzystym potokiem.

Pod wpływem tych czynników, na uśpione zmysły działających, powstało owo marzenie, które przytoczyliśmy powyżéj według znalezionego rękopisu.

Wpływ elektrycznéj barwy promieni księżyca, w starożytności jeszcze w postaci bogini marzeń, Artemis v. Luny, uosobione, dziś zjednał sobie sankcyą naukową. Zapach świeżo skoszonéj łąki, podczas zawieszenia we śnie innych organicznych funkcyi, działając na zmysły, w umyśle, przez reprodukcyjną fantazyą, upostaciował się kwiecistym kobiercem, obrazem gajów Elizeum. Dym z gasnącéj lampy przeobraził się w uśpionéj fantazyi reprodukcyjnéj, odźwierciedlił się w niéj jako obraz ognistéj, wyziewami nasyconéj piekielnéj rzeki Tartaru. Cała więc szkarada gospodarskich drobnostek, życia najpospolitsza proza, stała się sprężyną elizejskiego widzenia. Że takie i tym podobne bodźce zewnętrzne są źródłem sennych marzeń, przekonywa nas nie tylko własne doświadczenie, ale nadto oraz przedewszystkiém naukowe dowody prawdę tę stwierdzają.

Metamorfozy bodźców zmysłowych w obrazy senne, w umyśle naszym spłodzone, zależne są także od rodzaju zajęcia, wieku, temperamentu, osobistego uzdolnienia we śnie pogrążonych. Uderzenie np. wahadła zegarka kieszonkowego, w hypokondryku rozbudzić może złudzenie odgłosu dzwonów pogrzebowych, w muzyku złudzenie dźwięków sonaty, a zmateryalizowanego mieszczucha rozpromienia widok i odgłos na marmurowym kantorze rachowanych dukatów. „Uderzenia dzwonów — mówi Radestock — działają najrozmaiciéj. Przed zakochanym wywołują one obrazy zaręczyn, weselnych godów i wszystkie z te-

3*

mi uroczystościami łączące się sceny. Troskliwy gospodarz zaś słyszy odgłos burzy i z nią kojarzący się pożar, rewolucyą ze wszystkiemi jéj okropnościami“ [1]).

Wymieniony autor przytacza mnóstwo faktów, wykazujących łączność zewnętrznego otoczenia z rodzajem sennych marzeń. Zapach np. kwiatu, lub aromatycznéj substancyi, wywołać może złudzenie widoku składu perfumeryi, lub postać mocno wypomadowanego eleganta. Z wysokiéj wieży rozlegający się odgłos trąby, jest dla śpiącego anielskim chórem.

Edward B. Tylor dowiódł, że pierwotnych mytów religijnych źródłem—we śnie spłodzone mary. Sen jest macierzą mytu o szczęśliwéj krainie Elizeum, po niém błąkające się cienie — to płód sennych marzeń, które, w jednym powstawszy umyśle, ustnie gromadzie całéj powtórzone, w krew téj gromady przechodzą. Na jawie doświadczone wrażenia, zewnętrznym bodźcem pobudzone, nadludzkie bohaterów, pół-bogów, potępieńców i zbawionych we śnie przybierają postaci. Według pojęcia dzieci natury, duch, cień nieboszczyka, podczas snu zjawia się na ziemi pozostałym krewnym i przyjaciołom; a po zaspokojeniu głodu zastawioną ucztą i oddaniu czci należnéj gospodarzowi domu, nagadawszy się z nimi dowoli, do świata umarłych powraca. „Tongan odwiedza swą szczęśliwą z gazów utworzoną wyspę Bolotu; Hellen udaje się do Hadesu i na Elizejskie pola“ [2]).

Plemiona Północnéj Ameryki, osobliwie Algonkinowie, bardzo często opowiadają, że ludzie podczas snu do zaziemskich krajów odbywają wędrówki. Mohawak-Indyanin opisuje raj według we śnie widzianego wzoru [3]).

Zarówno przed lat tysiącami, jak i dziś, nieukształcony człowiek patrzy na przyrodę jakby na istotę obdarzoną nieśmiertelną duszą. Człowiek naiwny gwarzy z psem lub z koniem, jakby z istotą rozumną. Zwierzę, roślina, kamień, na wzór duszy człowieka obdarzone jaźnią [4]). Dla tego też pierwotni krzewiciele nauki Buddy zacięcie spierają się o to, czy drzewa, jako obdarzone duszą, wolno ścinać bezkarnie, bez narażenia się na grzech świętokradztwa. Algonkinowie Ameryki Północnéj, mieszkańcy wyspy Fidży i Birmy, uważają rośliny, drzewa, rzeki i kamienie za uduchowione istoty. Pierwotne myty helleńskie po-

---

[1]) Paul Radestock: „Schlaf und Traum. Eine physiologisch-psychologische Untersuchung.“ Leipzig, 1879, str. 112.

[2]) Edward B. Tylor: „La Civilisation Primitive.“ Paris, 1876, T. II, str. 65.

[3]) Tylor, tamże, T. II, str. 32—64.

[4]) Porówn. także Chmielowskiego „Gienezę Fantazyi.“ Warszawa. 1873, str. 71.

wstały pod wpływem zjawisk przyrody. Glaukos — to reminiscencya śnieżnéj pieniącéj się głębi morza, Hermes, ze złocistym kaduceuszem w ręku, otwierając i opuszczając powieki śmiertelnych, symbolizuje długi na horyzoncie obłok przy zachodzie słońca. Atena z niezmiennym u Homera epitetem „jasnookiéj“ — to lazurowe przestworze niebieskiego sklepienia. W głębokościach fal morskich widzi Hellen falistość łona nimf uroczych. Każda zresztą okolica, każdy krajobraz w postaci bóstwa uosobiony.

Późniéj występuje nowy typ personifikacyi: b o h a t e r, pierwotnie uosabiający siły przyrody, po tem całą rasę.

Zstąpienie Dyonizosa do Hadesu, aby stamtąd wybawić Semelę, Orfeusza, który w państwie Plutona swą najukochańszą małżonkę z piekielnych otchłani wyprowadza, Herkulesa z trzygłowym Cerberem, osobliwie zaś podróże Ulissesa na Wschód daleki, do grodu Kimeryów w obłokach zakrytego, kraju, którego już błyszczący Helios nie oświetla, gdzie noc straszliwa, bezdenna, jakby czarnym całunem zakrywa nieszczęsne ofiary Plutona,—wszystkie te myty pod wpływem codziennie powtarzających się zjawisk wschodu i zachodu słońca powstałe, są tych zjawisk symbolicznym znakiem.

Ale wszystkie te wędrówki żyjących ludzi są tylko cieniami bohaterów, bogów, podczas snu myśl nawiedzających myślowemi rewizytami. „Wiara w odwiedziny umarłych — mówi Tylor — na osobistém doświadczeniu i osobistych świadectwach polega. Wizyoner podczas snu lub w chwili ekstazy widzi ducha zmarłych, który mu z tamtego świata nowin udziela; albo też, duch jego może powędrować do owego innego świata, skąd powróciwszy, opowiada to, co widział w świecie umarłych“ [1]).

Nie chcąc zbytkiem szczegółów zaciemniać przewodniéj myśli, która do założonego przez nas twierdzenia wiedzie, poprzestać musimy na kilku przytoczonych faktach, stwierdzających, że zjawiska przyrody w sennych reprodukowane marzeniach, są pierwiastkiem mytów religijnych; myty przeobrażają się w symboliczne postaci bogów i bohaterów. Myty więc z jednéj strony będą uosobieniem zjawisk przyrody, z drugiéj zaś we śnie powstają, sny takie, jako cząstka jaźni człowieka, za pomocą pędzla i dłuta utrwalone, są sztuk pięknych pierwiastkiem. Sztuki pięknéj zaczątki, za przedmiot główny i niemal wyłączny postaci bohaterów i bogów mające, przez to samo są snów skrystalizowaniem.

Widzimy więc już pierwsze ogniwo łączące senne z artystycznemi marami. Łączność tę dotąd zaznaczyliśmy tylko w zarysie ogólnym;

---

[1]) Tylor: „La Civilisation Primitive.“ T. II, str. 64.

teraz wypada nam szczegółowiéj nad nią zastanowić się i wykazać, że i w szczegółach łączność ta istnieje.

2. Sny wytwarzające się pod wpływem czystéj atmosfery i wzrokowych bodźców są wyraziste, pogodne, plastyczne; przykładem sztuka helleńska. Sny wytwarzające się w dusznéj atmosferze i w braku wzrokowych wrażeń są niepokojące, mętne, zawikłane; przykładem sztuka średniowieczna.

Pory roku, względne położenie planety naszéj do słońca, wywołują zmiany w naszym ustroju duchowym. Ciemny lub też jasny koloryt jaźni naszéj zależy od klimatu, atmosferycznych wpływów. Wrażliwość nasza wzrasta na wiosnę i w jesieni, wszystkim są znane wiosennym tchnieniem wywołane słodkie niepokoje i gwałtowne porywy. Zapach bzów, ciepły, łagodny wietrzyk, cichy szmer drzew i strumyków, śpiew słowika, to wszystko aż do znudzenia spożytkowane przez poetów motywy erotycznych pieśni. Jesień znów elegijnie, rzewnie usposabia. Gorąca pora najbardziéj sprzyja rozwojowi umysłowych cierpień, liczba samobójstw zwiększa się w miesiącach letnich. Pory roku, a zatem klimatyczne zmiany, jak to udawadnia Radestock [1]), wywołują w marzeniach sennych charakterystyczne zmiany. Już w starożytności wiedziano, że wiosna z sobą sny spokojne przynosi, jesień zaś wywołuje burzliwe widziadła senne.

Na ten postulat fizyologiczny, jako mający wprost w wyjaśnieniu artystycznych produkcyj zastosowanie, nacisk kładziemy. Pomiędzy bowiem sennemi a artystycznemi, pod wpływem otaczającego środka powstałemi marzeniami, tylko ta zachodzi różnica, że pierwsze stosownie do pory roku, drugie stosownie do rodzaju klimatu (co zresztą na jedno wynosi), podlegają zmianom. Umiarkowane strefy są wiosennéj, północne przedstawicielem zimowéj pory. Łagodny, wiecznie wiosenny zefir łagodzi wrażliwość nerwów, groźny boreasz na posępną nutę lirę naszego nerwowego systematu nastraja.

Według istniejącego na wschodzie pojęcia, sny na wiosnę nieokreślone, z jesienią plastycznéj nabierają wyrazistości [2]). Wyższość swéj kultury, w przeciwstawieniu do barbarzyńskich obyczajów i sztuki ludów zamieszkujących mgliste strefy, przypisywali Hellenowie łagodnemu klimatowi i przezroczystéj atmosferze tylko Helladzie właściwéj. Rodzaj snów przedewszystkiém zależy od pobudzenia tego lub owego zmysłu, a to stosownie do rodzaju bodźca, otoczenia fizycznego, którego miejsce późniéj zajmuje czynnik, bodziec moralny.

---

[1]) Radestock, str. 198.

[2]) Tamże.

Na tych opierając się pewnikach, po kolei będziemy analizowali sny powstałe pod wpływem działania na poszczególne zmysły, lub też na zmysł ogólny.

Według zdania fizyologów sny powstałe przez pobudzenie zmysłu wzroku, są zazwyczaj wesołe, miłe i wzniosłe. „Widzimy światła, barwy, ptaki, motyle, przebieramy w złocie i klejnotach, przebywamy we wspaniałych okolicach, a ludziom pobożnym zjawiają się zastępy niebiańskie w całéj gloryi“ [1]). Jeżeli więc do bodźców wzrokowych dołączymy działanie powietrza, jak eter czystego, wtedy we śnie pogrążone indywiduum wysnuwać będzie marzenia pełne prostoty i wesołości. Takim samym zupełnie wpływom fantazya artysty podlega.

W klimacie łagodnym, tam, gdzie otaczająca przyroda przeważnie obfitéj i nieskażonéj dla oczu karmi dostarcza, tam powstać muszą doskonale jasno, plastycznie skrystalizowane twory marzeń.

Takiém właśnie, we wzrokowe bodźce bogatém otoczeniem jest atmosfera helleńska, w najobszerniejszém tego wyrazu znaczeniu. Mgły i drobne deszczyki, charakteryzujące północne kraje, w Grecyi nie są znane. Słońce jak nigdzie cudownym świecąc blaskiem, chorych nawet w chwili skonu stoickim obdarza spokojem.

Z tego powodu główném znamieniem greckiego krajobrazu: nadzwyczajna wyrazistość. Niemasz tu, jak w krajach północnych, powikłania i widoków gęstą mgłą niepewności pokrytych. Niebo nie przedstawia tam jakby po niebieskiéj łące wałkujących się bałwanów, zawsze zachowuje barwę ciemnego szafiru, jak stal zbitego i ciemnego—bez plamki. Przy zachodzie słońca, niebieskie sklepienie wyłania z siebie karmazynowe wstęgi; barwy fiołkowe, żółte, łączą się tu z sobą nieznacznie, jak pod wpływem hartowania metalowa płyta.

Jestto widok wprost przeciwny temu, który północne niebo wydaje: mięszaninę jasności i refleksów, śmiertelnie białych, to znów chorobliwie różowych tonów, poprzecinanych maleńkiemi kłębiącemi się obłoczkami.

Sam już z natury swéj, ze skał złożony krajobraz, jak bukiety małemi drzewkami przystrojony, jasnym Heliosa ozłocony promieniem, jeszcze większéj wyrazistości nabiera: przez eterycznéj czystości kryształ atmosfery widziany.

Z przylądka Sunion można było podobno widzieć złocisty hełm

---

[1]) Dr. Fryderyk Scholtz: „Sen i senne marzenia.“ Przełożył Dr. H. U. Warszawa. 1888. str. 38.

posągu Ateny, na ateńskim akropolu wzniesionego. Z Aten znów, ludzi swą bliskością Hymet, o dwie mile od tego miasta oddalony.

Pod wpływem takich jasnych bodźców wzrokowych, drogą reprodukcyi powstałe obrazy, jasnością, wyrazistością, porządkiem będą się odznaczały. Do zawikłania też, komplikacyi wszelkiego rodzaju, przeładowania szczegółami, nad któremi oko i myśl się trudzą, geniusz helleński w mitologii, poezyi i sztukach rysunkowych objawiający się, geniusz ten czuje wstręt nieprzezwyciężony.

Sny też olimpijskie Hellenów, dłutem Fidyaszów i Praksytelów w kamieniu zaklęte, swą postacią do człowieka zbliżone, nie trwożą jego wyobraźni. Zeus, Apollon i Ares są szlachetnymi rycerzami, dobroczyńcami i starszymi braćmi zwykłych śmiertelników. Olimp Homera, to trybuna, z któréj bogowie przyglądają się ziemskiemu turniejowi swych zstępnych, czasami nawet zbyt powoli ciągnącą się ludzką komedyą znudzeni, dla jéj skrócenia sami aktorów rolę przyjmują.

Demokratyczni bogowie szukają przygód miłosnych wśród śmiertelnych. Piękna Latona obdarza Zeusa synem Apollinem, Eros tonie w uściskach Psychy, Artemis swém księżycowém spojrzeniem rozmarza wśród śmiertelnych najszczęśliwszego: Endymiona.

Hellen więc snuje tylko sny spokojne, wesołe, bo drogą wzroku powstałe; wszystko w jego marzeniach do zaspokojenia estetycznego poczucia wzroku zdąża, do wrażeń reprodukowania przyswojonych na jawie, wśród pełnéj spokoju i jasności widoków przyrody.

Lubo widziadło nigdy właściwéj sobie natury nie traci, jednak w snach Hellena jest on pełen naturalności tego, a nie z innego świata mieszkańcem. Promienny wesołością, ze zwykłymi ludźmi węzłami rodzinnemi zespolony, jest pierwiastkiem spokojnych marzeń. Człowiek z bóstwem spokrewniony, a bóstwo to lalka, którą kwefią, w szaty przyoblekają, w złote i z drogich kamieni naszyjniki i kolczyki stroją. Atena-Partenos z oczyma z białych kamieni w twarz ze słoniowéj kości wprawionemi, w długą, fałdzistą jakby kolumny żłobioną, ze szczerego złota kowaną chlamidą przystrojona. W uszach ma kolczyki na wzór tych, któremi zdobiły się niewiasty helleńskie. Bóstwo w postaci lalki, obraz potęgi przyrody, daje nam miarę, że senne widziadło w artystyczne ujęte kształty, jest wśród uspakajającego środka wysnutém marzeniem.

Taką samą prostotę pojęcia rzeczy widzimy w ziemskiéj bogów siedzibie. Świątynia to najprostszéj formacyi kryształ: równoległościan ze spoczywającym na jego górnéj poziomej ścianie trójkątnym pryzmatem. Kontury dwuspadkowego trójkątnego dachu rysują się na szafirowym horyzoncie w prostéj nieprzerwanéj linii. Trzy ka-

mienne płyty w formie gradusów, podstawę budowli stanowią, z któréj jak z naturalnego gruntu wyrasta szereg kolumn cylindrycznych, prostą kamienną belkę i ściśle geometrycznych kształtów trójkątny fronton unoszący.

Wszystko w prostych nakreślone liniach, a jeżeli archeologowie w tych napozór prostych liniach rzeczywistą krzywiznę wykazali, to wykazali zarazem, że ta subtelna krzywizna miała na celu wyprostowanie linij, które na zasadzie optycznego złudzenia, prostokreślne, krzywemi-by się wydały [1]).

Przenieśmy teraz we śnie pogrążonego Hellena do innego otoczenia. Doświadczenie takie przekona nas o natychmiastowéj zmianie sennego widzenia.

W tym celu nasyćmy atmosferę zabójczemi miazmatami, na post skażmy badane przez nas indywiduum, nareszcie, by téj w myśli dokonanéj „*wiwisekcyi*“ dopełnić, pozbawmy człowieka wzrokowych, pozostawiając mu tylko słuchowe wrażenia.

Doświadczenie takie przekona nas, że zarówno senne, jak i artystyczne widzenia, jakby czarodziejską laską wywołane, w mgliste, straszliwe przeobrażą się widziadła.

Pod wpływem bodźców tylko na zmysł słuchu działających, powstają sny nieokreślone w barwach i kształtach, sny niepokojącéj natury. Dowodem tego sny ociemniałych od urodzenia, którzy tylko słuchowym podlegają bodźcom. Łatwo to wytłumaczyć tém, że słowo nigdy tak jasnych, jak wzrokowe bodźce, nie dostarcza wrażeń. Niepewność zaś, jak to każdy na sobie łatwo sprawdzić może, przedewszystkiém jest główném źródłem i sprężyną duchowych udręczeń. Od urodzenia ociemniali są téż straszliwemi snami nawiedzani.

Ociemniały flecista Dulton, który w pierwszych latach życia wzrok stracił, za ociemniałego od urodzenia przeto mogący być uważanym, mówi, że śni wciąż o tych samych strasznych potwornych postaciach (*grässliche versetzte Gestalten*). Ociemniała kobiéta z pod Anspach uskarżała się, że nic jéj bardziéj nie dręczy, nad widok zwierząt i ludzi, we śnie widzianych [2]).

---

[1]) Linie świątyni doryckiéj, jakkolwiek prostemi się wydają, w istocie są wszystkie krzywe. O krzywiznach tych przekonano się za pomocą bardzo ściśle dokonanych pomiarów, do których posłużyły geodezyjne instrumenta. Celem w mowie będących krzywizn, jest zapobieżenie optycznemu złudzeniu, według którego długie proste linie poziome oku się wklęsłemi wydają, a więc wypukłość linii znów je dla oka wyprostowywa.

[2]) Te dwa szczegóły czerpiemy z wymienionego już kilkakrotnie dzieła Radestocka, str. 124.

Obok tych faktów przez oftalmologią stwierdzonych, któreśmy, zresztą, sami mogli sprawdzić, pamiętać należy, iż nawet od urodzenia ociemniali doznają wrażenia odbłysków światła, w postaci gwiazd, kółek i t. p. figur. Wrażenia te obdarzeni wzrokiem sztucznie za pomocą naciśnięcia gałki oka wywołać mogą.

Ztąd wniosek, że obok przedmiotowego pobudzenia wzroku, głównym sennych obrazów materyałem—reprodukcya na jawie doznanych wrażeń wzrokowych, wrażeń, których właśnie ociemniali są pozbawieni zupełnie. Dlatego właśnie ich senne marzenia są mętne, nieokreślone, ztąd, jak każda niepewność, uczucie trwogi wzbudzają.

Nim te fizyologiczne postulaty do artystycznych zastosujemy marzeń, przedewszystkiém rozpatrzyć musimy wywołane przez duszność, albo, co na jedno wychodzi, przez zakażone powietrze.

W takich warunkach sny są zawsze niepokojące. Cnotliwa kobiéta, pod wpływem duszności, śnić będzie, że ją w rażącym negliżu zastano, profesor będzie niepokojony myślą, że mając z katedry przemawiać, jest do wykładu zupełnie nieprzygotowany, student będzie truchlał, nie umiejąc lekcyi, a kochająca matka pod wpływem duszności śni, jakoby wyciągała ramiona ku dziecięciu, mającemu stać się za chwilę pastwą płomieni, lub téż nurtów rzeki. Białe i czarne demony, gnomy, zmory, są płodem dusznego powietrza.

Że tego rodzaju sny i, w takich powstałe warunkach, ogólnie są stwierdzone, za dowód posłużyć może powszechnie znany i często powtarzany sen całego batalionu żołnierzy francuzkich, który tu przytaczam.

Cały batalion francuzkich żołnierzy na kwaterę do opactwa Tropea w Kalabryi przybyły, o saméj północy nagle zbudzony, jakby na rozkaz wodza, w szalonych skokach na dziedziniec wybiega. Na zapytanie o powód tego niezwykłego ruchu, wszyscy żołnierze jednogłośną dają odpowiedź: że dyabeł w postaci wielkiego czarnego psa, z szybkością błyskawicy w jednych ukazawszy się drzwiach, po piersiach śpiących żołnierzy przebiegłszy, zniknął w drzwiach przeciwległych wchodowym.

Ta sama scena, pomimo wzmocnienia straży oficerów w noclegowéj sali, następnéj powtarza się nocy.

Niezwykłe to zdarzenie tłómaczy się w sposób bardzo prosty.

Po przebyciu w skwarny dzień czerwcowy uciążliwego marszu, żołnierze, stosownie do rozkazu, w ciasnych, krępujących mundurach, na garści słomy spoczęli w sypialni opactwa, obliczonéj na znacznie mniejszą liczbę osób niż batalion cały. Skrępowanie odzieżą, dusząca atmosfera, wpływ duchowy opowieści o dyable, który, według przekonania okolicz-

nych mieszkańców, w nocy miał nawiedzać opactwo, wpływy zarówno na każdą oddzielną działając jednostkę, jakby w jednym umyśle wywołały straszliwe piekielne widziadła. Przekonano się, że osławione gniazda strachów, stare domy i zamczyska, po należytém odświeżeniu w nich powietrza, upiorom wypowiadały w swych murach gościnność. Pasterze, a nawet trzoda, pod wpływem powietrza miazmatami zakażonego snom niepokojącym podlegają [1]).

Nareszcie posty wywołują rodzaje snów, o których mowa. „Suszenie, jak to najczęściéj bywa, z innemi umartwieniami, samotnością i długiemi na pustyni lub w lesie rozmyślaniami połączone, jest środkiem, który najskuteczniéj pomieszaniu zmysłów i nadzwyczajnym wizyom sprzyja. Myśliwiec, często zniewolony do mimowolnéj przez całe dni i tygodnie samotności, w tych warunkach doszedł do widzenia fantomów i rozmów z duchami, które dla niego są osobistemi widzeniami. Od chwili, kiedy nauczył się on wywoływać duchy, pozostaje tylko reprodukcya przyczyn, żeby doznać wrażeń“ [2]).

Rozbierając przytoczone fakta, przychodzimy do wniosku, że brak wrażeń wzrokowych (jak tego dowodem sny ociemniałych), zakażenie powietrza, wszelkiego rodzaju umartwienia wywołują mgliste, ciała pozbawione, jakby z czarnéj mgły zrodzone, straszliwe fantomy.

Przejdźmy teraz od snów pojedyńczego do marzeń zbiorowego człowieka, w podobnych postawionego warunkach.

Szukając takich w czasie i przestrzeni warunków, znajdujemy je w krajach północnych i dziejach średniowiecznych. Przezroczysty eter helleńskiego powietrza jest na północy jakby zasłaną atmosferą, utworzoną z par i gazów, przyćmiewających jasność barw i konturów otaczającego krajobrazu. Lazurowe sklepienie helleńskiego eteru, to na północy ciężka ołowiana opona, albo też płachta barwy mętnéj wody, kłębiącemi się pokryta obłokami. Wszystko tu pozbawione wyrazistości. Najpiękniejsze budowle klasycznéj architektury, w północnéj stolicy Rossyi wydają się najczęściéj jakby z czarnoksięskiéj latarni, na blado-niebieskie płótno rzuconemi cieniami.

Mytologia północnych krajów, niezależnie od właściwéj tego rodzaju opowieściom piętna niepewności, jeszcze bardziéj niż gdzieindziéj gęstą mgią pokryta. Pogodne, uśmiechnięte wcielenie potęg przyrody helleńskiego Olimpu, bóstwo lub bohater ze zwykłym śmiertelnym spokrewniony, w mitologii germańskiéj jest straszliwym, huczącym olbrzymem. Porównane blaski helleńskiego Heliosu ze słońcem germań-

---

[1]) Porówn. z Tylor'em.

[2]) Tylor, II, str. 528.

skiém mają się do siebie, jak blask południowego do księżycowego oświetlenia. Wpływ zaś księżyca na fizyczne i psychiczne życie od dawna jest udowodniony. Bakon omdlewa pod wpływem tych blasków. Darwin twierdzi, że światło księżycowe obieg krwi zwalnia. Przekonano się również, że przez zasłonięcie okna grubą zasłoną, łagodzi się sny nerwowo i umysłowo chorych. Światło księżycowe jest bezpośrednią przyczyną rzewnego elegijnego nastroju duszy, tak we śnie, jak na jawie. Stąd też, człowiek pod wpływem bladych i względnie krótko działających promieni słońca północnego, podobnie jak człowiek uśpiony, na twarz którego padają blaski księżycowe, romantyczne, podczas gdy południowiec plastyczne (klasyczne) tworzy kształy.

Bodźce wzrokowe, w które tak bogato uposażona helleńska kraina, na północy i w wiekach średnich, nietylko przez naturę fizycznego środka, ale nadto przez abstrakcyjne myślenie, scholastycyzm, metafizykę i teologią wyrugowane. Abstrakcyjne myślenie przed wzrok gęstą zawiesza zasłonę; pokrywa oko na wpływy zewnętrzne znieczulającém bielmem.

Konkretne też, doskonale dające się w bryle marmuru skrystalizować ideały wiary, sztuki i wiedzy helleńskiéj, w wiekach średnich do tego stopnia stają się niepochwytnemi, że nie dadzą się ująć w odpowiednie formy. Nieskończoność, marzenia mistyczne tylko umysły helleńskich filozofów zaprzątając, stają się organiczną nicią średniowiecznego społeczeństwa.

Myśl za wzrokiem podąża, ale i na odwrót, myśl jest przewodnikiem wzroku. Człowiek średniowieczny, ogólnym abstrakcyjnego myślenia porwany prądem, wzrokiem dalekie, niedoścignione krainy przekroczyć usiłuje. Taki człowiek, lubo wzrokiem obdarzony, ale w myślach abstrakcyjnych zatopiony, w działalności swéj w zakresie plastyki do ociemniałego od urodzenia podobny.

Wzrost nauk w wieku Abelarda, Alberta Wielkiego, Bacona i Tomasza z Akwinu, czyni człowieka tego czasu nieczułym na wrażenia wzrokowe. Dodajmy do tego, że północne kraje same już przez się nie dostarczają zbyt bogatego dla wzrokowych spostrzeżeń materyału; pogarda dla wszystkiego co ziemskie, zmysłowe, wytwarza nieczułego na barwy i kształty myśliciela.

Fizyologowie nareszcie dowodzą, że pogoda mglemi, nieczysta atmosfera, pochmurne niebo, niejasnemi, straszliwemi snami nas darzą.

Z téj krótkiéj paraleli widzimy już, że usunięcie bodźców wzrokowych tak w pojedyńczéj, jak i w zbiorowéj jednostce, zamglone, smętne, senne i artystyczne marzenia za sobą pociągają.

Powyżéj przytoczyliśmy kilka naukowo stwierdzonych faktów,

udowadniających, że miazmaty nasycające powietrze są jedną z głównych przyczyn rodzaju snów, o których mowa.

Taka, miazmatami trująca, atmosfera jest jednym z najbardziéj znamiennym rysów średniowiecza. Ciasno zabudowane grody, wązkie, w nieporządku utrzymywane uliczki miejskie, w których nietylko sąsiednie domy, ale i przeciwległe przez nazewnątrz, jak ganki wyskakujące piętra stykały się z sobą, pozostawiając zaledwie wązkie pomiędzy domami szczeliny, nadto ciemna, niedostatecznie wentylowana siedziba człowieka, wszystko to sprowadziło niezdrową, trującą atmosferę. Dodajmy do tego całe wieki tak zewnętrznych, jak i wewnątrz Europy trwających, społeczny organizm wyczerpujących wojen, podczas których nikt o uprawie roli nie myślał, wślad zatem głód i epidemie, które stały się chroniczną chorobą wieku. W końcu XIII-go stulecia powstała najsilniejsza epidemia, czarna zaraza, swą straszliwą potęgą zawładnęła Sycylią, Prowancyą i Toskanią. Cała ludność Awinionu, Narbonny, Montpellier wymiera. Nigdy nie widziano i nie słyszano o takiéj śmiertelności. Już sam oddech zarażonego śmiertelnie raził otoczenie. Odwiedzający chorych na niechybną śmierć się narażali. Wilki zgłodniałe całemi stadami na miasta napadają, głód swój w kolebkach niemowląt zaspakajają. Matki nie mają dość siły, aby stanąć w obronie swych dzieci. Widziano nawzajem mordujących się synów i ojców, ludzi ściągających wisielców, aby sobie wstrętne zdobyć pożywienie. Osady znikają do ostatniego mieszkańca, trupów zaprzestano grzebać.

Jeżeli taka i w tych warunkach powstała atmosfera wypełnia zwykłą sypialną komnatę, lub też wielką przestrzeń, w któréj społeczeństwo całe oddycha, sny muszą być straszliwe, do głębi wzruszające. Typem ich t. zw. zmory, ród swój ze średniowiecza wywodzą. W tych czasach odwiedziny dyabłów są bardzo częste, a t. zw. succubi, bynajmniéj do osobliwości w wiekach średnich nie były zaliczane.

Kronikarz Grzegorz, zwany Turonensis od miasta Tours we Francyi, przytacza sen następujący. „Widziałem pewnéj nocy, już nad ranem, u mego łoża straszliwy maleńki dziwotwór, nieludzkiéj postaci. Wydawał mi się średniego wzrostu, z cienką szyją, chudy, z bardzo czarnemi oczyma i pomarszczoném czołem. Nos miał szeroki, usta duże, wargi nabrzmiałe, podbródek krótki, wielkie zaostrzone uszy, suche i brudne włosy, zęby psie, wystające piersi, garb na plecach etc.“

Jest to najdokładniejszy, jakby urzędowy rysopis postaci dyabła, na archiwolcie głównego wejścia kościoła Notre-Dame w Paryżu wyrzeźbionego.

Ślusarzowi Biscornet, autorowi ścierzy wrót tego kościoła,

zjawia się dyabeł, który dopomaga mu w wykonaniu przedsięwziętego dzieła [1]).

Zestawiliśmy tu fakta z trzech oddzielnych czerpane źródeł: fizyologii, kroniki i historyi sztuki. Wszystkie te fakta stwierdzają, że postać dyabła tak często w średniowiecznéj rzeźbie powtarzana, w sennêm spłodzona marzeniu.

Człowiek średniowieczny na post skazany, od wrażeń wzrokowych abstrakcyjnêm myśleniem oddzielony, w trującéj atmosferze oddychając, śni to o strasznych i dziwacznych tworach, to znów jego senne artystyczne obrazy niepochwytne, jak koronka średniowiecznéj katedry. Sny więc pod wpływem duszności, pod wpływem poświęcenia wrażeń wzrokowych na rzecz abstrakcyjnego myślenia, zarówno u pojedyńczego, jak u zbiorowego człowieka, są niepochwytne, chaotyczne, zawikłane lub zgrozą przejmujące. Wszystkie tych snów znamiona są zarazem znamionami sztuki średniowiecznéj.

Myśl zapanowywa nad kształtem, najdrobniejsze architektoniczne szczegóły wyrażają pewną ideę, choćby ta idea była tylko fikcyą, pozorem. O estetyczne (zmysłowe zatém) zadowolenie wzroku nie dba architekt średniowieczny. Widzimy to zarówno w budowlach publicznego, jak pierwotnego użytku. Pod natchnieniem mglawych, nieokreślonych snów, widoczna wszędzie z materyalizmem kształtów zacięta walka. Ideałem wieku staje się filigranowa jakby z drutu uwita budowla. Im przezroczystsza, im jéj części składowe dla wzroku niedostępniejsze, do niepochwytnego snu podobne, tém doskonalsze. Okrywa się ona mgłą niepewności, czyni jakby z poza przezroczystego woalu widziane oblicze. Obliczu temu szczególniéj sprzyjają blaski księżycowe; południowe słońce ściera zeń charakterystyczne piętno jego rysów.

To jest jeszcze jednym więcéj dowodem łączności architektury średniowiecznéj ze snami, urok których znika z pierwszym jaśniejszym słonecznym promieniem. Pod włoskiém też niebem gotyk jest egzotyczną rośliną, przenika tam sporadycznie, jest obcą naleciałością. Katedra w Medyolanie ma tylko pozory gotyku, nie będąc właściwie gotykiem.

Wpływ postów na styl średniowieczny rzeźby wszędzie widoczny. Galen już zauważył, że sny przy pożywnéj dyecie stają się wyraźnemi [2]). Tylor zaś dodaje, że trochę chleba i mięsa rozpraszają niepo-

---

[1]) Porówn. Viollet-le-Duc: „Dictionnaire.“ T. V, str. 33.

[2]) Radestock, str. 61.

chwytne senne wizye [1]). Trochę więcéj chleba i mięsa wpłynęłoby także na odżywienie zwiędłych muskułów, na wypełnienie wychudłych twarzy i płaskich piersi niebianek, głęboko w oczodoły zapadniętych melancholijnych źrenic, postaci rzeźbiarza średniowiecznego. Pod wpływem lepszego odżywiania, snów bardziéj plastycznych, odżyłaby karnacya i blask oczu postaci na witrażach katedr przedstawionych. Umartwione, głodne, w dusznéj atmosferze cienie świata malarskiego z żalem na świat patrzą, o jaknajśpieszniejszém opuszczeniu téj doliny łez, umartwień i głodu marzą. Gwałtowne, ale krótkotrwałe serca uderzenia, mistyczne porywy, bóle męczeństwa, wszystkie jestestwem wstrząsające uczucia wyczytasz, oprócz uczucia żądzy zakosztowania ziemskich rozkoszy...

Wcielenie snów, piętrzą się postacie jedne nad drugiemi, mieszają się wzajemnie i z konstrukcyą katedry. Archiwolty drzwi wchodowych z niezliczonéj liczby najrozmaitszych postaci uwite. Pod liśćmi kapiteli gnieżdżą się najrozmaitsze, częstokroć w rzeczywistym świecie nieznane zwierzęta i rośliny, dyabły w tych liści ukryciu walczą z duszami potępionych. Rynny do odpływu wód deszczowych przeznaczone, w kształcie rogatych dyabłów, smoków, lub też szatanów porywających grzeszne dusze [2]).

Pomimo wszystkich dowodów racyonalności gotyckiéj architektury, udowodnieniu któréj Viollet-le-Duc dziesięć tomów swego „Dictionnaire“ poświęca, widoczną jest także i przedewszystkiém dążność do wytworzenia z tego rodzaju dzieł sztuki, subtelnego, jak z gazów czarodziejskiego trójnogu powstałego, widzenia. Jest to kamienna illustracya mar sennych w dusznéj, pozbawionéj wzrokowych wrażeń atmosferze wysnutych.

Jeśli więc z jednéj strony artyzm helleński jest konkretnym obrazem marzeń pod wpływem bodźców wzrokowych i czystości atmosfery, to z drugiéj znów strony średniowieczna sztuka jest snem pod wpływem zakażonego powietrza, sfery wrażeń wzrokowych pozbawionéj, z abstrakcyjnego myślenia powstałych.

Jako kontrast średniowiecznego otoczenia, oprócz Hellady, jest Italia z epoki odrodzenia, jako zaś do pewnego stopnia analogia są czasy dzisiejsze. Włochy odrodzenia są areną najwspanialszych, ciągle powtarzających się festynów, w których książęta z liczną, bogato w jedwabie, aksamity, złoto i drogie kamienie przyodzianą świtą, dając swemi tryumfalnemi wjazdami przedstawienia, tym sposobem oczom

[1]) Tylor, II. str. 534.

[2]) Np. Saint-Nazaire w Carcassonne, w Clermont i wiele innych.

dostarczają karmi estetycznéj. Są to istne teatralne z wolnym dla publiczności wstępem dawane przedstawienia.

Dziś rzecz ma się wprost przeciwnie. Zamiast świetnych widowisk, od lat najmłodszych przesycają nas gramatycznemi abstrakcyami, przez zmysły do umysłu przemawianie z pedagogii wyrugowane, potém schematyczne w dusznéj atmosferze biurowe zajęcia czynią z nas ociemniałych, nieczułych na wrażenia piękna.

Tak tedy porównanie dwóch rodzajów otaczającego środka i w nim stylów sztuki powstałych, przekonywają nas już o łączności sennych i artystycznych marzeń.

3. Sny pod wpływem bodźców powonienia i pod wpływem narkotyków. Przykładem pierwszych estetyczne uzdolnienie Negrów.—drugich sztuka maurytańska.—Równoczesne działanie na wszystkie zmysły wywołuje chaotyczne obrazy, — przykładem sztuka Indów. Różnica pomiędzy bodźcami, wywołującemi sny i dzieła sztuki, jest ilościowa, nie zaś jakościowa.

Przejdźmy teraz do snów, pod wpływem bodźców na zmysł powonienia działających.

Jakkolwiek zapach, np. świeżo skoszonego siana, może podczas snu wywołać obraz kwiatami zasłanéj łąki, zauważmy jednak, że obrazy takie powstać mogą w fantazyi artystycznie rozwiniętéj, w każdym razie takiéj, która przyswoiła już sobie pewne wzrokowe spostrzeżenia. Tu zwrócić należy szczególniejszą uwagę, że wrażenia powonienia tłómaczymy sobie zawsze wzrokowemi obrazami, — zamiast czuć np. zapach róży, widzimy jéj kształt i barwę. „Snów powonienia (*Geruchsträume*) nie mogę sobie przypomnieć — mówi Fechner“ [1]). Dlatego też wrażenia, wyłącznie drogą zmysłu powonienia przenikające, bez współdziałania wzrokowych bodźców, są zarówno dla artystycznych, jak dla zwykłych mar w swych skutkach niepłodne.

Społeczeństwo więc, czy też rasa, któréj zmysł powonienia przeważnie rozwinięty, są nieczułe na wrażenia piękna plastycznego. Dowodem tego murzyni. Mają oni osobliwie zmysł powonienia rozwinięty. Co pochodzi z budowy ich nosa, znacznie niż u kaukazczyków szerszego, a zatém większą powierzchnią błony zaopatrzonego. Nadto nos negra ma często cztery współśrodkowe przedziały, podczas gdy u innych ras tylko trzy takie przedziały się znajdują. Jeżeli więc nasza estetyka do wyjaśnienia wzrokowych i słuchowych wrażeń zdąża, to estetyka negra, gdyby ją posiadał, miałaby za przedmiot wrażenie powonienia.

---

[1]) Porówn. Radestock, str. 116.

Murzyn zupełnie na piękno malarskie nieczuły, osobliwie na jego najsubtelniejszą gałąź: malarstwo krajobrazowe. Nie umié on sobie zdać sprawy z obrazu, przedstawiającego burzę lub wschód słońca, nie wié, co taki obraz przedstawia, lubo codzień ma możność tego rodzaju spostrzegać zjawiska. Nie wié on, czy taki obraz należy ku sobie górą, czy też dołem zwrócić.

Sny powstałe pod wpływem narkotyków, jako to: koki, opium, a osobliwie haszyszu, są rozkoszne i w najwyższym stopniu fantastyczne. Pod wpływem haszyszu widzimy nieskończenie mieniące się gwiazdy, arabeski, lekkie, eteryczne wspaniałe zamki i całe niebo zmysłowych rozkoszy. Pod wpływem takiego upojenia myślimy „jak pod zwrotnikami podczas południowéj siesty“ — są słowa Montegazza [1]).

To porównanie wyświetla nam istotę fantazyi artystycznéj pod wpływem podzwrotnikowego nieba. Są one kalejdoskopowemi obrazami, jak je trafnie Montegazza określa [2]). Takich właśnie kalejdoskopowych obrazów, snów takich, przez narkotyk wywołanych, wcieleniem jest architektura maurytańska.

Ornamentacya arabska jest szeregiem, wciąż zmieniających się o świetnéj barwie i nieskończoném bogactwie kształtów, kalejdoskopowych obrazów. Kombinacya linii zaćmiewa wzrok, jak narkotyk odurza organizm cały. Cienkie kolumny, wspierające stalaktytowe sklepienia, kwatery koronkową wypełniane ornamentacyą, nieskończoność wciąż nowych widoków, czyni z tych budowli istną siedzibę skrzydlatych elfów. A gdyby nie zakaz Alkoranu odtwarzania w sztuce postaci człowieka, twierdzićby można, że te czarodziejskie budowle byłyby przepełnione całym zastępem postaci aniołów, uroczych hurys, byłyby ziemską siedzibą wybrańców raju Mahometa [3]).

Dotąd wyjaśniliśmy sny pod wpływem bodźców, na oddzielne zmysły działających. Teraz przejdziemy do tych fantazyjnych objawów, które powstają przez działanie na wszystkie zarazem zmysły i narządy organizmu naszego.

Wszystkie zmysły i organizm cały naraz pobudzony, wytwarza w umyśle obrazy chaotyczne, zarówno podczas snu jak i czuwania. Obra-

---

[1]) Montegazza: „Fizyologia Rozkoszy,“ tłom. polskie F. Wermińskiego. Warszawa, str. 198.

[2]) Tamże, str. 194.

[3]) Porówn. także studyum moje p. n. „Szlakiem narodów,“ („Ateneum,“ zeszyty za lipiec i sierpień, 1889).

zy takie są do tych wrażeń podobne, których doznajemy, gdy słyszymy współcześnie z rozmaitych instrumentów wydobywane dźwięki. Indostan jest takim stekiem wszystkich najbardziéj jaskrawych kontrastów klimatu fauny i flory.

Podzwrotnikowe upały i deszcze ustępują w tym kraju chłodnym śniegom, a obfite kłębiące się pary — suchości powietrza. Pory roku w południowym Indostanie regulują się kierunkiem mussonu. Rodzaj i kierunek wiatrów ma wpływ na rodzaj snów. Mieszkańcy Jura tłómaczą zły humor i niepokój duchowy pewnemi kierunkami wiatrów. Godnym zaznaczenia faktem, że Indusi dla oznaczenia rozmaitych chorób nerwowych użyli nazw oznaczających kierunki wiatrów, w ich kraju panujących. Nigdzie też może gwałtowność i zmienność klimatu nie pozostawia tak wybitnych śladów, nietylko w marzeniach podczas snu powstałych, ale także w ich artystycznéj odmianie.

Taką samą, jak klimat, rozmaitością, odznacza się fauna i flora Indostanu. Drzewa na sto stóp wysokie, krzewy, które w oczach europejczyków za drzewa uchodzą, źdźbła kłosowe bambusu równają się naszym pniom drzewnym. Gaje drzew sandałowych, hebanowe i teakowe; najrozmaitsze gatunki palm, banany, drzewa kokosowe, muszkatołowe, cynamonowe, gwoździkowe,—wszystko to olśniewające europejczyka, odpowiedni także wpływ na wyobraźnią Indusa wywrzeć musiało. Wśród téj cudownéj dla nas, dzieci północy, mytycznéj, tylko z opisów i rysunków znanéj, rozmaitości czarodziejskich, powikłanych, zamęt sprowadzających widoków, istnieją jeszcze bardziéj dla nas dziwne żyjące twory.

Plantacye ryżowe są ojczyzną słonia, który ze względu na swe imponujące rozmiary i niezwykłą barwę, jest jakby przedpotowém zwierzęciem. Po gałęziach drzew tych dziewiczych lasów uwijają się szympanse, goryle i inne im pokrewne gatunki; jak nigdzie, dzikie, krwiożercze lwy i pantery dają krwawe widowiska. Po ziemi wiją się olbrzymie węże, z wód wyłaniają głowy krokodyle i inne ziemnowodne płazy. Jest to istny przedpotowy obraz.

Kiedy dziś jeszcze po europejskiéj gospodarce zachowała się taka barwność, rozmaitość i bogactwo widoków, łatwo wyobrazić sobie potęgę obrazów przed ośmioma wiekami, t. j. w chwili rozwoju sztuki indyjskiéj. Sztuka ta jest skrystalizowanym snem, z spostrzeżeń, jakiemi na jawie, w chwili realnego życia, Indus swą wyobraźnią karmił.

Indostan—to kraj cudowności, ojczyzna legend mistycznych, czarodziejskich bajek, przesądów, szalonego kultu religijnego. Potęga przyrody, która tyle świetnych widowisk oku Inda dostarczała, przygniatając go, stała się dla niego widomym niewidoméj potęgi obrazem.

Te wszystkie cuda, porywy duchowe, widokiem przyrody wywołane, ta nieokreśloność i nadzwyczajne bogactwo wrażeń, jak w sennêm marzeniu, jak w popękaném odbijają się zwierciedle; zwierciadłem têm jest sztuka na grucie Indostanu wyrosła. W niéj najprzód uderza nas rozrzutność, rzec można, marnotrawstwo w szafowaniu ornamentacyą, powikłanie oddzielnych motywów, które my, europejczycy, b a r o k i z m e m nazywamy. Odbija się w téj sztuce bogactwo fauny i flory, burzliwość klimatu,—słowem, właściwości gleby i otoczenia, w którém rozkwitła architektoniczna roślina.

Filary t. zw. Wielkiego Mandapum w Seringhamie, przedstawiają olbrzymie, na kilkadziesiąt metrów wysokie dębem stojące konie, na swych grzbietach unoszące jeźdźców. Pod końskiemi kopytami grupa ludzi: mężczyzna, kobieta, kilkoro dzieci, jakby umyślnie szukają śmierci pod c i ę ż a r e m olbrzymiego zwierzęcia. Cała ta grupa na rozmaite waryanty, przy każdym filarze powtórzona, na olbrzymich najdziwaczniéj rzeźbionych piedestałach wsparta.

W Ellora, olbrzymie w jednéj bryle kamienia wykute słonie, unoszą jakby tron władcy wschodu — kamienną świątynię. Gdzieindziéj znów, w Mahalaipur, cokół w kształcie nieistniejącego w rzeczywistości lwa, podpiera kolumnę o dziwacznych, jak jéj podstawa, kształtach.

Pilastry Tszulatri w Maduszc, to postacie złożone nawpół z końskiego tułowia, nawpół z głowy słonia, któréj wzór w naturze nie istnieje. Monstrualna ta w kamieniu wykuta bestya, zaciętą toczy walkę z innym nieznanym w zoologii, nie dającym się bliżéj określić, w najrozmaitsze ornamentacye tatuowanym dziwotworem, wspinającym się na łbie słonia w czaprak przystrojonego.

Inne znów kolumny w kształcie beczek, na równoległościennych piedestałach ustawione. Kolumny, pilastry, mające prostą funkcyą podpierania wyrażać, w tak zawikłanych, niebywałych w naturze, niczém nieusprawiedliwione kształty ujęte, że tylko senną logiką mogą być usprawiedliwione. Kolumna, pilastr — to najbardziéj dla każdego profana zrozumiałe składniki architektoniczne, a jednak jak trudno za pomocą opisu lub żywego słowa dać o nich wyobrażenie.

Stokroć też trudniejszém, a nawet wprost niemożliwém, jest odtworzenie za pomocą słowa całości budowli indyjskiéj. Kto tych budowli na rysunku nie widział, temu jedynie owe bezładne, mętne, nieskończenie powikłane senne marzenia, wynik gorączki lub zaburzeń funkcyi organizmu, dać mogą o téj architekturze wyobrażenie. Tylko bowiem patologiczny stan organizmu może być źródłem tworów tego rodzaju. Są to w kamieniu skrystalizowane sny Indów, produkt najsamowolniejszego kojarzenia myśli, tego rodzaju kojarzenia, które po

ocknieniu niedorzecznością zowiemy. A jednak takie dziwactwa podczas snu widziane, nawet ucywilizowany europejczyk, zarówno matematyk cyfrą wszechświat mierzący, jak poeta wszechświat idealizujący, za bezwzględną prawdę uważają.

Ze świata sennych i artystycznych marzeń zdrowa logika na wygnanie skazana. Na objawy sztuki, które Ind za ucieleśnienie ideałów uważa, europejczyk patrzy jako na głupi sen w chwilę po ocknieniu. We śnie gotowiśmy przysiądz, że niedorzeczność jest niezbitą prawdą. Prawdą jest też dla oka i wyobraźni Inda, kolumna, co nic nie podpiera, albo właściwéj sobie funkcyi nie wyraża.

Nikt podobno dotąd nie zdołał opisać pagody w Tanżur, w któréj rozczłonkowanie, zawikłanie linii, nieskończona liczba posągów i posążków wzrok oślepia i zamęt głowy sprowadza. W świątyni Boro Budor samych posągów Buddy narachowano 400. Innych, czworo-ramiennych posągów Siwy, lub dziewięcio-ramiennych postaci Ramy w pomnikach architektonicznych, na chwałę tym bóstwom wzniesionych, nikt zliczyć nie zdoła.

Wszystkie zmysły Inda w ciągłém naprężeniu, jak struna, która za chwilę ma pęknąć. Oko jego karmione najrozmaitszemi krajobrazami, przepełnionemi tworami flory i fauny. Zmysł słuchu wystawiony na grzmoty gwałtowne, odgłosy huraganów, a organizm cały na szalone prądy powietrza, nagle zrywające się burze, jak potop ulewne. Bujna i wspaniała flora barwami swemi wzrok oślepia, wonią odurza. Wznosząca się, to znów opadająca temperatura na cały organizm działa przygniatająco. Takie otoczenie fizyczne najbardziéj sprzyja rozwojowi szaleństwa. Szaleństwem też jest kult i sztuka Indów.

Wszystko, co tylko obłąkany umysł spłodzić może, znajdujemy w religii Indów, tych mistrzów fanatyzmu. Spotkanie np. wołu na drodze, za szczęśliwy prognostyk uważane. Podróżnicy opowiadają, nietylko do wspomnianego podobne niedorzeczne przesądy, ale nadto natury wstrętnéj i ohydnéj, których tu przytaczać nie chcemy. Zabicie krowy uważane w Indostanie za większą zbrodnię, niż zamordowanie człowieka. Podróżnik francuski, de Saint-Barthélemy widział w Malabarze pięciu na drzewie powieszonych ludzi,—była to kara wymierzona na tych nieszczęśliwych za zgładzenie ze świata — jałoszki! Według przekonania prawowiernego Inda, trzymanie krowy za ogon w chwili skonu pomaga duszy w przejściu do stref wiecznego szczęścia.

Wszystkie te bezecne niedorzeczności, senne halucynacye, które my, europejczycy, do ciągłéj czujności umysłu przez łagodny klimat pobudzani, za płody umysłowéj alienacyi uważamy, dla Inda są niezachwianą prawdą, podobnie jak prawdą są senne mary, nim je

ocknienie rozproszy. Wszystkie te brednie stanowią rdzeń, osnowę, sprężynę życia i sztuki Indów.

Rozbiór otaczającego środka, w którym rozkwitła sztuka helleńska, gotycka, Indów i maurytańska, obraz poczucia piękna u negrów, przekonał nas o ścisłém pokrewieństwie sennych i artystycznych marzeń, powstających pod wpływem jednakich bodźców.

Tym sposobem dokonaliśmy przeglądu działań bodźców na oddzielne zmysły. Zauważmy teraz, że różnica w naturze bodźców, senne i artystyczne marzenia powodujących, jest tylko ilościowa, nie zaś jakościowa.

Lekkie muśnięcie powietrza działa na wyobraźnią uśpionego, jak wielkie atmosferyczne prądy na wyobraźnią społeczeństwa. Tlejący strzępek papieru, podobnie jak miazmatami zakażone powietrze, któróm oddychało społeczeństwo średniowieczne, zarówno w fantazyi uśpionego pojedyńczego, jak zbiorowego człowieka, wywołuje straszliwe widziadła piekielne. Kropla wonnéj substancyi, albo zapach świeżo skoszonéj łąki, uśpiony utożsamia z kwiecistą łąką, egzotyczną roślinnością. Widzimy więc tu tylko ilościową nie zaś jakościową różnicę w działaniu bodźców zmysłowych [1]).

Podczas snu i w dziedzinie artystycznéj twórczości, sprowadzamy wszystkie wrażenia do reprodukcyi spostrzeżeń wzrokowych. Nie czujemy np. zapachu róży, ale ją widzimy. Tak samo dzieje się w świecie artyzmu, tylko to jest jego udziałem, co dla zmysłu wzroku dostępne, co barwą i kształtem da się ujawnić.

Bodźce zewnętrzne na fantazyą uśpionego działające, to na małą skalę zredukowane potęgi panujące w przyrodzie, w sztuce objawiające się arcydziełami. Arcydziełem też z punktu widzenia historycznéj estetyki jest zarówno sztuka Indów, jak Hellenów.

W świecie sennych i artystycznych marzeń zarówno, człowiek, nie mogąc sobie wytłómaczyć praw, światem fizycznym i duchowym rządzących, tworzy symbole dla uczuć jaźnią wstrząsających. Stąd powstaje świat nowy, który światem artyzmu nazywamy. Materyałem do budowy sennych i artystycznych marzeń są spostrzeżenia na jawie zebrane; w nich reprodukujemy to, czego doświadczyliśmy na jawie.

W tych dwóch napozór różnych, w istocie jednakich sferach życia duchowego, złudzenie do tego stopnia jest potężne, że niedorzeczności za absolutne prawdy przyjmujemy.

Ale nawet przy trzeźwości wszystkich zmysłów na jawie, nie jesteśmy zupełnie wolni od podobnych złudzeń. Groch np. na tekturę

---

[1]) Porówn. Chmielowskiego: Gieneza Fant. str. 84.

sypany, wywołuje złudzenie ulewnego deszczu na widzach, w sali teatralnéj zgromadzonych. Czyż tego rodzaju złudzenia, których więcéj można przytoczyć, nie są jeszcze jednym więcéj dowodem tożsamości pochodzenia sennych i artystycznych marzeń.

Nareszcie jedynym celem sennych i artystycznych obrazów zaspokojenie wyobraźni, uplastycznienie zewnętrznych bodźców wywołujących uczucia. Sny i sztuka wolne są od wszystkich materyalnych celów: sny dla snów—sztuka dla sztuki istnieje [1]).

(*D. c. n.*).

Kazimierz Kleczkowski.



[1]) „Słowem, w dziełach fantazyi nie idzie bynajmniej o ścisłość, o opis lub odmalowanie jaknajdrobnostkowsze, jaknajdokładniejsze i jaknajbardziej odpowiednie prawdzie przedmiotów lub zjawisk, które treść ich stanowią; lecz o to głównie, ażeby one zrobiły wrażenie“. (Chmielowski: „Gien. Fant.“ str. 93).



Z POMROKU.

„....Ta nieskazitelna i cicha pogoda letnia, to niebo tak błękitne, ta rzeka, po któréj wybrzeżu chodzę, te rosnące nad nią stare wierzby i zieleniejące za nią drogi, jakżeby mnie szczęśliwym czyniły przed laty! Dziś, sam nie wiem, po com tu przyszedł, ani po co stąd odejdę, bo gdziekolwiek się znajdę, wszędzie ze mną i we mnie pozostanie niepozbyte zwątpienie o prawdzie, piękności, wartości wszystkiego, mordercza zgryzota, która, jak dzieciożerczy Moloch, pochłania mi każdą, zaledwie zrodzoną uciechę. Daremnie pragnąłbym i usiłował okłamywać samego siebie; wiem, że nawet najnierozłączniejszym towarzyszom swoim, zmysłom własnym ufać nie mogę, bo wszystko co mnie otacza, a niegdyś cieszyło, jest tylko fałszywém odbiciem niewiadomego w ich zwierciedle. Ciemni tylko mniemać mogą, że natura w saméj istocie swojéj tak wygląda, jak oni ją w zwierciedle swoich zmysłów widzą. Ja wiem dobrze, iż gdybym milion lat poświęcił badaniu jednego drzewa, nie opadną z niego okrywające mi je zasłony. Ścisłiwém i twardém jest ono, prawda? gdy czołem o nie uderzę, guza sobie nabiję, a jemu wcale nie zaszkodzę. Lecz kula armatnia przejdzie przez nie jak przez masło i strzaskawszy je, sama caluteńką pozostanie. Dla mrówki grudy ziemi są tak wysokie, jak dla człowieka Jungfrau lub Czimboraso i nie ma najmniejszéj pewności, czy dla oczu byka, tak wrażliwych na kolor czerwony, w najmniejszym stopniu istnieje zielony, albo błękitny. Dalecy nasi przodkowie mniéj niż my barw rozpoznawali; czy naturze ich przybyło? Gdzie tam! nasze to narzędzia wzrokowe przez wydelikatnienie i gimnastykę, popchnęły nas naprzód na drodze — złudzeń. A muzyka dzikich i arye Verdiego? My wzdrygamy się na pierwszą. Papuasy ani myślą zachwycać się drugiemi. Dla czegóż to? Bo w saméj istocie rzeczy, ich przeraźliwe dla nas bębnienie i piszczenie, a obojętne dla nich arye włoskie, czy sonaty i fugi niemieckie, to zupełnie wszyst-

ko jedno. Różnica spoczywa w słuchowéj zdolności dzikich i naszéj. W gruncie, najmniéj jeszcze łudzą się ślepi i głusi; pierwsi nie widząc pozornych i tylko dla oka w ten sposób co nasze uorganizowanego istniejących kształtów i barw, nie są narażeni na oszustwa przynajmniéj wzroku; drudzy słyszą to tylko, co naprawdę istnieje w naturze, to jest, uderzeniami fal powietrznych o nasz przyrząd słuchowy nie mąconą względnie do nas — ciszę. Ale co ja splotłem! „To co naprawdę istnieje w naturze“... Alboż ja wiem, co tam istnieje: cisza grobowa, czy gwar, z którego ani jeden dźwięk nie dolatuje do mnie? Ciemność otchłani, czy blask, z którego ani jeden promyk mnie nie dosięga? Pełnia, czy próżnia? Harmonia, czy walka? Wszystko, czy nic z tego, co dla mnie znane, zrozumiałe? Nie wiem; o niczém, prócz absolutnéj w stosunku do mnie względności wszechrzeczy, nie wiem. Z téj absolutnéj względności wynika, że człowiek najrozumniejszy, na równi z ostatnim głupcem, jest co chwila, przez wszystko co go otacza i przez wszystko, co w samym sobie posiada, oszukiwany. Na tym punkcie ludzka mądrość i głupota, stają się z sobą bliźniaczo równemi, tylko gdy na łonie wiecznéj i nieprzeniknionéj tajemnicy, pierwsza drży w męczarniach niepokoju i nadaremnych pragnień, druga w przywiléj obojętności owinięta, błogo usypia.

....Tajemnica. Nauka jest pochodnią, z którą spuszczamy się w męty tajemnic, aby z nich perły wiedzy wynosić. Ale niedawno czytałem książkę jednego z najuczeńszych w świecie ludzi, któréj całą połowę zapełnia dział „Nieznanego“. Początek i koniec materyi, czas i przestrzeń, nieskończona wielkość i nieskończona małość, niepodzielność atomu i pierwszy początek życia, hierogliwy na mózgu ludzkim wytłoczone, a których żadna cudowna woda nigdy ani zetrze, ani wyjaśni. Jest tych hieroglifów liczba daleko większa, niż ich jeden umysł ludzki, również nieczytelny hieroglif, pomieścić w sobie może. Są one rozsiane po wszystkich umysłach badawczych i rozważających, a każdy ma swoje i każdy wié, że nauka to studnia, mogąca gasić pragnienie wiedzy tylko do pewnego stopnia, po którego przebyciu basta! choćbyś mózgi wszystkich pomarłych i żyjących mędrców pożarł, nie dowiesz się niczego, dla téj prostéj przyczyny, że oni sami o nieskończoném mnóstwie rzeczy nie wiedzieli nic oprócz tego, że nic o nich wiedzieć niepodobna. Jeżeli chcesz zdobyć wszystkie o wszystkiém wiadomości i pewniki, pytaj się głupców. Oni to posiadają stanowcze twierdzenia, przeczenia i na końcach swoich nosów stoją — jak na skałach. Szczęśliwi! Lecz cóż powiesz o świecie, na którym trzeba urodzić się głupcem, aby doświadczać szczęścia, sprawianego przez zupełne zadowolenie umysłu?...

...Mniejsza jednak o to; bo bądź co bądź, niewiadomość o rzeczach jakkolwiek najważniejszych dla ludzi, lecz oddalonych, nie wielkiéj ich liczbie głębokie i stałe udręczenia sprawia, co nawiasem, posłużyć może za wcale piękny dowód lekkomyślności i płytkości ludzkiéj. Istnieje przecież w téj dziedzinie zjawisko powszechniéj odczuwane i bezpośredniéj mordercze. Myślę o użytku czynionym przez ludzi z dostępnego im i już zdobytego zasobu wiedzy. Słyszę! słyszę! Druk! proch! koleje żelazne! telegrafy! telefony! wieża Eiffla! A, dajcież mi święty pokój przynajmniéj z tą wieżą! Znajduję, że świat dostał bzika na punkcie Eiffla i jego wieży! Cóż to? Czy nakarmi ona głodnych, pocieszy strapionych, od ohydnego czynu powściągnie rękę zbrodniarza, ze śmiertelnego łoża podźwignie genialnego człowieka, stokroć wyższego od niéj, choćby mu tylko trzy cale wzrostu było? Cud rachunku i mechaniki, powiadacie. Chciałbym słyszéć, co o tym cudzie powiedzieliby faraonowie, gdyby go widziéć mogli z głębi wzniesionych przez siebie piramid, także cudów świata, które nie przeszkodziły temu, że po faraonach, zarówno jak po tłumach niezliczonych pokoleń Egipcyan, które wielce podziwiały piramidy, nie pozostało marnéj garści prochu. Neron miał także słynny wówczesnym świecie i niezmiernie podziwiany złoty pałac, lecz ludzkość wolałaby najpewniéj wyrzec się w przeszłości złotego pałacu, aby tylko za jednym zachodem pozbyć się wspomnienia, że spłodzić mogła Nerona. „Wszystko to już było“, mówi jedna z osób słynnego dramatu, a ja zapytuję: co z tego wynikło? Iglicówki, armaty, pancerniki, torpedy, udoskonalone przez elektryczność uśmierzanie skazańców, ułatwione znoszenie się z sobą czułych kochanków i biegłych szachrajów... rocznik telegraficznych depesz ukazałby nam pewnie na jedno pocieszone, lub uspokojone serce, milion wypchanych kieszeni. Teraz podobno powietrze — poetyczny eter starożytnych — w czynności wzajemnego mordowania się ludzi, zastąpić ma ołów, a niewinne gołąbki i poczciwe pieski najpewniéj już dziełu temu znacznéj pomocy udzielać będą.

Przypuszczam, że od Machiawela do Bismarcka, wszyscy dyplomaci byli poniekąd uczonymi ludźmi, jednak gdy o nich myślę, podzielam zdanie starego Rousseau'a, że świat, któryby fraki i proch utracił, ale zarazem pozbył się dyplomacyi, zrobiłby wcale dobry interes. Co do interesów, nauka o podziale bogactw namiętnie zajmowała młodzieńcze lata moje, lecz oddawna już spostrzegłem, że w stopniu najmniejszym nie przeszkadza ona lwom zjadać owce, aż do ogonów, a pomniejszym zwierzątkom zdychać z głodu przy ogryzaniu tych ogonów, ani zapobiega współczesnemu istnieniu na ziemi faraonowych krów tłustych i chudych i takiemu ich boksowaniu, że może

przez nie kiedykolwiek uwielbiane wieże Eifflów wywrócą śliczne koziołki.

Temida z mieczem sprawiedliwości w ręku, imponująco wygląda, lecz nie trzeba być nawet jednym z jéj kapłanów, aby wiedzieć, ilu to cielskom czarnym aż do szpiku kości, z pomalowaną na różowo lub pozłoconą skórą, pozwala ona tryumfalnie przechadzać się po świecie, a ile dusz spodem białych, z powierzchnią tylko uczernioną, smaży i topi w kotle potępienia. Druk jest rzeczą wielką, ach, jak ja go za młodu uwielbiałem! I teraz jeszcze nęci on mnie ku sobie, przyzwyczajenie! ale dużo z szacunku mego utracił, odkąd w najmodniejszéj gazecie naczytałem się opisów najmodniejszych balów, odkąd w rękę mi wpadło parę pornograficznych piśmideł, odkąd szczególniéj wszystkie drukarnie tego świata odbiły oświadczenie najznakomitszego mówcy najpoważniejszego z parlamentów, że na obronę prawa przeciw sile, na oszczędzenie milionom ludzi milionów mąk, nie warto złożyć w ofierze ani jednéj kropli krwi i ani jednego szterlinga. Mój Boże! a ja właśnie tylu przeciwnych zdań naczytałem się w drukowanych dziełach wieszczów, że od nich jak żużel głowa mi gorzała! Otóż to! Z jednéj strony wieszcze za pomocą téj stugębnéj trąby, kanalię ludzką do czerwoności rozpalają, z drugiéj statyści, przez nią także, zimną wodę na głowy jéj leją. Podżegacze i straż ogniowa, bardzo dobrze; tylko, że przytém świat wygląda jak wóz, do którego z przodu i z tyłu zaprzężono konie i który, w dwa przeciwne kierunki pociągany, trzeszczy i pęka tak, że aż trzaski lecą. Biedne gorejące trzaski, które szczątkami swemi usiałyście ziemię, ten ogień, który was pożarł, jest dla mnie, jakby w przebłysku widzianym, lepszym od tego światem! Cóż, skoro inni twierdzą, że imię wasze: szaleńcy i że nikt o was inaczéj jak z pośmiewiskiem i urazą wspominać nie powinien! Co zaś największym funtem pieprzu w gardle mi zasiada, to, że oskarżeniu przeciw wam wnoszonemu, całkowicie przeczyć nie mogę. Tak, tak, wspaniałe duchy, nigdy nie pamiętano o tém, że chcąc dobro zrządzić ludzkości, nie ku wysokim przybytkom ideałów porywać ją należy, ale zapędzać do chléwa. Tam tylko, na bezpiecznym barłogu, nad pełném korytem, wygoda i spokój. Ilekroć zaś przez was porwana, ludzkość zerwała się do lotu, ćwiczono ją potém i porcye strawy jéj zmniejszano. Lecz tu znowu zastępuje mi drogę pytanie: pocóż w wyobraźni ludzkiéj istnieją ideały, skoro za każdą próbę wydobycia się z niéj na szerszą przestrzeń rózgami dostawać i śpiesznie z powrotem do miejsca powstania swego uciekać muszą? Spytajcie Dedala, po co Ikarowi skrzydła do ramion uczepiał? Ażeby mógł latać, odpowie. Jednak Ikar zamiast latać, utonął, gdy tymczasem współczesny mu Midas w złocie

chadzał i na złocie jadał, choć jak wiadomo, miał długie uszy. Wypadałoby z tego, że Dedalów i Ikarów za głupców, a Midasów za mędrców poczytywać trzeba. Ale jest w nas coś, co sąd taki wstrętnym i często niepodobnym czyni. Znowu ogień i woda, albo, jeżeli kto woli, wóz w dwie przeciwne strony ciągnięty.

....Znałem raz waryata, który postanowił dojść koniecznie do tego punktu widnokręgu, na którym ziemia styka się z niebem. Uciekł z lecznicy i szedł bardzo długo, dziwiąc się niezmiernie, że do upatrzonego celu nie zbliża się wcale. Potniał nieborak, od zmęczenia oddech tracił, ale szedł, aż go dozorca lecznicy dopędził i odpowiednim kaftanem skrępowawszy, w osobnéj celi na klucz zamknął. Słusznie utrzymuje włoski uczony, że pomiędzy waryacyą a geniuszem zachodzi bardzo bliskie pokrewieństwo. Lecz w takim razie, zkąd cześć wasza dla geniuszów, usiłujących dotrzéć do punktu, na którym ziemia styka się z niebem, skoro to jest niepodobieństwem? Jednak, czcimy ich, a potrochu także, w skrytości serca, i litujemy się nad nimi, nieprawdaż?

....Ależ poleciałem! no, no, zstąpmy niżéj, do codziennych stosunków i pospolitych spraw ludzkich, u których wrót witają nas dwie zachwycające wieszczki: miłość i przyjaźń. O pierwszéj niewiele pochlebnych rzeczy, po rozmowie z doświadczeniem, do powiedzenia miałbym. Że kobiéta, którą bardzo kochałem, na pamiątkę wspólnéj naszéj po różach szczęścia przechadzki, zostawiła mi w sercu ranę, któréj ani czas, ani przeświadczenie o marności wszystkiego na ziemi zagoić nie mogły, o to mniejsza. Ale, że ja najpospolitszą gęś za najrzadszego łabędzia, a zgrabny szkielet, cienką skórą i modną suknią obleczony, za piękną duszę wziąłem i że podobne omyłki mnóstwo ludzi przed oczami mojemi popełniało i popełnia, to mnie już niewypowiedzianie upokarza, gryzie i do miłości zniechęca. Zresztą, ściśle rzecz biorąc, o co właściwie tu idzie? Pamiętam, że do 16-tu lat mego życia, czytając powieści, w których kochankowie rozpacznie walczą z niepozwalającemi im pobrać się przeszkodami, téj ich rozpaczy i tym ich walkom dosyć nadziwić się nie mogłem. Bo, proszę państwa, ponieważ nieustannie mówili pomiędzy sobą o wzlatywaniu w wyższe sfery, a dla rozrywki zbierali na łąkach kwiaty, nie mogliż i bez ślubu to samo daléj czynić? Co im tak bardzo zależało na pobraniu się? poco im ono było tak upragnionem i koniecznem? To dziecinne zdziwienie moje zniknęło wtedy, gdy zrozumiałem, że miłość, cheu! nie polega głównie na wzlatywaniu. Co do przyjaźni, ilekroć ją wspominam, na myśl mi przychodzi zdanie starożytnego Rzymianina. „Z dzisiejszym przyjacielem, żyj jak z jutrzejszym wrogiem“. Jeden z przyjaciół moich, tak szczerze cieszy

się powodzeniem, którego w zawodzie moim doświadczałem, że bardzo pocichu usiłował ogłosić mnie za oszusta; drugi z kobietą, którą kochałem — wzleciał; trzeci, kiedy mu troski swoje powierzać zaczynam, śpiesznie mi mowę opowiadaniem o swoich przerywa; czwarty posiada prawdziwy talent znajdowania się przy mnie, gdy samotności potrzebuję, a ulatniania się nakształt eteru wówczas, gdy obecność jego od melancholii ratowaćby mnie mogła, jako téż mówienia o rzeczach, nie obchodzących mnie w stopniu najmniejszym, a unikania wszelkiéj rozmowy, któraby mi pociechę, lub korzyść sprawiła. Co jednak nietylko mnie już zasmuca, ale i zawstydza, to że o sobie samym nic o wiele lepszego pod tym względem powiedziéć nie mogę. Wprawdzie, żadnego z przyjaciół moich jawnie ani skrycie za oszusta nie ogłaszałem i żadnego z nich żony nie porywałem z sobą w wyższe sfery, bo takie kwiaty nie wzrastały na gruncie charakteru mego, którym, jak wiadomo, nie ja sam miałem zaszczyt siebie obdarzyć. Ale zlać się z drugą osobą w moralną jedność tak zupełną, aby aż zapomniéć, że ona mną a ja nią nie jestem, aby jéj błędy i przywary nieść tak ślepo i lekko, jak się zazwyczaj niesie własne, aby przenikać najsubtelniejsze jéj potrzeby i umiéć im czynić zadość, do tego wszystkiego na równi z przyjaciółmi mymi nie byłem zdolny. Mniéj może od wielu innych despotyczne, tkliwsze, uczciwsze, niemniéj przecież niepozbyte *ja*, było w najdroższych nawet stosunkach moich wiecznie obecném i więcéj niż połowy swoich wymagań, krytyk, nawet humorów, zrzec się nie mogło. Pomimo to, śmiem utrzymywać, że dosiągłem w téj mierze *maximum* mnie przynajmniéj znanéj możliwości, o ile bowiem spostrzegać i doświadczać mi się zdarzyło, wcale dobrymi już śmiertelnikami są ci, którzy jednéj czwartéj, dziesiątéj, setnéj swojego *ja* zrzekać się umieją, a gęsto można spotykać i takich, którzy nie zrzekają się go nigdy, w najmniejszéj części i w żadnym wypadku. Bywa owszem, że czułość jednego jest dla drugiego drożdżami, na których jego *ja* niepomiernie wyrasta w wysokość i szerokość. Wtedy spodem stosunku toczy się walka pomiędzy dwoma egoizmami, w któréj mniejszy ulega, lecz nie przepada i nad zgnębieniem swojém cierpi. Dzieje się tak w miłości, zarówno jak w przyjaźni; tu i tam strona mniéj o własny interes dbająca, mniejsze jego zadowolenie otrzymuje, a natury najsubtelniejszemi zaletami obdarzone, ulegają tym, które w wyższym stopniu posiadają energią samozachowawczego instynktu. Trudno zresztą, aby inaczéj było, skoro niezmiernie wyjątkowo wybieramy dla siebie najbliższych współtowarzyszy życia z pełnią rozwagi i woli. Najczęściéj namiętność, która oślepia, interes, który zwodzi, traf, który.....

....Traf! ach, mam cię najzłośliwszy z figlarzy, istoto, dla rozumu niepochwytna, a tak namacalna, że najkrańcowszy sceptycyzm o tobie nie wątpi, wszędobylski Figaro, który jednocześnie na milionach miejsc się zjawiasz, wszędzie i wszystkim płatając figle, najczęściéj bezsensowne, lecz za to okrutne. Od dzwonka u drzwi wchodowych i złego humoru kucharki, do spadającéj z gzymsu dachówki, gradowéj chmury i szkieletu śmierci, traf wszelkie postacie na siebie przybiera i sprawia, że znajdujemy się w towarzystwie naszych bliźnich wtedy właśnie, gdy po samotność pójść byśmy radzi pod kanapę, albo i pod ziemię, a samotni musimy być wtedy, gdy duch nasz od bliźnich otrzymać pragnąłby wsparcie, albo ich swoją uciechą obdarzyć; że na stole swoim znajdujemy lichy obiad przy psim głodzie, a wyborny przy zupełnym braku apetytu; że mucha, jad karbunkułu na ryjku niosąca, raźnie omija szpitalną babę, a całuje męża pełnego sił i zamiarów, lub rozkochaną w życiu i swoich marzeniach dziewicę. Ani spamiętać, ani wyliczyć podobna kolosów przewróconych, kwiatów zdeptanych, nosów stłuczonych i serc pękniętych—trafem. Dość powiedziéć, że traf stoi u dwu przeciwległych wrót życia, u początku jego i u końca. Nic nie objaśnia mię dla czego na tym, nie na innym punkcie czasu, przestrzeni, społecznéj i intelektualnéj drabiny przybyłem na świat, i nikt przewidziéć lub obrachować nie zdoła jakim sposobem, przez co i kiedy ze świata zejdę. Pomiędzy zaś dwojgiem tych wrót długa droga, wśród któréj co krok, co chwilę, jakieś cóś nieznane, niedojrzane, swawolne, stołek mi podstawia wtedy właśnie, gdy najprędzéj iść potrzebuję, kwiatami na mnie rzuca, gdy cieszyć się niemi nie mam czasu albo humoru, plącze najstaranniéj wyprzędzione przezemnie pasma, a na krosnach moich zasnuwa barwy i wzory, o których mnie nigdy ani się śniło. Wpatrując się najbaczniéj w łańcuch przyczyn, nie mogę odkryć téj, która sprawiła, że grad zniszczył zboże nie Pawła, ale Jakóba, że mój dobry znajomy zwichnął sobie rękę nie lewą, lecz prawą, że w najbliższém mojém sąsiedztwie zamieszkał człowiek nie ten, któryby byłby ozdobą dni moich, lecz ten, który stać się miał ich trucizną. Więc miéć uczucia, pragnienia, zamiary, w granicach ludzkiéj możliwości umiéć i wiedziéć wiele, w poczuciu ludzkiéj godności wysoko głowę nosić — i być w ręku nieznanego, swawolnego chłopczyka piłką—niewesoło!...

....Co prawda, godność człowiecza mnie bynajmniéj w pychę nie wbija. Gdybym był sędzią, skazałbym siebie samego na głęboką pokorę. Popełniłem parę błędów głównych i mnóstwo powszednich, a przybywszy na świat z większym od innych zasobem zalet, często nie umiałem ich ustrzedz od przemienienia się w przywary. Nic bo-

wiem nie ma pospolitszego nad przerabianie się w człowieku dobrych zalet w złe przywary, chyba takież przerabianie się w ludzkości pięknych teoryi w brzydkie zastosowania. Człowiek, który od przyrody otrzymał dar dobroci, albo wspaniałomyślności, zdolnym jest z pierwszéj uczynić mazgajstwo, a z drugiéj głupią rozrzutność. Ludzkość na drodze rozwoju swego, spotkawszy się z ideami wiary i miłości, pierwszą stosuje przez wzajemne wytępianie się różnych wiar, a drugą przez palenie żywcem mnóstwa cudzych dzieci, ku uczczeniu własnego molocha. Wszak wiadomą jest rzeczą, że póki sam silnie wierzę w Saturna, nie powinienem obok siebie znosić wiary w Neptuna, a jeżeli prawdziwie kocham to, co moje, największą dla mnie będzie chwałą, gdy spotwarzę, zdepcę, złupię to, co twoje. Znałem malca, który zabawki i przysmaki swoje rozdawał ubogim dzieciom i wróżyłem mu piękną, moralną przyszłość; jakże zmartwiony byłem, gdy ujrzałem go młodzieńcem, rzucającym przez okno pieniądze na muzykantów, którzy przygrywali uczcie, przez niego dla pasibrzuchów wydawanéj! Gościnne przyjmowanie pod pasterskiemi namiotami strudzonych wędrowców pustyni, wytworzyło z biegiem czasu salony, które całéj reszcie współczesnych nam namiotów odbierają możność zdrowego i trwałego ugaszczania samych gospodarzy. W młodości mojéj z kolosalną łatwością zawiązywałem z ludźmi bliskie stosunki i brałem się wnet do roboty przychylania ku nim nieba; gdy zaś zbliżeni okazywali się wielce dalekimi i za przychylanie ku nim nieba porządnego klapsa po ręku mnie dawali, wyrzekałem na rozczarowanie swoje i ludzką niewdzięczność. Niesłusznie. Sam sobie powinienem był wyrzucać, że dobrego pociągu do bliźnich nie zaprawiłem szczyptą oględności i że siedzącemu we mnie Donkiszotowi nie dałem na giermka—pospolitego, ale zdrowego rozsądku. W ogólności, cnoty i idee, jakkolwiek niewątpliwie organiczną część istoty ludzkiéj stanowią, dopóty świetlanemi i niepokalanemi pozostają, dopóki w krąg działań ludzkich nie wejdą. Marzenia młodzieńca o przyszłych jego czynach, takie do samych czynów mają najczęściéj podobieństwo, jak nauka Sakia Muniego, do przedstawiać i urzeczywistniać ją mającego Lamy z tybetańskiego klasztoru. Ze wspaniałości owych marzeń i owéj nauki pozostaje wprawdzie cóś, jakiś cień chwiejny i ruchy olbrzyma naśladujący, jakieś błędne, świetliste kółka, do okruch rozbitego słońca podobne. To też nieraz myślałem sobie, że aby ujrzéć doskonałego człowieka, trzeba go złożyć z oderwanych od ich całości zalet mnóstwa ludzi, i aby posiąść ideał, trzeba go sobie ulepić z drobnych jego urzeczywistnień, na ogromnych przestrzeniach miejsca i czasu rozproszonych...

....To, że wszystkie swoje własne błędy i głupstwa jasno przed

sobą widzę, pokuty za nie lżejszą mi nie czyni. Słyszałem nieraz pytanie: które z nieszczęść jest sroższém: to, które spadło na nas jak dachówka z gzymsu, czy to, któreśmy sobie jaknajstaranniéj własnemi rękami ulepili? Zastanawiając się nad tém, doszedłem do przekonania, że za najnieszczęśliwszego z ludzi uważać należy Jerzego Daudin, ilekroć naturalnie posiada on dość rozsądku i moralnego zmysłu, aby umiéć powiedziéć sobie: „sam tego chciałem!“ Człowiek, zraniony spadłą na niego dachówką, patetycznie załamuje dłonie i głośno, jawnie, ziemi i niebu o bólu swoim opowiada, co sprawia mu znaczną ulgę; Jerzy Dyndała, jeżeli obłudnikiem, ani ostatnim łotrem nie jest, pokornie nos spuszcza i truje się milczącą świadomością własnéj omyłki lub winy. Niewinność, jako rzecz pochlebna, przynosi chlubę, która dla wielu ran dość głębokich nawet jest niezłą maścią gojącą; uznanie własnéj winy, to pieprz i ocet srogiego dla wielu natur poniżenia przed samym sobą. W pierwszym wypadku, więcéj być musi żalu do przeznaczenia lub ludzi, ale w zamian więcéj zadowolenia z samego siebie; w drugim, rozsądny człowiek przychodzi do wniosku, że zawiódłszy się na samym sobie, nie ma dobréj racyi ufać innym, ani wymagać od innych tego, na co jemu samemu nie stało. Rdzeniem rzeczy zaś jest to, że każdego z żyjących oba te wypadki spotykać muszą. Spotykały i mnie, ale pod tym względem, jak pod każdym innym, za wyjątek siebie nie uważam i to mnie właśnie martwi. Wiem o tém bardzo dobrze, że moja historya jest jednym z rozdziałów historyi powszechnéj, wcale nie najsmutniejszym i w téj wiadomości nie znajduję dla siebie nic pocieszającego, bo wstrętną mi jest teorya zmniejszania własnych cierpień, przez widok równego, albo i większego cierpienia innych. Piękna mnie pociecha kąpać się, wraz z miliardem podobnych sobie istot, w powszechném gorzkiém morzu! Przeciwnie, gdybym w falach jego zanurzony widział wesołe towarzystwa, mile przechadzające się po hesperyjskich ogrodach, cieszyłbym się ich widokiem, chętnie zgadzałbym się w ich zastępstwie pić gorzkie wody, a może téż moje niepozbyte, wiekuiste *ja* miałoby odrobinę nadziei, że samo także zerwie kiedykolwiek złote jabłko, nie to, to tamto. Ale zbiorowa nędza nasza kołace w mojém wnętrzu, jak serce dzwonu w jego kielichu, nie pozwalając ustalić się w niém nawet ciszy. Mógłbym wyrzec się za siebie, nie umiem wyrzekać się za innych, ani na widok umierających, płaczących, błądzących, głodnych, cieszyć się tém, że ja jeszcze nie umarłem, że ja nie tak gorzko płaczę, że ja nie tak bez ratunku zabłądziłem, że ja nie głodny... Na suche lasy z pociechą taką!

....Pociechę znajdować mógłbym w myśli, że bądź co bądź przez niezmiernie powoli i wahadłowo postępujące, lecz niezaprzeczenie

prawdziwe oddziaływanie człowieka na naturę i siebie samego, suma zła zmniejszać się, a dobra wzrastać może,—mylę się,—tamta zmniejszeniu, a ta zwiększeniu uległa. Tak, to prawda, postępowi zaprzeczyć niepodobna. Ani natura dla człowieka tak groźną i jałową, ani sam człowiek tak nieszczęśliwym i okrutnym nie jest, jak to było w zaraniu jego żywota na ziemi. Nie lękamy się już własnego cienia i odbicia własnego oblicza lub głosu w wodzie lub echu; jeden na drugiego patrząc nie myślimy o tém, jak smacznémi kąskami mogłyby być nasze upieczone nosy; nie zarzynamy ludzi na ofiarę bogom, ani ich ciałami ryb w sadzawkach nie tuczymy. Wprawdzie, z ich trupów układamy jeszcze pomosty do sławy, ale ilekroć sprobujemy czynić to dla pieniędzy — idziemy na szubienicę. W poznaniu prawdy, pełnieniu dobra i używaniu piękna zaszło wiele odkryć, ulepszeń i wysubtelnień, a te kręgi światła, bardzo długo stanowiące nimby dla głów nielicznych wybrańców, rozszerzają coraz swoje orbity i końcami swoich promieni sięgają coraz daléj. Ach, jaśniéj zrobiło mnie się przed oczami! Z nóg mi spadają ciężkie kule, z gardła ustępuje pieprz! Nadziejo, słodycz i skrzydła twoje uczuwam! Jeżeli spełnienie się téj nadziei pracą przybliżyć można, do pracy! do pracy! jeżeli męką, budujcie i zapalajcie stos, niech nań wstąpię!

....Dobrze. A ci, którzy przeszli, te niezliczone mnóstwa, które na wieki minęły, nasyciwszy się męczarniami nam już nieznanemi, nie skosztowawszy nam znanych rozkoszy? Z tego, cośmy zdobyli, im nic już nie przybędzie, ani to, czegośmy się pozbyli, brzemion przez nich przeniesionych, o jeden atom nie umniejszy. Gdyby jęki samych tylko niewolników, przez świat starożytny biczowanych, zlały się w jeden krzyk, a blaski samych tylko męczeńskich stosów, przez świat średniowieczny zapalanych, stały się jednym blaskiem, ogłuchłaby od pierwszego, a od drugiego oślepła, cała dzisiejsza ludzkość. Są to przecież tylko dwa gatunki tego smacznego wina, którém niezliczone mnóstwa upajały się, nim do grobów poszły, a wyliczenie wszystkich zapełniłoby grube tomy. I my nic już przeciw temu nie możemy. Pośród nabytków naszych, nie ma ani źdźbła maści do gojenia ran i ani szmatki tkaniny do otarcia łez — zmarłym. Za wcześnie otrzymali oni życie, aby użyć tego nawet wątpliwego bezpieczeństwa i tych zatrutych słodyczy, jakie życie dla nas wydało. Nie z ich woli stało się to przecież, nie oni wyznaczali termin urodzin swoich. Więc, gdzież sprawiedliwość? Zasiew uczucia i pojęcia sprawiedliwości, w ludzkiéj swojéj naturze na świat przyniosłem, wszystko co mnie człowiekiem uspołecznionym czyniło, do wysokiéj potęgi je podniosło, tak, że za niepodobną do naprawienia i pocieszenia przeszłość czuję obrazę ciężką i w pełni radować

się polepszeniem bytu potomków, w obec otchłani nędz, która pożarła przodków, nie mogę. Czémże tamci zasłużyli na swój los okrutny, a ci na łagodniejszy? Ależ owszem, nabytki tych są właśnie zasługą tamtych. Widzę obraz olbrzymiéj pracowni, w któréj ze zgruchotanych kości i udręczonych duchów jednych pokoleń, wypieka się chléb i wyciska wino dla następnych. Gdzież sprawiedliwość? Z rozkazu natury one same tego pragnęły, aby dla przyszłych pokoleń z ich mąk powstawało szczęście, z ich śmierci życie. To prawda. Jednak, ja także namiętnie pragnę szczęścia pokoleń, choćby oddalonych, a zarazem czuję, że jakieś cóś wkręca się pomiędzy mnie a przyszłość mojego rodu i na usta mi kładnie gorzkie pytanie: a dla czegóż ja nie urodziłem się już w Edenie. Z oburzeniem pytanie to z ust swoich precz zrzucam, ale nie mogę wyrzucić z myśli innego: dlaczego ci, których kocham, a nawet obojętniejsi, lecz zawsze od następców bliżsi współcześnicy moi nie urodzili się już w Edenie — jeżeli kiedykolwiek będzie Eden? Nie proszono nas, abyśmy datę naszych narodzin wyznaczali i żałujemy bardzo, że z jakiegoś niewiadomego wora wysypano nas na świat wtedy, gdy jeszcze nie jest na nim najlepiéj, jak być może!

....Jeżeli kiedykolwiek będzie Eden? Jeżeli jest jakakolwiek rachuba nieomylna? Dwa a dwa cztery, pewnik nieomylny, powiecie. Tak, ale to pierwszy wyraz rachuku ludzkiego. Sprobujcie zliczyć wszystkie sekundy, przez które wszystkie znane ciała niebieskie dokonywają swoich obiegów i połączcie je z témi, przez które ich światła dobiegają ziemi, a potém przysięgnijcie, żeście w tym kolosalnym rachunku nie popełnili żadnéj omyłki. Z tém zaś tylko i tylko w pewnéj mierze, nie z dwa a dwa cztery, porównaną być może plątanina dziejowych zdarzeń i musów, która ludzkie wyrachowania i na nich oparte nadzieje psuje i zawodzi. Czy Marek Aureliusz, ten najdoskonaléj uspołeczniony człowiek, przewidział na tronie swoim dzikiego Alaryka? Jakiémże byłoby zadziwienie Lukrecyusza, gdyby mu ktoś w perspektywie przyszłości ukazał scholastę, wyskrobującego z pergaminu jego poemat o naturze rzeczy, aby go zastąpić swoją rozprawą o ilości aniołów, na główce szpilki zmieścić się mogących. Badacze, spostrzegający nieznane dotąd zjawisko, lub znajdujący nowe dla cierpień ludzkich lekarstwo, radują się, tryumfują; nie wiedzą, że w bliższéj, lub dalszéj przyszłości ktoś przyjdzie i dowiedzie, że to zjawisko było złudzeniem, a to lekarstwo trucizną. Gdyby z każdéj zdobytéj myśli i dokonanéj pracy, pasma odpowiednich następstw, aż do wyczerpania swego, wysnuwały się bez przeszkód i niespodzianek, świat mógłby stać się przybytkiem moralnego dobra, tak jakby stał się rajem nasycenia, gdyby wszystkie nasiona w ziemię

rzucane plon wydawały. Jednak rolnik sieje nietylko dla siebie, lecz jeszcze dla ziemnéj glisty, szarańczy, mrozu i gradowéj chmury. Siew myślicieli, wieszczów, bohatérów zjada wewnętrzne robactwo człowieka: głupota, występek, szał, i niweczą go burze dziejowe, które tę mają właściwość, że choć odzywają się coraz bliższym grzmotem, nikt bliskości ich nie spostrzega, ani domyśla się ich potęgi. Żadna z minionych cywilizacyi nie runęła nagle i każdéj starczyłoby sił i czasu, aby nadlatujący tuman odeprzéć, gdyby przenikała, że on ją pod sobą zagrzebie. Ale nie, społeczeństwa bawią się jaknajlepiéj wtedy właśnie, gdy dla ich dóbr najwyższych godzina zniszczenia wybija. Nic pospolitszego w dziejach, nad tańce na wulkanach i przedśmiertne orgie. Zkądże więc pewność, czy te zasiewy, które dokoła nas wcale nawet pięknie podrastają, nie staną się, jak tyle poprzednich, pastwą jakiéjś gradowéj chmury, jakiegoś gęstego tumanu, które już, już nadlatują, a my ich nie widzimy, lub widząc — lekceważymy? Zapewne, żaden zasiew nie ginie całkowicie, z tamtych zostały i z tego zostaną okruchy; lecz wielki Boże! czy słońce nie utraci wszystkiego ciepła swego, a jaki glob niebieski w spotkaniu z ziemią nie rozbije jéj wprzód—nim nieszczęsna Penelopa robotę swoję dokończy?

....Dość malowniczy zbieg dwóch zdarzeń historycznych, niegdyś dziecinną jeszcze wyobraźnią moję silnie uderzał. Kiedy Aleksander Macedoński podbił Persyą i dla oświetlenia orgii swojego zwycięskiego wojska, stolicę jéj zapalić rozkazał, patrząc na pożar starego Persepolis zawołał: zginęła Persya! Po setkach lat, rzymski zdobywca dla zwycięskiego swego wojska igrzyska wydając, oświetlał je pożarem góry, ułożonéj z broni pobitych Macedończyków i wołał: „Zginęła Macedonia!“ Ilekroć o dwóch tych pożarach, setkami lat z sobą rozdzielonych, myślałem, widziałem dwie łuny, ognistemi zgłoskami na niebie ludzkości kreślące: *Sic transit...*

....Tak przemija... Filozoficzna maksyma dodaje: chwała tego świata; każdy ziemski wędrowiec dodać może: wszystko. Kiedy oglądam się na własną przeszłość, widzę obraz drogi, zaludnionéj mnóstwem cieniów ludzi i rzeczy. Są tam postacie, które towarzyszyły mi u jéj początku, w pogodny poranek wiosenny, inne spotykałem przy skwarném słońcu, pod chmurami, wśród kwiatów, na ostrych kamieniach. Z tamtémi szedłem długo, z témi godzinę lub chwilę, tamte jeszcze rozminęły się tylko ze mną, lecz u każdéj uczepioną pozostała cząstka mojéj duszy: kropla przyjaźni, iskra sympatyi, chwila nadziei, boleści, zabawy, trochę lub dużo żalu, stałe lub lotne wspomnienie. Teraz widuję tylko ich cienie, gdy się za siebie obejrzę. Jedni poszli na inne, oddalone drogi; drudzy, jak krety, wsunęli się pod ziemię, zostawiając po sobie tylko nieco nad poziom wystające grudki ziemi;

innych, choć jak dawniéj obok mnie postępują, czas, lub rozwój mego własnego poznania tak odmienił, że w żaden sposób mniemać nie mogę, aby byli tymi samymi, z którymi szedłem niegdyś. Oprócz tych cieniów przeminionych dla mnie ludzi, na przebytéj drodze widzę jeszcze odbicia ponikłych obrazów. Ściany i pola, wody i drzewa, gniazda ludzkie i widoki natury, na których przez długie lub krótsze, ale pamiętne szeregi lat, lub chwil, wzrok zatrzymywałem, pośród których przeżyłem najwznioślejsze uniesienia i najgłębsze cisze, szlachetne godziny pracy i dręczące dni boleści, istniejecie kędyś i trwalsze od ludzi istnieć będziecie długo, ale nie dla mnie, bo ja was nigdy nie zobaczę. *Sic transit*....

....Co właściwie czuję, gdy pogrążam się w odmęcie tych ciemnych myśli? Gniew przeciw przeznaczeniom? pogardę dla ludzi? żal nad własnym losem? Nie, żadnego z tych uczuć nie odkrywam w sobie. Gniewać się na to coś olbrzymie, niepojęte, które skreśliło ogólny plan świata, nadało mu stałe prawa i bez uwagi na jednostki, nawet zbiorowe, do jakichś olbrzymich, niepojętych mi celów dąży, byłoby niedorzecznością, któréj nie popełniam. Miotać się przeciw niewiadomemu, kamienie ciskać w obłoki, szaleniec tylko może. Owszem, jedyną jeszcze dostępną mi pociechę czerpię w przypuszczeniu, że może jestem jedném z niezliczonych narzędzi, przez które buduje się coś doskonałego, jedną drobniutką cząstką dążenia, ku rozumnemu, niezmiernemu jakiemuś celowi. Gdybym to przypuszczenie w pewność mógł zamienić, byłbym szczęśliwym. Pogardzać ludźmi, rzecz śmieszna! Sam przecież jestem człowiekiem i patentu na najlepszość nie otrzymałem od nikogo. Co do własnego losu, cóżem to za figura, jaką tak wielką wyższość nad cierpiącym gatunkiem moim posiadam, abym miał przestrzeń rozdzierać jękami, dla tego, że także cierpię? Nie, ani gniewu, ani pogardy, ani żalu nad samym sobą nie czuję, tylko, ze wszystkiego com zgłębił i czegom przeniknąć nie zdołał, z tego com doznał i czegom nie zaznał, z dziejów świata i z maluczkości ludzkiéj woli, z nędz ludzkich i z moich zawodów, wybuchają tak gęste, ckliwe, dławiące opary melancholii i tak mnie całego ogarniają, że chwilami wydaje mi się, iż w nich tracę życie.

....Utracić życie, pozbyć się go... nieraz już o tém myślałem, ale powstrzymywało mnie zapytanie: co z tego wyniknie? Sam tylko otrząsnę się z niewygodnéj sukni, a więcéj nic, najzupełniéj nic nie sprawię, nie zbawię, nie naprawię. Pocóż więc? Dla siebie tylko, szkoda fatygi! Chociaż, kto wié, kilka kropel jeszcze z téj czary melancholii, z któréj oddawna pić nawykłem...“

Tu, wielki krzyk, z mnóstwa na raz piersi wychodzący, wyrwał go z odmętu myśli i zmusił do rozejrzenia się wokoło. Natychmiast zrozumiał co było przyczyną przerażenia zgromadzonych na brzegu rzeki ludzi. Przedtém, wzrok jego, bez udziału jego woli i wiedzy przesuwając się po błękitnym szlaku rzeki, spostrzegał na nim pospolite, lecz wdzięczne zjawisko. Było to czółenko małe, lekkie, w którém, z wiosłem w ręku i zaledwie niém wodę muskając, stało nie zupełnie jeszcze dorosłe chłopię, którego jednak postać już wysmukła i gibka, powabnemi zarysy odcinała się od pozłoconego błękitu powietrza, a twarz wśród złotych włosów i świéża jak jutrzenka, przedstawiała wyraz doskonałéj, niewinnéj radości. Ze swawolą dziecka, a siłą młodzieńca, popisywał się on przed widzami ścisłém przymierzem, łączącém go z płynnym, kapryśnym i niebezpiecznym żywiołem, po którego powierzchni igrał jak jaskółka. Widzami były same kobiéty, żony i matki rybaków, w rozsianych niedaleko chatach osiadłych, a to pacholę wesołe i śmiałe, było krwią z ich krwi i kością z ich kości, bo dzieckiem jednéj z nich, a ulubieńcem wszystkich. Jedna téż z nich, u saméj wody siedząca, często rękę z wrzecionem w dół opuszczała, a drugą naprzód wyciągając ze śmiechem, przed którym z twarzy jéj uciekały zmarszczki, wołała: „Patrzcie! patrzcie!“ Tamte patrzały i podziwiały: „Oto zuch!“ Młodziutkie zaś dziewczę, tak jak ów zuch rumiane, nakształt rybitwy porwało się z nad wody i klaszcząc w ręce brzegiem biegło, za niém stadem zerwały się, leciały i srebrem śmiechu przestrzeń napełniały jéj rówieśnice. W tém, wszystkie te postacie znieruchomiały, jak wyprężone struny i ze wszystkich ich piersi wydarł się ów wielki, jednogłośny krzyk, który melancholika z odmętu ciemnych myśli wyrwał. Spojrzał na rzekę, spostrzegł czółenko dnem obrócone ku górze i z wolą fali pomykające daleko, a gdzieindziéj kołującą, wzburzoną, rozgniewaną wodę. Zrozumiał, z szybkością myśli, do upragnionego celu lecącéj, zwierzchnią swą odzież na piasek wybrzeża rzucił i ku owemu rozgniewanemu punktowi rzeki już płynął. Czy był dobrym pływakiem, czy dość młodości i sił posiadał, aby uniknąć podstępów wody, które tamtego w nurty jéj porwały, nikt z patrzących nie wiedział, ale grobowa cisza zapanowała na brzegu, gdy pod falą zniknął, a w ogromne westchnienie przemieniła się wtedy, gdy znowu ukazał się nad nią, wlokąc za sobą ciężar, z którego widać tylko było, mieniące się z błękitem wody złote smugi włosów. Nie; pływakiem bardzo biegłym i wprawnym on nie jest, bo żony i matki tych, dla których woda tajemnic nie ma, z drżeniem spostrzegają, że choć połowę ledwie drogi swojéj przebył, ręce jego pracują z wysiłkiem i pierś coraz szybciéj, mozolniéj powietrze chwyta.

Może zagrożonemu zginięciem nic nie pomógłszy, zginie sam? Może im obu w porę przybędzie pomoc, bo już rzeką, z całych sił rąk i wioseł popychane, z téj i tamtéj strony lecą czółna, a brzegiem, z chat najbliższych i pól sąsiednich biegną, pędzą ludzie. Ale on, ów śmiertelnie na wodzie pracujący człowiek, ma wolę, która siłom wyczerpać się nie pozwala. Spoczywa chwilę, potém płynie znowu, już, już ma zdrętwiéć i znowu zapał krew mu rozgrzewa, już razem ze swoim ciężarem spływa pod falę i raz jeszcze uparty, zawzięty z pod niéj się wydobywa, aż zwycięski na brzeg wyskakuje i omdlałe pacholę u stóp oszalałéj zda się kobiéty składa. Oszalała bólem, zmieszanym z niepewną radością, osypuje je ona siwemi włosami i łzami, a dokoła przybywa, ciśnie się, gwarzy tłum, aż go roztrąca silne ramię starego, lecz ogromnego człowieka, który z ponurą iskrą w oczach, komuś, kogo tłum najściśléj zasłania, krótkie, chrypiące zadaje pytanie: „Czy będzie żył?“ Dość długo odpowiedzi niema, bo umysł lekarza tak jest przez czyn pochłoniętym, że na słowo zdobyć się nie może. Potém, z długiém westchnieniem ulgi, tłum zaszeptał: „żyje!“

Wtedy człowiek, po przeniesionym trudzie na brzegu spoczywający, uczuł, że do kolan jego lgną jakieś usta wdzięcznością pijane i ujrzał siwe włosy, jak róże tryumfu, rozsypujące się mu u stóp. Na rękach jego spoczęło. mnóstwo pocałunków i w mnóstwie wlepionych weń oczu wyczytał błogosławieństwo. Ale z pomiędzy tłumu innych, wyszedł jeden człowiek, stary lecz silny, ponury, lecz wezbraném uczuciem gorejący, wyciągnął do niego dłoń szeroką, twardą, grubą, w któréj mocno rękę jego zawarł i nie powiedział nic; tylko mu w twarz patrzał głęboko i tak długo, aż z ponurych oczu pociekła mu łza, jedna tylko, wielka i niema.

Znowu szedł wzdłuż rzeki, na pozór ten sam co wprzódy, lecz bardzo zmieniony. Całą jego istotę przenikała wielka słodycz i zadowolenie tak doskonałe, że źródła jego poszukiwać nie chciał i nie mógł. Długo nie myślał wcale, tylko cały był uczuciem radości i wdzięczności. Zmysły jego, z niewypowiedzianą rozkoszą kąpały się w widokach natury, któremi, jak złudzeniami, przed chwilą gardził. Czuł ciszę i ciepło pogody, szczebiot szczygłów wśród drzew wydawał się mu wdzięcznym, a wesołém, figlarném, wołanie kukułki za rzeką; starą wierzbę ze zwisającemi w dół gałęźmi porównywał do zawieszonego w powietrzu i ku wodzie spływającego strumienia rostopionego srebra. Czuł się lekkim, sprężystym, zachwyconym, szczęśli-

wym — z każdém szerokiém i swobodném odetchnięciem, z każdym obiegiem krwi w żyłach, czuł nowy strumień ciepła i energii.

Zanadto jednak przywykł wszystko, co czuł i spostrzegał, rozbiorowi rozumu poddawać, aby mógł długo, bezwiednie i bezmyślnie znosić stan nawet najrozkoszniejszy. Wkrótce więc znowu zanurzył się w myślach.

„....Piękną i wielką jest miłość téj matki i wdzięczność tych ludzi, ale najbardziéj wzrusza mnie i zachwyca ta jedna łza. Bo któżby się spodziéwał, aby w tém potężnie rozrosłém cielsku, istniało coś więcéj nad mięśnie, przez zjadany chléb odtwarzane, i troskę o chléb? Kości i muskuły jego, wśród trosk i trudów cielesnych, tak potężnie się rozrosły, iż łatwobym mniemał, że same jedne go stanowią. Tymczasem, patrzcie, on kocha, a to jedno ogniwo uczucia wywołuje do bytu inne. Wszystko to przecież jestże tym ideałem nieskazitelnym i wiecznotrwałym, którego pragnieniem płonąłem w młodości i którego nieznalezienie w odmęt melancholii rzuciło mój wiek dojrzały? Wcale nie; czas je osłabić, interes niemi zachwiać może, śmierć najpewniéj kres im położyć musi. Mniejsza o to; te okruchy ideału osłabną, zachwieją się, przeminą, ale były i dopóki ludzkość trwać będzie, na różnych punktach czasu i miejsca odradzać się nie przestaną. Znalazłszy się pośród zjawisk, znikomych i skazitelnych, ale naturze mojéj pokrewnych, doznałem takiego uczucia, jakbym odetchnął powietrzem dawno opuszczonéj, albo i wcale nie znanéj, lecz ukochanéj i uwielbionéj ojczyzny...

....Sam także przez chwilę wcielałem w siebie to, za czém tęsknota mnie trawiła. Doskonale, absolutnie pozbyłem się choć na chwilę swojego *ja*, do tego stopnia uczułem się jedną ż komórek, składających organizm swojego rodu, że dla jego pożytku, gotów byłem samego siebie utracić. To mnie nieco większym, przedewszystkiém lepszym uczyniło w oczach własnych. Niezmiernie ułomny jestem, lecz dobrym być mogę, popełniałem błędy, lecz mogę dopełniać cnót — więc, w górę czoło!

....Cnota? cóż to? Mamże bezmyślnie pić jéj balsamy, nie dociekając jéj istoty? Nie... Wiem już: to dopełnione prawo natury, która pomiędzy mną a moim rodem, ku jego i mojéj korzyści, zadzierzgnęła nici sympatyi i współczucia. Rzecz prosta: gdyby ludzie na każdym kroku i zawsze szkodzili sobie wzajem, gatunek ich z niezmierną szybkością musiałby zmaléć lub zginąć. Gdyby znowu, bez wyjątku i przestanku, pełnili czynność wzajemnego wspierania się i wzmacniania, ludzkość olbrzymiemi kroki dążyłaby do olbrzymiéj pomyślności. Ani tak, ani tak się nie dzieje; chwiejności ludzkich stosunków pomiędzy

samolubstwem a współczuciem, instynktem samozachowawczym cząstek i całości, w znacznéj mierze przypisać wypada chwiejność postępu ludzkości. Gdy jednak cząstka spełnia czynność sprzyjającą pomyślnemu rozwojowi swojéj całości, czyni zadość prawu natury, wypisanemu w niéj zgłoskami własnych jéj skłonności, a otrzymuje w zamian zadowolenie, towarzyszące pełnemu i swobodnemu używaniu otrzymanych od natury organów, bądź fizycznych, bądź moralnych.

....W téj ścisłéj łączności, wiążącéj mnie z moim rodem i w téj sympatyi, którą dla niego uczuwam, spostrzegam téż najgłębszą i zapewne najstalszą podstawę moralności. Mogę zwątpić o tém, że ktoś z wysoka postępki moje widzi i waży; mogę nie wierzyć, abym za nie, tu lub gdzieindziéj, dziś lub kiedykolwiek, jakąkolwiek otrzymał nagrodę; mogę nawet w niezmierném powikłaniu sprzecznych wypadków, obyczajów, pojęć, nie wiedziéć, po któréj stronie znajduje się prawda i powinność, ale zawsze pewnym być muszę, że istoty mnie podobne, zdolne są tak jak ja cierpiéć, upadać, marniéć, albo radować się, zwyciężać, wzrastać, że pierwsze przynosi im mękę i ujmę, a drugie rozkosz i korzyść, że więc ilekroć pierwsze umniejszę, a drugich przysporzę, uczynię dobrze, w mniejszéj lub większéj mierze, na drobnym punkcie miejsca i czasu urzeczywistnię ideał dobra. Wszelkiemu zaprzeczeniu, któreby tę wiarę moję spotkało, odpowiedziéć mogę: wiem jak cierpienie dolega, jak walka nuży i jak poniża upadek.... Człowiekiem jestem.

....Minęło, i to jak wszystko minęło. Kilka cieniów ludzkich i jeden znikły obraz więcéj na przebywanéj drodze, za mną. Jednak czuję, że posiadania téj chwili we wspomnieniu nie oddałbym za nic i nawet, że myliłem się mniemając, iż ją za sobą pozostawiłem. Idealny jéj obraz towarzyszy mi i teraz, wiem także, że jak tarczą, nim się niejednokrotnie osłonię przeciw nacierającym na mnie odmętom melancholii. Więc poniekąd, przemijanie rzeczy, nie ich trwałość, jest właśnie złudzeniem człowieka, bo to co minęło, trwa w duchu ludzkim pod postacią słodyczy lub trucizny, pociechy lub zgryzoty, więc zapewne i w ogólnéj sumie ludzkiego ducha pozostaje przelaną do niéj kroplą dobra, lub zła.

....Ale co tam! Dość myśléć! Chcę patrzéć na piękną naturę i poić się jéj czarem, choć nie wiem wcale, jak ona wygląda po za sferą zmysłów moich! Chcę cieszyć się, że od zgaśnięcia uratowałem jedno młode życie, choć wiem, że nie będzie ono ani doskonale szczęśliwém ani całkowicie dla szczęścia świata pomyślném. Chcę pocieszać się dostrzeżonemi okruchami ideału, choć wiem, że są one drobne i znikome.

Chcę czerpać siłę z minionéj chwili, choć ona minęła. Chcę żyć, pocieszać, wspomagać, ratować... Do pracy! do pracy!...“

Cóż to? Czy był on szaleńcem, noszącym w głowie mnóstwo sprzecznych myśli, które go pogrążały w otchłań melancholii, to naprzemian napełniały radością i zapałem? Nie; szaleńcem nie był. Był jednym z tych, których melancholia zamienić się może w szczęście, przez pełny i swobodny rozwój energii, skierowanéj ku czynom miłości.

El. Orzeszkowa.





ALOIZY ŻÓŁKOWSKI.

SZTUKA I SCENA.

Po raz pierwszy występując w „Ateneum“ na skutek wezwania, które za nieposledni honor uważam, występując przytém z wspomnieniem o świeżo zmarłym wielkim i niezmiernie popularnym aktorze, winienem odpowiedzieć pokrótce na trzy pytania: Dla czego zajmujemy się sztuką? Dla czego zajmujemy się teatrem? Dla czego podajemy wspomnienia o Żółkowskim? Nie lekceważymy wcale zarzutu, jaki ktokolwiek może nam postawić, że tyle jest rzeczy bezpośrednio pożytecznych, tyle kwestyi ważnych, nawet niekiedy palących, których rozwiązywania a przynajmniéj rozjaśniania czytelnicy wyczekują, które zatém są pilniejszemi, aniżeli sztuka, teatr, Żółkowski. Ze względu na podobne zarzuty, stawiliśmy sobie owe na początku zaznaczone pytania. Na dwa pierwsze odpowiadamy krótko i od razu, na trzecie odpowiedzią będzie cały ten artykuł. Odpowiedzi te będą naszém usprawiedliwieniem i może zdołają nas usprawiedliwić.

Sztuką w ogóle zajmujemy się dla tego, że widzimy w niéj bardzo ważny pierwiastek etyczny, że poczucie i uczucie piękna niemało się przyczynia do wyrobienia uczucia moralnego. Przepraszamy za naszą błahą erudycyą, ale nadużywać jéj nie będziemy,—przepraszamy za tę cytatę z Platona: „Istota dobrego ominęła nas, ale się zlała z istotą piękna.“

Może dziś nie jest zupełnie tak, jak twierdzi wielki Grek, ale najnowsza nawet szkoła filozoficzna powoli coraz więcéj uznaje etyczną potęgę poczucia piękna, o którego wpływie tak się jeden z wyznawców téj szkoły wyraża: „Jedynie uczucie estetyczne jest zdolne przez żyjącą intuicyą piękna złagodzić to, co w moralności faktów jest suchego i zimnego. Człowiek nie jest wyłącznie taksatorem interesów, obliczającym je za pomocą buchalteryi podwójnéj na sposób Benthama; nie

jest także istotą zajętą jedynie kwestyą utrzymania życia. Jest to istota rozpatrująca się w koło siebie, badająca i podziwiająca...“

„Poczucie typu moralnego — czytamy w inném miejscu tego traktatu, — które z wspomnieniem przeszłych ewolucyi łączy przeczucie ewolucyi przyszłéj, zlewa się z poczuciem piękności moralnéj. Nie chodzi tu o maksymę postępowania oderwanego, abstrakcyjnego, ale o maksymę pojętą jako żyjącą wolę indywidualną, która się stała charakterem, wyrażającą jednocześnie rodzaj, do jakiego ten charakter należy. Bywają maksymy wilcze lub tygrysie, bywają maksymy ludzkie. Kant trzyma się „nakazującéj“ (*imperativ*) formy prawa, nie widzi tegoż prawa przekonywającéj piękności; jednak wprzód zostaliśmy przekonani przez cel tego prawa, a dopiéro następnie uznajemy się za obowiązanych niém...“

„Nietylko czyn moralny może w oczach naszych urzeczywistnić typ normalny rodzaju człowieczego, co mu nadaje cechę piękna, ale może nawet, przynajmniéj z pozoru, rozlać się szerzéj i przewyższyć ludzkość jegoczesną, urzeczywistnić ideał tak powszechny, że nam się zdaje nadludzkim. Zdarzają się czyny poświęcenia i miłości, wskazujące duszę pracującą dla celów wyższych, aniżeli pospolicie ludzkie, pracującą dla społeczeństwa powszechnego, bez względu na czasy, miejsca, formy i odmiany gatunków. Czyn tego rodzaju zyskuje w naszych oczach wartość nieskończoną, w obec któréj wszystko ustaje, wszystko niknie. Otóż czyn, przez który dana indywidualność poświęca się bezwarunkowo dla celu powszechnego, wywołuje także w nas uczucie estetyczne, uczucie szczytności...“

„Ludzie więc, tak w porządku moralnym, jak w porządku fizycznym, zawsze rozróżniać będą między pięknością, właściwie tak nazywaną, a pomiędzy szczytnością. Piękność jest porządkiem określonym, jest to wola, w ład i ścisłość ujęta; szczytność to najwyższa wielkość woli, która, poświęcając siebie dla jakiéjś idei powszechnéj, daje nam tém samém poczucie nieskończoności... Jeżeli czyn szlachetny i bohaterski przewyższa wszystko, na co nasze siły mogłyby się zdobyć, doznajemy uczucia podobnego temu, jakie wzbudza nieprzejrzana przestrzeń morza, góry niebotyczne lub firmament. Jesteśmy jednocześnie w naszych oczach upokorzeni obcą wielkością, a zarazem podniesieni przez poczucie sympatyczne téj wielkości, któréj zarody w sercu nosimy. Im potęga rozwijana w bohaterskich czynach zdaje się bliższą temu, czém byłaby absolutna i wszechwładna potęga nazywana wolnością, tém szczytniejszą wydaje się nam wola ludzka, bez względu na wszelkie metafizyczne teorye o jéj zakrytéj nam istocie...“

„Ale tak w porządku umysłowym, jak w porządku fizycznym,

spotykamy jeszcze rzecz piękniejszą aniżeli piękność, a w niektórych razach szczytniejszą aniżeli szczytność, tą rzeczą jest wdzięk, — wdzięk pod dwoma formami: niewinności i dobroci. Pierwsza z nich jego jutrzenką dobra, druga jego blaskiem. Bez względu na doktryny, jakie w przyszłości wezmą górę, czyż można wyobrazić sobie, że ludzkość stanie się nieczułą na wdzięk niewinności w dziecku, na tę samorzutność życia, dążącego do rozszerzenia się, do oddania siebie, nie świadomą jeszcze twardych wymagań istnienia i walki egoizmów... Na drugim znów krańcu życia, gdy niewinność a nawet sama cnota ustąpiły czemuś jeszcze piękniejszemu, gdy dobroć stała się drugą naturą, kiedy źródło wewnętrzne stało się tak obfitém, iż się rozlewa bez trudu; ten rozlew miłości przybiera tém samém charakter wdzięku..."

„Człowiek cnotliwy jest artystą, który pracuje nad sobą, zamiast pracować nad materyą zewnętrzną; jest wzorem piękności, który się urzeczywistnia przez samo pojęcie siebie; jest posągiem, który się rzeźbi sam, pojmując siebie pięknym; jest harmonią, która naprawdę jako ideał w myśli istnieje, przez to samo zdobywa sobie rzeczywistość i odbrzmiewa wewnętrznemi akordami..."

„Dlatego, oprócz Darwina wyboru przyrodzonego i płciowego, przypuszczamy jeszcze wybór społeczny, którego wpływ, naszém zdaniem, będzie wzrastał ciągle. Widzieliśmy, że wybór płciowy w rozmaitych gatunkach pracuje nad wyłączeniem szpetności i ułomności fizycznych; wybór społeczny pracować będzie nad wyłączeniem szpetności i ułomności psychologicznych. Ta siła wyboru jest dla moralności ekwiwalentem niezmiernéj wagi. Co więcéj, pomiędzy osobnikiem a społeczeństwem istnieć będzie zawsze rodzaj działania i oddziaływania mechanicznego, które dążyć będzie do zupełnego kojarzenia się piękności wewnętrznéj i osobistéj z poczuciem użyteczności społecznéj... Spencer, zachodząc jeszcze daléj, przypuszcza, że piękność fizyczna rysów i piękność duchowa dążyć będą postępowo do zupełnego zespolenia. Powszechnie panuje instynktowa wiara, która dotąd przetrzymała wszelakie zaprzeczenia, że pomiędzy przeważającemi rysami fizycznemi a moralnemi istnieje pewien mniéj lub więcéj odległy związek. Według Spencera wyraz jest to twarz w działaniu; otóż wyraz ma pewne znaczenie, forma więc, jaką powoli nadaje rysom, musi mieć także znaczenie..."

Tę stronę czysto społeczną piękna i sztuki wykazał bardzo dobitnie Guyau w jednem z swych dwóch wielkich dzieł pośmiertnych, noszącém tytuł „Sztuka z socyalnego punktu widzenia." Trzeba, by ludzkość znowu mogła zawołać: „Dobro wcieliło się w piękno i zamieszkało między nami." Według Guyau, wrażenie wywierane przez

sztukę jest wrażeniem socyalném. Sztuka przez uczucie ożywiająca wszystko, jest rozszerzeniem uspołecznienia do wszystkich istot w naturze, nawet do istności pojmowanych jako przewyższające naturę, nakoniec do istot stworzonych tylko przez imaginacyą ludzką. Następstwem wrażenia, jakie wywołuje, jest silniejszy rozwój życia indywidualnego, które za jéj pośrednictwem zlewa się z życiem szerszém i powszechném. Najwyższym celem sztuki jest wywołanie wrażeń estetycznych charakteru społecznego. Jeżeli widok boleści przedstawionéj np. w obrazie „Wdowa żołnierza“ wzrusza nas, znaczy to, że jedna dusza została zrozumianą i przeniknioną przez inną duszą; pomimo fizycznych zapor nastąpił związek wspólności moralnéj pomiędzy geniuszem a boleścią, z którą on sympatyzuje, Istnieje więc tam związek, spółka dusz urzeczywistniona, żyjąca przed naszémi oczyma, wzywająca nas do udziału, a do któréj faktycznie przystępujemy całą siłą myśli naszéj i serca... Czyż znane np. obrazy Grotgera lub inne nie wywierają na nas podobnego etycznego, to jest uszlachetniającego, umoralniającego i uspołeczniającego wrażenia.

„Wrażenia estetyczne, nawet najzupełniéj elementarne, najbliższe przyjemności czysto osobistéj, okalają jednak uczucie solidarnością organiczną, harmonią i spójnią wszystkich części naszéj istoty... Ale wrażeniem estetycznémnajwyższém jest to, które nas porywa, i wynika z szerszéj solidarności społecznéj albo raczéj powszechnéj.“ Przyjemności nie mające nic nieosobistego, pisze Guyau, nie mają téż nic trwałego; przeciwnie przyjemność, którąby miała tylko charakter powszechny, byłaby wieczną. W negacyi egoizmu jedynie, w negacyi zgodnéj najzupełniéj z rozszerzaniem się życia, estetyka i moralność winny szukać tego, co nie zginie...“

Dość już tych cytat. Może ich nawet za wiele. Może spotka nas zarzut, że pomimo swéj uczciwéj treści, są one w formie swéj za ciężkie, za zbyt oderwane, za daleko sięgające, za mało przystępne dla umysłów nie nawykłych do tego rodzaju wywodów ogólnych, filozoficznemi zwanych, że zwłaszcza nie przystają do przedmiotu tak konkretnego, jak artykuł o aktorze, popularnym wprawdzie bardzo, ale tylko aktorze. Na te zarzuty pozwalamy sobie odpowiedzieć: że cytaty wybieraliśmy o ile się dało najprzystępniejsze, że staraliśmy się w nich o jasność jaknajwiększą, że może przeczytane raz i drugi przyniosą pewien pożytek, jednając u nas umysły, do téj pory obojętne, dla artystycznego piękna, dla estetycznego wykształcenia, sięgającego głębiéj aniżeli w ogóle sięgać zwykliśmy i nieograniczającego się na chwilowéj „czysto osobistéj“ przyjemności. Według nas cytaty owe wskazują niezmierne znaczenie nietylko kształcące, ale i wychowawcze estetyki,

nietylko naukowe, ale i moralne. Są one zarazem protestacyą przeciw pewnemu rodzajowi literatury coraz bardziéj rozpowszechnianéj, w któréj brak zdrowia intelektualnego i moralnego, literatury pisarzy, którzy stracili czy tracą równowagę duchową, wyszukując w więzieniach lub szpitalach wyjątkowe, najjaskrawsze okazy zbrodniarzy lub neuropatów. „Prawdziwa piękność artystyczna jest zarazem moralizującą, bo jest wyrazem prawdziwéj społeczeństwości.“

Nie chcemy znowu wpadać w cytaty, ani rozszerzać téj odpowiedzi, poprzestajemy więc na tym aforyzmie. Nie będziemy wykazywać, ile szkód zrządziła i zrządza ciągle owa literatura, oparta wyłącznie na téj chorobliwéj i bolesnéj analizie, na tém udawaniu rozpacznego pesymizmu, na nieokiełznanéj niczém próżności i bałwochwalstwie siebie, na tém rozmiłowaniu w rzeczach ponurych, wstrętnych i przerażających, czém się dziś przed innémi odznacza literatura francuska, o któréj słusznie powiedział Guyau: „Do najważniejszych wad naszéj współczesnéj literatury wliczyć należy tę, iż coraz bardziéj zaludnia tę dziedzinę piekła, w któréj przebywają, wedle Dantego, ci, co całe życie swe przepłakali, mogąc być jednak rzeźkiéj myśli.“

Nie bez powodu téż pożyczaliśmy owe cytaty od poważniejszych przedstawicieli pozytywnéj szkoły filozoficznéj, na którą owa literatura tak się skwapliwie powoływać lubi, cytując teorye walki o byt, determinizmu, pesymizmu, potępienia ideału, jedyny cel widząca albo w ultra-poziomym utylitaryzmie, albo w rozbestwieniu użycia, w moralności nie chcąca widzieć żadnéj poezyi, któréj to poezyi wielkość a nawet społeczną ważność cytaty nasze wykazują.

To występujące teraz dążenie do nadawania większéj wagi estetycznym pojęciom i poczuciom, to ich wywyższenie przez łączność z etyką, zdaje się nam ważną w nowéj szkole ewolucyą. Może się mylimy, ale wygląda to jak zwrot ku owéj staréj helleńskiéj zasadzie łączności „piękna z dobrem“ (*Kalos kai agatos*), którą najwymowniéj wykładał Plato. Ta zasada nie jest zresztą wyłączną własnością Greków, spotykamy ją wszędzie, prawie bezwiedną, w formach językowych. Czyż w najzwyczajniejszéj potocznéj rozmowie zamiast branych z etyki wyrazów: „moralny,“ „uczciwy,“ „szlachetny,“ „zacny“ i t. p., nie używamy pożyczanych z estetyki wyrazów: „piękny,“ „wzniosły,“ „szczytny“ i t. p. Czyż z drugiéj strony w podobnyż sposób nie nazywamy szalbierza brudnym charakterem, jego działań brudami lub szpetotą moralną i t. p., jak byśmy chcieli powiedzieć, że wszystko, co jest uczciwém moralnie, jest zarazem estetycznie pięknem, wszelka zaś zdrożność, występek, wada charakteru, sprosność odstręcza nas brzydotą. Nie zagłębiamy się daléj.

Dlaczego jednak przyczepiliśmy te uwagi do teatru i do życia aktora? Dlatego, że teatr, który stał się już dość ważną dla naszego społeczeństwa potrzebą, stawać się będzie coraz ważniejszą w miarę postępu oświaty i kształcenia się naszego, że sztuka dramatyczna jest jedną ze sztuk dla ogółu najprzystępniejszych, bo działa bezpośrednio na tłumy, bo żadnych uprzednich przygotowań od publiczności nie wymaga, i działa zarówno na więcéj, jak na mniéj wykształconych, na tych ostatnich nieraz pono silniéj aniżeli na pierwszych, że działa pobudzająco i rozbudzająco.

Mówiąc zresztą o teatrze, aktorach i aktorze, zawadzamy zarazem o najwyższą ze sztuk, o sztukę słowa pisanego, o literaturę. Autor tworzy, aktor tylko myśl jego odtwarza, nadając jéj ciało, ruch i niby materyalne życie. Gdy jest wielkim aktorem nadaje jéj chwilowo potęgę taką, jakiéj niekiedy nie domyślał się sam autor. Widywaliśmy tego liczne przykłady w sztukach nieraz bardzo miernych, w przeróbkach z powieści średniéj wartości, w komedyach niekiedy na kolanie pisanych i na pół improwizowanych. Bywały przykłady, że bez pomocy gry, giestu, mimiki, a tylko umiejętnie zużytkowaną siłą swego głosu aktor z estrady koncertowéj elektryzował tłumy, to dreszczem je przejmując, to w zapał wprawiając. Takim bywał niedawno zmarły Królikowski. Moglibyśmy powiedzieć ciekawe rzeczy o ostrożności, z jaką każda taka deklamacya Królikowskiego przed koncertem kontrolowaną była poprzednio tam, gdzie ją kontrolowano. Jak usuwać musiano tę lub ową deklamacyą dlatego, że ją Królikowski mówić miał nie zaś kto inny. Wielka siła spoczywa w teatrze i wielkie jest jego oddziaływanie.

Więc jedyną twórczą na scenie siłą jest poeta, jest autor, którego słowo aktor przedstawia? Wcale nie. By twórczość poety uwydatniła się na scenie jak przystoi, by zyskała odpowiednie światło i życie, by wywarła zamierzone wrażenie, aktor także musi być twórczy. Tylko twórczość jego jest innego od twórczości autora rodzaju. Rozmiary téj twórczości stanowią miarę jego talentu a, w połączeniu z innemi wpływami, zapewnia mu ona wpływ i działanie na tłumy. Twórczość istotna tu, jak wszędzie, nie leży tylko w samym pomyśle ale i w pomysłu tego wykończeniu, to zaś znowu nie leży w samym głosie i umiejętném jego użyciu, chociaż ten jest najważniejszém dla aktora narzędziem, ale i w grze, to jest w plastyczném przedstawieniu stworzonéj przez niego postaci.

Piszemy to wspomnienie o Żółkowskim, bo był wielkim aktorem, był zaś nim dlatego, że w swoim czasie posiadał potęgę téj scenicznéj twórczości tak wielką, że nią nawet najznakomitszych aktorów zadzi-

wiał a wielu z nich znacznie przewyższał. Ta siła pozwalała mu nietylko godnie odtworzyć i przedstawić to, co autor stworzył, ale nawet tak uzupełnić autora, iż postać, przez aktora stworzona, w grze jego psychologicznie była bardziéj wykończoną i lepiéj się tłómaczyła aniżeli w saméj sztuce. Twórczość ta, ów główny zaród talentu, jest siłą daną, wrodzoną, aktor, jak każdy inny artysta, przynosi ją z sobą; ale siłę tę, jak każdą inną, tak samo można utracić niedbalstwem, lub bardzo osłabić, pracą zaś i czuwaniem nieustanném można ją wzmocnić i rozwinąć, zrobić posłuszną woli i wydobyć z niéj wszystko, co dać może. „Publiczność zwykle przecenia subtelną genialność aktora a lekceważy jego wyrobioną biegłość, pisze jeden z poważnych krytyków. Gotowa ona przypisywać mu przesądnie wielką moc intelektualnéj pomysłowości i poetycznéj twórczości, do których mniéj on posiada prawa, a zaniedbuje uznania wszystkich trudności, jakie zwyciężył zapomocą swego artystycznego wyrobienia. Zwyczajny widz odbiéra wrażenia, ale nie jest zdolny odkryć źródła tych wrażeń, zbyt często zespala on w jedno aktora z charakterem i aktorowi przypisuje efekta, które wyłącznie do dramaturga należą. Ta iluzya nie opuszcza owego widza, gdy go nie wzrusza ten sam aktor w jakiéjś innéj roli, przedstawiając tę samą namiętność, nie nakreśloną z estetyczną prawdą przez dramaturga. Tysiące ludzi wzruszali w „Hamlecie“ ciż sami aktorowie, których gra w innych rolach wywoływała tylko obojętność....“

Otóż Żółkowski łączył w najwyższym stopniu tę siłę wrodzoną z pracą a czujnością. Że mu ta praca może łatwiéj przychodziła aniżeli innym, że zwłaszcza w grze jego nie widziano żadnego wysilenia i roboty, a tylko prawdę i naturę, to zawdzięczał swemu talentowi. Ale widz zdający sobie poważniéj sprawę z téj gry, badający jéj szczegóły i niezmierne jéj a subtelne oświetlenia, pojmował, że obmyślenie tyleż do téj doskonałości przyczyniło się, co talent i dziwna intuicyjna genialność.

Że talent mógł odgrywać główną rolę, o tém świadczy niezmierna szybkość wyrobienia artysty. Pamiętamy go od lat pięćdziesięciu; wszystkie postaci, w on czas przezeń przedstawiane, zostały nam dotąd w bardzo żywéj pamięci silnie zarysowane. Gotowi jesteśmy prawie powiedzieć, że już wówczas Żółkowski był tak wielkim aktorem, jakim go widzieliśmy do śmierci. Sztuki były inne ale doskonałość gry była taż sama. Koledzy, którzy go znali od pierwszego wystąpienia, zapewniali nas, że od początku był takim, jakim go widzieliśmy wówczas, kiedy już lat ośm scenicznéj pracy liczył.

Zawód swój Żółkowski rozpoczął bardzo wcześnie. Urodzony

4 grudnia 1814 r., w 1832 zatém mając lat ośmnaście, już wstąpił na scenę, zrazu występując w chórach opery; w rok jednak późniéj (w 1833) już grał rolę samodzielną, i to w operze (Anglika w „Fra Diavolo“), zastępując chorego Zdanowicza i zrobił dobre wrażenie. Zadziwił zaś publiczność wkrótce po tém, także w operze („Zampa“), grając rolę Dandola. Pomiędzy temi dwoma operowemi wystąpieniami, grał w dwóch komedyach („Dwaj Sieciechowie“, „Ona mnie nienawidzi“). Stanowczym jednak zwycięskim krokiem była rola w „Zampie“. Odtąd nawet koledzy zaczęli patrzéć na tego młodego człowieka jak na skończonego artystę. Zdanie kolegów więcéj tu dla nas znaczy, aniżeli oklaski publiczności, któréj już wówczas Żółkowski zaczynał być ulubieńcem, a którą od razu mogło dobrze usposabiać bardzo jeszcze wówczas żywe wspomnienie jego ojca.

Zmarły bowiem przed miesiącem wielki artysta, był synem słynnego i pupularnego niezmiernie, nietylko w Warszawie, Aloizego Żółkowskiego, autora „Momusa“, aktora sceny warszawskiéj przez ćwierć wieku, powszechnie znanego i niezmiernie lubianego za dowcip i humor niewyczerpany. Rodzina Żółkowskiego idzie z Litwy, ojciec jego rodził się w Nowogrodzkim powiecie, zkąd wyrostkiem przewieziony został do Lwowa.

We Lwowie w owe czasy bawił z swém towarzystwem Bogusławski, który jednak, zmuszony finansowemi niepowodzeniami, w lat parę Lwów opuścił i przeniósł się do Warszawy. Były to czasy bohaterskich zapasów niedawno co powstałego teatru polskiego, epoka nieustannéj walki z niedostatkiem, bardzo często z obojętnością publiczności, która wszędzie zrazu wprawdzie objawiała dla teatru zapał wielki, następnie chłodła i obojętniała. Potrzeba istotna teatru jeszcze się nie zdołała w publiczności wyrobić. Aktorowie ratowali się wędrówkami, i wycieczkami z miejsc stałego pobytu (Warszawa, Lwów) do miast innych na letnie miesiące. Ten stan trwał dość długo, nawet w Warszawie, chociaż położenie stopniowo się poprawiało. Jeszcze w roku 1833 gaża czyli płaca artystów była po części nominalną, a w kontraktach zastrzegano, że gaża ta wypłacana będzie sposobem dywidendy w miarę „każdomiesięcznéj percepty, po zaspokojeniu nakładów przedgażowych“. Warszawa jednak posiadała zawsze pewną siłę przyciągającą, teatr téż polski stał w niéj lepiéj, aniżeli we Lwowie, gdzie go zresztą przez lat kilka w końcu zeszłego i na początku bieżącego stulecia nie było.

Więc Żółkowski ojciec, na którego przedstawienia trupy Bogusławskiego niezmierne zrobiły wrażenie, porzucił kancelaryę, opuścił Lwów potajemnie i powędrował do Warszawy... piechotą, bo

prawie bez grosza na drogę. Przyjęty do trupy Bogusławskiego, stał się jéj bardzo użytecznym członkiem, nietyle może jako aktor, chociaż i tu wielkie oddawał usługi, ale jako pomocnik w kierunku artystycznym, w tłómaczeniu i przerabianiu sztuk, oraz jako człowiek dowcipny w układaniu przemówień do publiczności, które w owe czasy wielką w losach teatru odgrywały rolę, lub jako twórca okolicznościowych kupletów. Wspiérał téż teatr jako człowiek towarzyski, bardzo poszukiwany dla swego dowcipu i wiecznie dobrego humoru. Czy ten humor wypływał z temperamentu, czy téż był tylko, dobrze przez wolę i nawyknienie dopasowaną maską, pokrywającą smutne oblicze i usposobienie w gruncie rzeczy melancholijne, jak to się często u takich ludzi, zwłaszcza u komicznych aktorów, zdarza, nikt z spółczesnych Żółkowskiego ojca objaśnić nas nie mógł. Niektórzy z nich przypuszczali, że owa rozbawiająca wesołość była więcéj przybraną i wyrobioną, a stale jako towarzyski obowiązek w sobie hodowaną, że pokrywała podkład głębszy, poważniejszy, smętny. Do wniosków tych dochodzili tak z historyi młodości tego człowieka, z jego udziału w wojnie 1794, z jego zapału dla sztuki i teatru, nawet z jego różnych politycznéj natury figlów, które go wprawdzie robiły popularnym, ale z drugiéj strony przykre nieprzyjemności na niego ściągły, co jednak z dobrym humorem znosić umiał.

Około roku 1812, czy téż 1813 (daty ścisłéj nie wiemy) Żółkowski ojciec ożenił się z Anną Ludwiką Ebel (ur. w Szczytnie na Pomorzu 1790) także aktorką sceny warszawskiéj. Ta w dniu 4 grudnia 1814 r. powiła mu syna, znanego nam wszystkim Aloizego. Panią Żółkowską pamiętamy jeszcze na scenie, z któréj zeszła dopiéro w 1844 r. Była to aktorka bardzo miernych zdolności, grywała matki szlachetne. Za młodu jednak mogła się inaczéj przedstawiać, chociaż śladów talentu w owych późnych latach nie można było dopatrzéć. Była tam dobra rutyna nic więcéj.

Aloizy Żółkowski syn, urodzony z ojca aktora i matki aktorki, dla teoretyków filozoficznych przedstawiałby szerokie pole do wywodów o prawie spadkowości témbardziéj, że i brat jego Lucyan, który wcześnie zmarł w Suwałkach, jako aktor trupy prowincyonalnéj, i siostra (późniejsza Kostecka), byli artystami nie małego talentu. O Lucyanie wiemy tylko ze słyszenia, Kostecką zaś dobrze pamiętamy na scenie. Była doskonałą w rolach przekupek, sekutnic, starych panien i t. p. Nie zapuszczając się w teorye, wolimy na teraz przypuszczać, że przestawanie od dziecka i życie nieustanne w towarzystwie teatralném i w teatrze mogło bardzo w Żółkowskim

wywołać nietylko zamiłowanie sceny, ale nawet rozwinąć pewne zdolności dramatyczne. Pierwiastkowo jednak o obraniu tego zawodu wcale nie myślał. Miał się kształcić w całkiem innym i to ściśle naukowym kierunku. Do teatru wstąpił z konieczności.

Ojciec odumarł Żółkowskiego wcześnie, zakończył bowiem życie w 1822 r.; opiekunami ośmioletniego chłopca i reszty rodziny zostali Ludwik Osiński i L. A. Dmuszewski, ówcześni kierownicy teatru warszawskiego. W rok po śmierci ojca oddano go do szkoły wojewódzkiéj księży Pijarów, którą skończył w 1830 r., przechodząc ją od pierwszéj do szóstéj klasy. W czwartéj tylko siedział dwa lata, z powodu choroby artretyzmu, który mu dolegał całe życie, pozwolił jednak dożyć do siedmdziesięciu pięciu lat. Choroba ta była najzupełniéj dziedziczna. Ojciec na nią umarł a matka bardzo często na nią zapadała.

Skończywszy szkołę wojewódzką, Żółkowski miał iść do uniwersytetu. Opowiadał nam bardzo dawno, że chciano zrobić z niego medyka. W 1830 r. zawód aktorski wcale nie zapewniał losu tak, jak to dziś ma miejsce w Warszawie, był zaś, jak i dziś, gdy o prawdziwy artyzm chodzi, i trudnym i bardzo niepewnym. Najwyższa gaża już nawet nieco późniéj, w 1834, gdy teatr stał się przedsiębiorstwem rządowém, dochodziła zaledwie do 8000 złp. (taką gażę pobierała sławna i wielbiona powszechnie pani Leduchowska). Nikt nie marzyłby wówczas, że aktor lub aktorka mogli kiedykolwiek dojść w Polsce do stałéj gaży 25,000 złp. rocznie, jaką w trzydzieści lat późniéj otrzymał Żółkowski, do gaży, równającéj się pensyi rocznéj dyrektorów wydziałów w ministerstwach ówczesnych, w dwójnasób przewyższającéj płacę prezesów trybunałów wojewódzkich, a w trójnasób płacę osiwiałych sędziów apelacyjnych, na któréj ci, do niedawnego końca istnienia dawnéj organizacyi poprzestawać musieli. Nikt zwłaszcza nie przypuszczał, że aktor w Polsce może zarabiać na rok 70 i więcéj tysięcy złotych, to jest prawie dwa razy więcéj, aniżeli ówczesny minister; tyle zaś zarabiał Żółkowski, kiedy po dosłużeniu się 25,000 emerytury, przeszedł na kontrakt i płacę od występów. Nic dziwnego, że Osiński i Dmuszewski, znając ciężkie położenie rodziny Żółkowskich, chcieli synowi zapewnić obfitszy i pewniejszy kawałek chleba.

Jednakże postanowiono umieścić Żółkowskiego w teatrze, ponieważ ten wówczas, podobnie jak inna służba publiczna czy rządowa, posiadał przywiléj uwalniania od wojska. Żółkowski był dość wykształcony muzykalnie, wyrostkiem jeszcze pobiérał lekcye fortepianu, doszedł nawet do pewnéj biegłości, którą do końca życia zachował.

Posiadał głos dobry barytonowy, chociaż niezbyt silny, postawę piękną, twarz przyjemną i oko wyraziste, które miało się późniéj tyle do jego tryumfów przyczynić. Nie zrobiono z Żółkowskiego od razu aktora, ale postanowiono zahaczyć go w chórach. Śpiéwał więc w chórach operowych i jako statysta występował w dramatach, pobiérając po złotemu od wystąpienia. Wkrótce jednak Dmuszewski podwyższył mu to wynagrodzenie do 2 złotych.

Takie były skromne początki tego wielkiego artysty. Tu jednak wspomniéć należy o pewnym dowodzie nie talentu jeszcze ale wielkiéj siły woli i wytrwałości, rzadko wielkim talentom, zwłaszcza u nas, towarzyszącéj. Zasmakowawszy w swobodniejszym żywocie aktorskim, Żółkowski postanowił poświęcić się nieodwołalnie zawodowi scenicznemu. Nie był to dotąd w nim nieprzeparty głos talentu, który stwarza powołania, bo celem jego marzeń była opera. Wprawdzie wówczas jeszcze większa część aktorów występowała we wszystkich rodzajach, w operze tak dobrze, jak w dramacie, ale Żółkowski głównie liczył na pierwszą. Występując więc w chórach, uczył się odpowiednich dla siebie ról w danych operach i uczył się pracowicie. Ponieważ nie posiadał fortepianu, na którym mógłby był sobie akompaniować, kupił gitarę i szkołę na ten instrument, wyuczył się sam gry na gitarze, i ta mu do akompaniamentu służyła. Być może, iż mu pomagano radami, ale głównie on sam się mozolił, idąc pono za radą swego opiekuna Dmuszewskiego, który niegdyś był jednocześnie i pierwszym kochankiem w dramacie i pierwszym tenorem w operze. Przed laty siedmdziesięciu publiczność mniéj była aniżeli dziś wymagającą.

W ten sposób przy gitarze Żółkowski, prawie samouk, wyuczył się komicznéj roli Anglika w operze „Fra Diavolo.“ Gdy Zdanowicz, który grał owego Anglika, zachorował, Kurpiński, dyrektor opery, znając muzykalne zdolności Żółkowskiego, zaproponował zastępstwo. I w d. 27-ym października 1833 roku nazwisko Żółkowskiego ukazało się poraz pierwszy na afiszu, który względom publiczności zalecał tego „syna zasłużonego artysty.“ Ten debiut powiódł się zupełnie, jakkolwiek Zdanowicz, aktor znakomity, którego debiutant zastępował, był ulubieńcem publiczności. Odtąd Żółkowski z chórów przeniesiony został w skład artystów, już zaś poprzednio otrzymał stałą pensyą 90 złp. na miesiąc. Jakkolwiek bardzo prędko przeniósł się stanowczo do dramatu, a właściwie do komedyi, długo jednak pozostał wiernym i operze. W ciągu całego swego zawodu śpiewał w 20-tu wielkich operach, a pomimo niewielkiego, a późniéj jeszcze latami osłabionego głosu, zwykle z powodzeniem. Wszyscy go jeszcze pamiętają w „Napoju

miłosnym," w „Cyruliku" Rossiniego i w „Hrabinie" Moniuszki. Muzykalnością, umiejętną dykcyą i niezrównanym humorem gry tak nadrabiał to, czego brakowało głosowi, że publiczność też może z nawyknienia przenosiła go nad istotnych śpiewaków, posiadających i umiejętność i siłę i głos do roli odpowiedni.

Drugą rolę grał w komedyi „Dwóch Sieciechów," trzecią w komedyi „Ona go nienawidzi," czwartą w operze „Zampa" (Dandolo) z niezmierném także powodzeniem. Pomimo tego operowego powodzenia, w tym czasie zwrócił się stanowczo do dramatu, a ściśléj mówiąc do komedyi. Sprawiła to pani Halpert, wówczas jeszcze podobno panna Żuczkowska, wielka także artystka. Ona pierwsza odgadła ten wielki talent i właściwy jego kierunek. W ciągu pięćdziesięciu sześciu lat pracy aktorskiéj grał Żółkowski w dwustu kilkudziesięciu sztukach, to jest stworzył tyleż postaci. Bo prawie bez wyjątku każda przez niego przedstawiona postać nosiła odrębne piętno, była różną od innych charakterem do niéj zbliżonych, niepodobną do innych z nią pokrewnych.

Z razu dramat właściwy (tragedye grać na nowo zaczęto na scenie warszawskiéj dopiéro przed trzydziestu kilku laty) pociągał go do siebie. W „Mulacie" umiał nawet wzruszać, w „Muszkieterach" w krótkiéj roli Cromwella przejmował grozą, późniéj w tragedyi Hugona „*Marion de Lorme*" zadziwiał głęboko psychologicznėm przedstawieniem postaci Ludwika XIII-go, tego króla znudzonego życiem i panowaniem, a jednak przejętego wielkością swego królewskiego majestatu. W tych dwóch zwłaszcza ostatnich rolach, chociaż mniejszych rozmiarem, Żółkowski wzniósł się na tragiczne szczyty i wyrył niezatarcie te kreacye swoje w pamięci tych, którzy je widzieć mogli. W innych jednak dramatach, jakkolwiek grał dobrze, nie wzniósł się tak wysoko. W „Życiu Szulera" nie zdołał zatrzéć wspomnień po Komorowskim, zwłaszcza w drugiéj połowie tego tendencyjnego, a niezmiernie w swoim czasie popularnego melodramatu.

W komedyi, jakkolwiek i tu mogą znaleźć w jego rolach stopniowania, z wszystkiego prawie, czego się dotknął, robił arcydzieła, czy to była farsa lub wodewil, czy komedya poważna czy lekka, czy oryginalna czy tłómaczona. W każdéj roli zdumiewał świeżością, rozmaitością pomysłu, oryginalnością, głębokością, wykończeniem i prawdą. Skąd jemu to przyszło? Pytali się nieraz ludzie, dobrze Żółkowskiego po za sceną znający, wiedzący, że nie wiele żyjąc z ludźmi, nie wiele czytając, oprócz polityki gazetowéj, którą się jako zabawką zajmować lubił, że po za teatrem życie prawie zamknięte prowadząc, nie miał dość pola do obserwacyi, do zbierania owych charakterystycznych szczegółów, które postaciom przez niego odtwarzanym dawały nietylko

najdoskonalszą zewnętrzną charakterystykę i sceniczną prawdę, ale za jéj pomocą psychologicznie nawet owe postacie jasno tłómaczyły. Każda jego postać żyła, a widz przekonany, że inaczéj żyć nie mogła, ni mówić, ni poruszać się, ni patrzéć, ni słuchać, zespalał się z tą postacią w ten lub ów sposób, śmiechem czy współczuciem, jak z istotnie żyjącą. Ona wnikała w niego, a on ją przenikał.

Dla objaśnienia damy dwa anegdotyczne przykłady. Jedną z najwspanialszych ról Żółkowskiego był margrabia de la Segliere w komedyi podobnegoż tytułu, która z jakie lat trzydzieści utrzymywała się w repertuarze zawsze z zapałem przyjmowana. Margrabia to stary arystokrata francuski, wykwintnych manier egoista, który wrócił z emigracyi w 1815 r. niczego się nie nauczywszy i niczego nie zapomniawszy. Przed kilku laty w Wenecyi w pałacu Wandremin Calergi, będącego dziś własnością księcia del Sesto, syna księżnéj Berry, a przyrodniego brata hr. Chambord, grono warszawian i warszawianek stało przed portretem Karola X-go, wypędzonego z Francyi przez rewolucyą r. 1830-go. Wszyscy zebrani, ujrzawszy ten obraz, zawołali jednomyślnie: jak on podobny do margrabiego de la Segliere! Aktor nasz portretu nie znał, o Karolu X-ym nie wiele wiedział. Jeżeli się owo podobieństwo znalazło, wypłynęło ono z intuicyjnie przeczutych psychologicznych przyczyn. Karol X-ty, tak samo jak margrabia, wrócił z emigracyi, niczego się nie nauczywszy, z dawném usposobieniem i przekonaniami, a swéj epoki zrozumiéć nie mogący.

Oto drugie anegdotyczne objaśnienie téj wielkiéj, niezmiernie głębokiéj, a w subtelne odcienia niesłychanie bogatéj gry. Przed kilkunastu laty znajdowaliśmy się na przedstawieniu „Marcowego kawalera“ z pewnym właścicielem ziemskim z głębokiéj Litwy, który nigdy Warszawy nie oglądał. W téj komedyi Żółkowski gra nieco podżyłego szlachcica, traktującego życie dość swobodnie przy pomocy młodéj swéj gospodyni pani Pawłowéj (grała ją Bakałowiczowa). W czasie gry nasz litwin kilkakrotnie, pomimo zajęcia, szeptał: gdzie on to podpatrzył? a to jak żywy! W późniejszéj rozmowie zapytany, jak mu się podobała ta gra? Czy była w niéj prawda? Czy spotykał takich szlachciców? Ależ, odrzekł, widziałem takusieńkich całe tuziny, z wieloma byłem zażyły. To tylko dziwne, że Żółkowski jakby z każdego coś wziął, więc niby nie jest ściśle podobny do żadnego, a jednak jest podobniusieńki do nich wszystkich i do każdego z nich. Jakim sposobem doszedł do tego? Musiał chyba dużo jeździć, dużo dworów i dworków odwiedzać, i być z szlachtą zażyły?—kończył nasz litwin. Wcale nie, odpowiedzieliśmy, z Warszawy prawie nie wyjeżdżał, raz czy dwa dla kuracyi. Mało ludzi widuje i tylko przelotnie. To dziwne!

to niepojęte! Taka prawda! — zakończył litwin swe uwagi proste, ale prawdziwe o tworzeniu typów. Istotnie dziwne i niepojęte, jak wszelkie dzieła prawdziwéj twórczości, jak aniołowie wzlatujący do nieba Rafaela, jak święci spadający na ziemię niby olbrzymie orły Tintoreta, jak wszysto, co nam daje owa tajemnicza siła zwana genialną twórczością, która widzi i odgaduje to, czego oko zwyczajne nie dostrzeże, czego umysł pospolity nie zrozumié, albo uchwycić i zużytkować nie zdoła, która nie widząc domyśla się i uzupełnia imaginacyą, a która w mniejszym posiadana rozmiarze nazywa się wielkim talentem.

Pytany przez nas sam Żółkowski o sposób tworzenia swoich postaci, odpowiadał: Naprzód czytam całą sztukę, przy tém czytaniu muszę ujrzéć postać przed sobą i to w niezbyt mglistych zarysach. Gdy ją ujrzę, już ją mam. Gdy nie ujrzę, znaczy, że sztuka i rola nie dla mnie. Gdy postać już mam w ogólnym zarysie, zaczynam się uczyć roli, to jest czytam całą po cichu. Za każdym razem przybywa mi do ogólnego zarysu jakiś szczegół, to z powodu sytuacyi, to z powodu opowiadania o téj osobistości, to z mojego domysłu o charakterze, wieku, życiu, nawyknieniach możebnych, o wynikających stąd ruchach, wyrazie twarzy, mimice, nawet ubraniu i t. d. Gdy tak kilkanaście razy rolę przeczytam, umiem ją na pamięć, a postać mam w sobie. Nie maluję się, nie tynkuję, nie robię sobie twarzy, to tylko do gry szkodzi, czyni twarz martwą, drewnianą. Kilka rysów lubryki wystarczy do pomocy i twarz sama się wyrobi jak potrzeba. Ale trzeba figurę graną miéć w sobie, bo inaczéj wyjdzie się z tonu i charakteru. Cała rzecz bardzo prosta, byle była prawda.

Istotnie prosta, jak wszystko, co w sztuce jakiéj bądź wielkiém jest, ale właśnie bardzo trudna, a dla pośledniejszych talentów niedościgła. Rozmaite zresztą bywają sposoby do chwytania czy odtwarzania prawdy nawet w téj saméj sztuce teatralnéj. Inaczéj dochodził do niéj Panczykowski, także wielki aktor, chociaż w szczupłym zakresie, inaczéj Żółkowski, dla którego wszystkie dziedziny komedyi stały otworem, ale tych różnic wyszczególniać nie będziemy, równie jak owych psychologicznych dopełniań, jakie autorowie wielkim zawdzięczają aktorom.

Wielkich aktorów bywało zawsze bardzo mało, dziś wszędzie jest ich mniéj, aniżeli w pierwszéj połowie naszego stulecia. Ci, co są, starzeją się, lub już się zestarzeli i do historyi swéj narodowéj sceny, a może i do historyi kulturnéj swego społeczeństwa należą. Czém dla dzisiejszych Włochów są jeszcze Salvini i Rossi, czém dla Niemców byli kiedyś Dewrienty, a dziś może jest Sonenthal wiedeński, tém dla sceny polskiéj był Żółkowski. Szkoły po sobie nie zostawił, jak nie zostawia

żaden z prawdziwie wielkich aktorów—przepisów na twórczość podać nie można, ani w podręczniki ująć, — ale zostawił w sztuce wspomnienie, a dla współczesnych wzór, nad zbliżeniem się do którego pracować powinni. Że zaś scena polska jest nam bardzo drogą, a jéj losy powinny nas wszystkich bardzo obchodzić, dlatego piszemy dziś o Żółkowskim i jego sztuce, w przekonaniu, że praca jego tak pojmowana przez jego młodszych towarzyszy, jak my ją pojmujemy, i w przyszłości usługi scenie naszéj oddawać będzie.

J. Kenig.





Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

I.

Romans realistyczny we Francyi i Guy de Maupasant. — Jego celniejsze powieści: *Une Vie*, *Bel-Ami*, *Pierre et Jean*, *Mont-Oriol*, *Fort comme la mort*, *Contes et Nouvelles*, etc.).

U wstępu do artykułów, co sobie stawiają jako cel zapoznawanie czytelników ze współczesnym ruchem poezyi, powieści i dramatu na zachodzie, wypadałoby może wszcząć poważną dyskusyę o charakterze realizmu w piśmiennictwie, skoro trafunkiem od realistycznego powieściopisarza przegląd ten rozpoczynamy. Tyle już jednak kopii skruszyła na tém polu krytyka, przedmiot stał się tak pospolitym i tak spłowiałym dla każdego wykształceńszego człowieka, że się wszystkie te oklepanki chętnie zostawia na stronie. Na przypomnieniu więc kilku zasadniczych punktów poprzestaniemy, a i to dla tego przedewszystkiém, ażeby zakreślić dla Guy'a de Maupassant, o którym pogawędzić chcemy, ramy, otoczenie, i więcéj jeszcze, jego genealogiczne drzewo.

Czyste to było niepodobieństwo chcieć powstrzymać powieściopisarstwo współczesne na pochyłości realistycznéj: musiało potoczyć się tą a nie inną koleją. Społeczeństwo całe w drugiéj połowie XIX wieku stanęło na gruncie realistycznym w dziedzinie religijnéj, politycznéj, gospodarczéj, naukowéj. W każdéj gałęzi działalności ludzkiéj fakta, doświadczenia, spostrzeżenia, cyfry stanęły na miejscu apriorycznych dogmatów, metafizycznych spekulacyi, młodocianych marzeń, przedwczesnéj syntezy. I jakżeż jedno tylko piśmiennictwo, właśnie rdzeń cywilizacyi— mogło się było ostać przeciw wszystko porywającemu prądowi? Przeciwnie, stało się nieuniknionem, że się i ono do tego stanu dostroić musi. I istotnie na miejscu szkoły roman-

tycznéj rozsiadła się realistyczna. Jeżeli się nawet przypuści — a piszący zdania tego nie dzieli — że wszechwładza realizmu w piśmiennictwie wiedzie za sobą obniżenie duchowego i artystycznego poziomu i że pod jego wpływem tracimy delikatność smaku, to nie należy zapominać, że w téj saméj epoce ewolucya demokracyi wzięła szturmem świat cały, a zatém i piśmiennictwo. Nie zwraca się téż ono wyłącznie do wyrafinowanych koteryi, ale do mas milionowych, i zaspokaja ich wymogi umysłowe. Nie ma się prawa pomijać w rachunku tak radykalnie odmiennych czynników.

Sądzimy, że i na punkt następny równie łatwo czytelnik się zgodzi. Społeczeństwa, przesycone emfazą, deklamacyjnością, naciąganym idealizmem, brakiem wewnętrznéj prawdy, w jakie wpadał przekwitujący romantyzm, uczuwały niepowściągniony popęd do przyjrzenia się nareszcie raz życiu takiemu jakiém jest, bez różu i bielidła, do pochwycenia go na uczynku w całéj nieskończonéj rozmaitości jego manifestacyi. I powieść o tyle tylko zadowolniała nasze duchowe potrzeby o ile odpowiadała temu dążeniu do wytworzenia przed nami obrazu rzeczywistości. Nie było żadnego niegodnego uwagi drobiazgu w tém śledztwie przedsiebraném wśród okólnego świata dla naszéj nauki i rozrywki. Mikroskop stał się niezbędném narzędziém dla trzymającego pióro beletrystyczne. Szkoła holenderska z malarstwa przeniosła się teraz do piśmiennictwa. Prym niezaprzeczony otrzymało powieściopisarstwo angielskie. A powieściopisarstwo to, czy je uosobimy w Dickensie, czy w George Eliocie, czy w jakímkolwiek z niezliczonéj rzeszy naśladowców i spadkobierców tych dwóch twórczych geniuszów, jest na wskroś i wyłącznie realistyczne.

I nie było téż protestacyi przeciw realizmowi, dopóki stał na gruncie wielkobrytańskim. Protestować zaczęto, gdy go pochwycili i spopularyzowali Francuzi. Ale bo téż i prawda, że tutaj mamka zamieniła dziecko. Od razu inny nadali mu charakter. Pogrążając się w realistyczną twórczość z zapałem, z werwą, narodowemu swemu temperamentowi właściwą, od razu odjęli jéj ten charakter rozważny, spokojny jaki cechował Anglików. Ci z naiwną skrupulatnością kronikarzy nie czynią wyboru pomiędzy osobami i wypadkami, ale zapisują bez wyjątku wszystkie typy i charaktery, jakie im się napotkać przytrafiło w najbliższym swych spostrzeżeń promieniu. Bywało tam wiele niepotrzebnego materyału, wiele powtarzań, wiele typów pospolitych, ale takie nagromadzenie dokumentów wytwarzało samo przez się obraz społeczny dokładny, wierny, wielostronny; światło i cień, dobre i złe czynniki krzyżowały się, przenikały wzajemnie i drgało tam życie wewnętrzne. Dla artystycznego smaku Francuzów była taka twórczość

zbyt prostą, zbyt pospolitą. Tworzyć, to znaczy wybiérać, sortować. Przed swą *camerę obscurę* starali się stawiać jedynie typy ciekawe, rzadkie, wyjątkowe. I stało się, że schodząc szczebel za szczeblem po téj drabinie, uznali niebawem za jedynie godne swych studyów ułomności, wybryki i ohydy charakteru ludzkiego: uczciwe, dodatnie strony przestały ich do siebie nęcić. Grzęźli coraz głębiéj w kałuży. Szpital duchowy, rynsztok, gnojowisko, stawały się ich pracownią. Nie był to już realizm ale coś innego, odrębnego. Wiadomo, że się sam ukoronował pod imieniem naturalizmu.

Pisarze tego krańcowego realistycznego kierunku zuchwale oświadczyli, że oni dopiéro odkryli jądro natury ludzkiéj, zeszli do jéj psychicznéj głębi, zdarli i zdeptali tę maskę konwencyonalnych formułek i powijaków pod jaką się dotąd ukrywała. I im brudniejsze odkrywali w człowieku instynkta, chucie i namiętności, im dosadniéj wykazali w nim egoizm zwierzęcy i jego okrucieństwo, tém dumniejsi byli z odkrycia. Ci z tych naturalistycznych pisarzy, którzy od szkicowania i studyowania indywidualnych typów wznieść się odważyli do syntezy społecznéj, spostrzegli w ustroju towarzyskim także tylko brud, egoizm, wyzyskiwanie słabych przez silniejszych, podłość, przedajność, zdradę. Podczas gdy jedni z dogmatyczną powagą udowadniali, że każdy człowiek indywidualnie jest zwierzęciem, a towarzysko bydlęcą trzodą, drudzy z ironią zgryźliwą, z cyniczną poufałością pokazywali coraz nowe wrzody, coraz nowe hańbiące trądy, i wymagali ażebyśmy, w tém zwierciedle rozpoznali podobiznę naszą najzupełniejszéj wierności. Wobec takich wybryków fantazyi twórczéj, wobec tak skoślawionéj analizy, spotkanych wyjątkowo u jednego romansopisarza, wystarczyłoby ruszyć ramionami, odwrócić się w inną stronę i przejść do porządku dziennego. Ale gdy się ma do czynienia nie z jednym, wyjątkowym pisarzem, ale z tuzinami i setkami, z całą szkołą, gdy szkoła ta nie wykwitła efemerycznie ale istnieje jako organizm od całéj ćwierci wieku, to miało się obowiązek wziąć ten fenomen społeczny pod ścisłą uwagę i zapytać: jak się stać mogło, że jedno i to samo źródło bezpośredniéj obserwacyi życia było w stanie wydać na gruncie angielskim wonne, a na francuskim cuchnące kwiaty.

Nie należy, zdaniem naszém, szukać gdzieindziéj powodów téj różnicy, jak w moralno-filozoficznym nastroju każdéj z tych krain. Atmosferą duchową w Anglii jest ewangeliczne miłosierdzie, we Francyi, sceptyczny pesymizm. Na dnie pierwszego leży przeświadczenie, że człowiek ma w sobie boski pierwiastek, że mimo błędów i występków, jakie popełnia, nie zatraca w sobie nigdy tego wyższego znamienia, że między ludźmi istnieje solidarność węzłów i że nie spychać

w otchłań upadłych, i nie naigrawać się z nich demonicznie, ale podnieść ich należy. Stąd ta wypogodzona, serdeczna wyrozumiałość i tolerancya, ta sympatya ciepła, co krąży w głębi i która się rozciąga nie do ludzi tylko, ale i do zwierząt, do sprzętów, do domów, do krajobrazu, do całego zewnętrznego świata i łączy je w jakąś symfonią rodzinną, poufałą. Pisarz widzi błędy, usterki, śmieszności, i wytyka je z humorem i dosadnością, ale nie gubi się w nich, nie traci wśród nich całego wizerunku człowieka, nie traci perspektywy i utrzymuje równowagę sądu. Sąd ten jest optymistyczny, jak się to dzieje, gdy uczucie nie jest zeń wykluczone. Wrażenie, jakie z nich czytelnik wynosi, jest też spokojne, dodatnie, podtrzymujące siły duchowe, promienne. Nie można się go spodziéwać od francuskiego romansopisarza. Autor jest tutaj pesymistą, widzi w świecie jedynie stek występków, zbrodni, ułomności, jedno pasmo krzywd, niesprawiedliwości, a wobec téj ludzkości tak wstrętnéj, serce jego nie drga współczuciem i drgać nie może. Narzucił się jéj jako sędzia, ale zerwał z nią związki pokrewne. Czuje się sam innéj natury istotą. Dla tych brzydkich i pohańbionych, dla tych skazanych na ciągłe krążenie w prozaicznym deptaku ma tylko słowa pogardy i ironię niewyczerpaną. Ironia, oto cecha téj szkoły. Wynajdują dziwolągi i potwory wśród społeczeństwa albo też pospolite, głuptasie natury i znęcają się potém nad nimi bezlitośnie, chłoszcząc je i smagając razami. Nie ma tu ani kropli owego *milk of human kindness*, co po drugiéj stronie kanału tak religijnie jest przechowywana, lecz za to żółć gryząca. Napróżno-byś szukał przewodniéj gwiazdy, celu wspólnego, jaśniejszéj krawędzi nieba, zielonéj oazy. Przeczytawszy z jaki tuzin powieści, z których każda znęca się nad ofiarami walki życiowéj, z których każda nowe odkrywa nam plagi, ma się prawo zapytać, po co nam żyć na takim wstrętnym świecie, na co się przyda bój z tą koalicyą ujemnych żywiołów i czuje się nieprzezwyciężoną chętkę cały ten świat nikczemny obrócić w perzynę, wysadzić w powietrze.

Łatwo tedy było zrozumiéć powszechną reakcyą przeciw tak pojętemu realizmowi. Sumienie publiczne protestowało z jednéj strony, dobry smak z drugiéj. Przedewszystkiém odmawiano tym powieściom téj zalety, którą windykować dla siebie nie przestawała—życiowéj prawdy, na dokumentach ludzkich się wspierającéj. Nie mogło być prawdy gdy się tendencyjnie wybierało jednogatunkowe, ujemne żywioły i w nich rozkoszowało a wykluczało systematycznie wszystkie inne. Obecnie można powiedziéć, że ten krańcowy kierunek dał wszystko, co dać był zdolny i że zawód jego skończony. Nie powiadamy bynajmniéj, aby

nie kreślono dalej jeszcze tych ohydnych, cynicznych obrazów społecznych, jakich mieliśmy już obfite żniwo, ale będą to już tylko waryacye na znane motywa, kopie typowych utworów. Maruderowie ciągnąć będą czas jakiś za armią, ale armia przeszła już niepowrotnie. Mina się wyczerpała. Pornografia znajdzie jeszcze i znajdzie zawsze tło do swych sprosnych malowideł, ale nie miała ona i nie może mieć nic z literaturą wspólnego. Pod względem artystycznym, naturalizm nie zdaje się już nam gotować najmniejszéj niespodzianki. Gmach cały stoi wykończony, a może już nawet w ruderę zapada. Dziwić się temu nie można: tak różnorodni pracowali nad nim architekci! Założycielem był wielki Balzac, olbrzym o syntetycznym umyśle, który obserwował wprawdzie świat, jakim był, ale chciał go téż umodelować na wzór swoich własnych koncepcyi. Po tym antenacie, istotnym ojcem realizmu, był Gustaw Flaubert, autor nieśmiertelnéj *Madame Bovary*, która będzie arcydziełem niespożytém tego literackiego kierunku. Prowincyonalne życie, typy powszednie, ciasny horyzont duchowy są tam oddane z taką potęgą, schłostane tak nieprzebłaganą ironią, że w ich malarzu uznać należy mistrza. Nie potrzeba zapewne przypominać, że Flaubert nie był w stanie napisać żadnego innego dzieła, któreby się z tém równać mogło, że się pogrążył w chorobliwy ideał sztuki dla sztuki, że mu brakło wszelkiego zmysłu dla prądów potężnych współczesnego życia i że zostanie przed potomnością jako autor znakomitego fragmentu, niczego więcéj. Pomiędzy jego następcami bezpośrednimi wymienić należałoby braci Edmunda i Juliusza de Goncourt, ale talenta te, skomplikowane, sztuczne, pozbawione szerokości, ugrzęzłe w afektacyi i manierze nie będą mogły nigdy, mimo swych roszczeń do przodownictwa literackiego być czém innem, jak wielkimi ludźmi w bardzo małéj parafii. Inaczéj Zola. On to jest niezaprzeczenie ojcem duchowym naturalizmu. Posunąwszy system do ostatnich możliwych granic, nie lękając się wywołania skandalów przez zupełne zerwanie z przyzwoitością i obyczajnością napisał szereg powieści, w których on sam i jego naśladowcy nie wahali się widzieć arcydzieł. Obecnie to przedsięwzięcie wielotomowe jest bliskiém końca i autor mówi: *exegi monumentum.* Nie tu jest miejsce, w przelocie, rozbierać owe utwory i piętnować je łatwymi do znalezienia epitetami. Jedno powiedzieć wystarczy: cykl już jest zamknięty! Daléj w tym samym kierunku iść już nie można. Pokazują to dowodnie jego uczniowie i naśladowcy: Henryk Ceard, Karol Huysmans, Leon Hennique, Franc. Poictwin, Rosny i kilkunastu innych. Mogą czasami napisać i nie bez talentu jakie studyum nad rynsztokowém życiem, jak np. w znanéj powieści

Soeur Vatard, albo stworzyć w pseudo-artystycznym wybryku coś potwornego, nigdy dotąd niepisanego, jak np. *A rebours*; ale cała ta produkcya jest jałową, pozbawioną prawdy życia, ani z niego ani ku niemu nie płynącą. Szeroka publiczność słucha z uśmiechem łagodnego politowania pochwał i okrzyków uwielbienia, jakie sobie ci literaci wzajemnie oddają, ale na seryo brać ich nie chce i nie może.

Jeżeliby realizm francuski nie był w stanie wykazać żadnego innego talentu, to możnaby było uważać go jako pogrzebany za życia i to przez tych, co dobrowolnie skrzywili i sfałszowali jego zasady. A wniosek to byłby tém smutniejszy dla przyszłości piśmiennictwa francuskiego, że, jakeśmy powiedzieli wyżéj, nie ma po za obrębem modły realistycznéj, żadnéj metody twórczości literackiéj chwilowo możliwéj. Na szczęście, żyzny grunt francuski nigdy całkowicie wycieńczony nie jest i obiecujące kiełkowanie nigdy długo na siebie czekać nie każe. Z pomiędzy grona młodych powieściopisarzy, co niezaprzeczenie do szkoły realistycznéj należą, kilku widocznie zawróciło i z manowców na bity kieruje się gościniec. W ich ręku twórczość beletrystyczna zapowiada się jako jędrna i zdrowa. Będziemy mieli zapewne nieraz w przyszłości sposobność scharakteryzować ich bliżéj. Obecnie jest zamiarem naszym zatrzymać się wyłącznie przed najpierwszym z nich, najpotężniejszym, najsympatyczniejszym, przed przywódzcą nowego realizmu, p. Guy de Maupassant. Z każdym nowym utworem, — a sypie je z godną podziwu obfitością po dwa, po trzy tomy na rok, — stanowisko jego literackie się wzmacnia. Z okazyi ostatniéj jego powieści *Fort comme la mort*, co wyszła na wiosnę r. z., powiedziano, że to prawdziwe arcydzieło. Nie będzie tedy bez interesu dla czytelników, jak sądzimy, przedstawić całościowy szkic jego piśmienniczéj działalności, wczorajszéj i dzisiejszéj, tém bardziéj, że z imieniem tém widocznie coraz bardziéj w literaturze rachować się będzie trzeba.

Guy de Maupassant od niecałych lat dziesięciu wystąpił na arenie literackiéj. Ma dopiéro lat trzydzieści pięć. Jest pięknym, energicznym, krzepkim młodzieńcem, zamiłowanym w ćwiczeniach fizycznych. Należy do staréj normandzkiéj rodziny i przedstawiony jeszcze młodzieniaszkiem Gustawowi Flaubert, który mieszkał w domu wiejskim pod miastem Rouen, zaczął mu pokazywać swoje próby piśmiennicze. W studyum krytycznem, które swemu pierwszemu i jedynemu mistrzowi poświęcił, uwiadamia nas p. Maupassant, że to terminowanie jego u Flauberta trwało lat siedm, że go wielki pisarz zachęcał do ustawicznéj pracy, że mu przedstawiał jedyny w téj upartéj i systematycznéj pracy sposób dojścia do talentu i wyrobienia go w sobie, że go wzywał do ciągłéj bezpośredniéj obserwacyi okalającego życia. Widocznie z rad

i wskazówek tych skorzystał, gdyż o pracowitości jego wątpić się nie ma prawa i z książek już wydanych i ze studyów i kultury intellektualnéj, o jakich świadczą. Samo z siebie wynika, iż młody pisarz nosił w pierwszych zaraz utworach świadectwo wpływu podwójnego: swego miejscowego otoczenia, atmosfery fizycznéj i moralnéj, w któréj wzrastał, oraz mistrza, na którym się wzorował. Guy de Maupassant jest synem Normandyi, téj prowincyi żyznéj, bogatéj, powabnéj, uśmiechniętéj, gdzie ziemia płynie mlekiem i jabłecznikiem, gdzie zboża w bród, gdzie na zielonych błoniach pasą się dorodne trzody, gdzie wsie są gęste i zamożne, miasta obfitujące w zabytki sztuki. Wśród tego ogólnego dostatku wyradza się pewien materyalizm mimowiedny, który u natur poetyczniejszych z łatwością przechodzi w panteistyczną cześć dla téj matki-natury o niewyczerpanych wymionach, w dostrojenie się do téj harmonii produkcyjnéj. U niektórych ten materyalizm, ten panteizm zaprawia się odcieniem erotyzmu pogańskiego. Tę stronę Guy de Maupassant posiada w wysokim stopniu, i powrócimy do niéj w następstwie. Obecnie chcemy wskazać mimochodem drugi rys charakterystyczny jego normandzkiego pochodzenia. Mieszkańcy téj prowincyi słyną z umysłu jasnego, praktycznego, z przebiegłości, przenikliwości, zamiłowania w prawowaniu się i procesach. Realizm jest tam rozlany w powietrzu. Znajdujemy jego oddźwięk pod piórem p. de Maupassant i nie można zaprzeczyć, że jasność, precyzya, ścisłość analizy, bystrość spostrzegawcza nie mogą być posunięte daléj.

Na tak przygotowanym gruncie i wśród takich naturalnych żywiołów nauki i rady Flaubert'a zaszczepiły się bez najmniejszego wysiłku. Młody pisarz postawił sobie jako ideał być prawdziwym i dać we wszystkich swych utworach wizyę namacalną, że tak powiemy, świata zewnętrznego. Być prawdziwym podług Flaubert'a, to znaczyło wniknąć w naturę osób i rzeczy opisywanych, wykazać ich rysy szczegółowe, te, które stanowią ich wyłączną indywidualność, i odźwierciedlić takową w formie plastycznéj. Bystrość spostrzegawcza, posunięta aż do najdelikatniejszéj analizy psychicznéj, łączyła się u Flaubert'a z artystycznym ferworem dla plastycznéj formy języka i stylu. Posuwał on, jak wiadomo, tę cześć dla formy aż do chorobliwości i zatruł sobie przez nią życie, wyjałowił swą twórczość. Zdrowa, jędrna natura p. de Maupassant ustrzegła go od tego nadużycia. Pisze on językiem jasnym, dosadnym, treściwym i obrazowym, czuje piękność melodyjną dobrze zbudowanego okresu, ale nie gubi się w tych drobiazgach formy. Wyssał esencyą żywotną z nauki swego mistrza, ale pozostawił nietkniętą zatrutą czarę sztuki dla sztuki, którą się tamten

odurzył aż na śmierć. I w tém pokazała się równowaga i siła pierwotna jego normandzkiéj natury.

Młody Guy de Maupassant został wprowadzony w świat literacki paryski przez swego mistrza Flaubert'a. Ten w ciągu zimowych miesięcy przebywał w Paryżu i zbierał u siebie co niedziela cały klan pokrewnych sobie pisarzy. Regularnie spotkać tam było można Turgeniewa, Edm. de Goncourt, Alfonsa Daudet, Emila Zolę, Pawła Alexis, Huysmansa, Hennique'a, Cearde, Cladel'a, wydawcę Charpentier, dziennikarzy, poetów, malarzy i rzeźbiarzy, uosabiających w sztukach plastycznych ten sam kierunek, co ci pisarze w literaturze. Ten rodzaj akademii, rozprawy i krytyki, które się tam wyradzały i krystalizowały w dogmata, był dla Guy'a de Maupassant upajającym haszyszem. Nic łatwiejszego do zrozumienia, że, chcąc zasłużyć na poklask swojéj koteryi, pisał on podług jéj kanonu i z zapałem młodości posuwał jéj teorye do ostatnich logicznych granic. Nawet dzisiaj, gdy wyrobił sobie po dziesięcioletniéj blisko twórczości samodzielną fizyognomią, można dopatrzéć się zależności i węzłów krewniaczych z tą szkołą. Nie wypiera się jéj ani na chwilę. Chociaż pochopny do samoistnéj twórczości, nie lubi się on bawić w abstrakcyjne teorye, w polemikę i w krytycyzm literacki, posiadamy jednak kilka prac jego, które nam pozwalają zrozumiéć jego piśmiennicze *credo*. Mamy tu na myśli małą broszurkę, gdzie kreśli portret Zoli, potém studyum literackie nad Flaubert'em, umieszczone w siódmym tomie kompletnego wydania dzieł tegoż i nakoniec rozprawę pod tyt. „Romans,“ umieszczoną jako przedmowę *pro domo* do jednego z jego ostatnich romansów: „Piotr i Jan.“ Wszystkie te trzy głosy wysławiają absolutną wyższość realizmu nad wszystkiemi innemi, dawniejszemi formami twórczości, w których widzi Maupassant jedynie pomniki historyczne. Krytyka nie ma prawa, podług niego, badać jakie są tendencye tego lub owego autora, ale domagać się, aby pisał stosownie do swego temperamentu utwory o ile można najdoskonalsze. Czysto indywidualne kryteryum! Autor w swém poszukiwaniu prawdy życiowéj nie potrzebuje nawet odsuwać żywiołów dlatego, że są wstrętne, albo że obrażają moralność codzienną, gdyż w każdych mieści się, jeżeli są zbadane i oddane wiernie, jądro prawdy, promień rzucający światło na życie. Wyniosła pogarda dla téj potocznéj moralności filistrów i pewien pesymistyczny pogląd na społeczeństwo dają się zauważyć w tych teoretycznych rozprawach młodego pisarza. Uprzedzamy czytelnika, że nie należy jednak do nich przywiązywać zbyt wielkiego znaczenia, nietylko dlatego, że mając do czynienia z tak burzliwą naturą, należy jéj zostawić czas do wyszumienia się i ustatkowania, ale i dlatego, że Guy de Maupassant, jako prawdziwy pisarz

i artysta z temperamentu i powołania, czuje raczéj instynktowo teoretyczne pobudki, aniżeli jasno i chłodno zdaje sobie z nich sprawę. Zdawało się nam właściwém dać tu jego dyagnozę, ale najlepiéj będzie samych dzieł jego o nią zapytać.

Kilka pierwszych tomów wydanych przezeń było zbiorem drobnych nowel i powiastek. Pierwsza *Boule de suif* dała mu odrazu sławę w kołach literackich, a *la Maison Tellier* zamieściła go pomiędzy krańcowymi zuchwalcami literatury. Autor pokazał w tych nowelach niezaprzeczoną maestryą formy i to taką, iż odrazu pośpieszyli się oświadczyć niektórzy krytycy, iż nigdy nie będzie w stanie napisać większéj powieści: miało mu do tego, podług nich, brakować tchu, syntetycznego zmysłu i skazany został na drobne obrazki i szkice. Są one wyborne, powiadamy, w ogóle. W jakich dziesięciu ich tomach, które dotąd się pojawiły, nie ma najmniejszéj jednostronności. Autor, który przez czas jakiś ograniczał swe typy do warstw najprostszych społeczeństwa, i który ześrodkował swój dar spostrzegawczy nad instynktami i popędami najgrubszego materyalizmu, powoli się oczyszcza, uszlachetnia i widnokrąg jego zaludnia się jednostkami mniéj upośledzonemi. W dawniejszych nowelach był przerażająco zmysłowy, jakby nawiedzony lubieżnością i w niéj usidlony. Miłość zdawała się u niego sprowadzać do fizyologicznego zespolenia płci, i nie mógł przekroczyć tego koła czarnoksięskiego. Ale żywotność jego natury udowodniła się w ostatecznėm zerwaniu z tym poglądem jednostronnym, płaskim i cynicznym. Powoli pesymizm satyryczny ustąpił miejsca pewnemu wewnętrznemu wzruszeniu i pod piórem jego dawniéj nieubłaganém, ostrém jak brzytwa, znajdują się już nuty tkliwsze, boleśniejsze, bardziéj ludzkie. Autor zdaje się już rozumiéć, że można usłyszéć wydobywające się z głębi duszy ludzkiéj nietylko zwierzęce wycie Cybeli, ale i westchnienie łzawe ku uczuciom szlachetniejszym i czystszym. Nie twierdzimy, ażeby metamorfoza była całkowita i nie przypuszczamy, ażeby raz na zawsze zerwał z tym nałogiem młodocianym, nie radzimy, ażeby jego nowele były dawane do czytania panienkom, ale możnaby już w dotychczas wydanych zebrać kilkanaście, które mogą być uważane za prawdziwe klejnociki piśmiennictwa. Ci, którzy chcieliby się zapoznać z jednym z najświetniéj obrobionych, niechaj przeczytają *la Perle*. Uczuciowość i studyum nad miłością troskliwie pielęgnowaną i drzemiącą bezwiednie w sercu znużonéj życiem delikatnéj istoty, posunięte są do takiéj subtelności, a są wykonane z taką precyzyą mistrzowską, iż po latach nie podobna zapomniéć tego obrazu i że się go odczytuje zawsze z tém samém wzruszeniem.

Od nowel i powiastek przeszedł Guy de Maupassant do większych

utworów, nie zaniedbując wszakże bynajmniéj pierwszych i powracając do nich zawsze z tém samém zamiłowaniem, z tą samą świeżością fantazyi i jędrnością pióra. Ale można już sądzić go z szerszych jego powieści. Wypisaliśmy na wstępie ich tytuły w chronologicznym porządku. Pozostaje scharakteryzować je bliżéj.

Najmniéj zasługuje na pochwałę jego pierwsza powieść *Une Vie*. Autor był widocznie pod wpływem Flaubert'a, który w swéj słynnéj „Pani Bovary“ usiłował skrystalizować życie prowincyonalne w typach prozaicznéj pospolitości i wydobyć na jaw dramat spowity w duszy tych ślimaków. Maupassant także chciał dać nam obraz takich osobistości pospolitych, powszechnych i wlać interes dramatyczny w te szare maryonetki. Ale i plan téj powieści i jéj wykonanie nie odpowiedziało wymarzonemu z góry celowi. Joanna, żona vice-hrabiego de Lamarre, nie budzi w nas interesu ani jako dziewczę, ani jako żona, ani jako matka. Jéj martyrologia, prowadzona wytrwale i okrutnie przez dwie generacye, nie wywołuje współczucia, ale niecierpliwość. Czuje się plan pisarza otoczenia swéj bohaterki jednostkami z góry wybranemi do udowodnienia, że życie jest płaskie, brudne, niewarte łzy i przekleństwa; i ten gruby tom szary, bezbarwny, bez jednego promienia, bez jednego żywszego drgnienia serca i duszy, cięży na czytelniku, jak ołowiana mgła jesienna. Jedyne życzenie, które się żywi, jest przedrzéć się przez nią czém prędzéj i przejść do innego świata. Autor chciał przeciwstawić powieści romantycznéj takiéj, jaką pisywali George Sand, Oktawiusz Feuillet, Wiktor Cherbuliez inny model. Był on zniechęcający, powiadamy otwarcie.

Ale zaraz dwie następne powieści p. Maupassant udowodniły potęgę jego twórczego talentu i stanęły jako typ doskonały, skończony tego, do czego jest zdolną wznieść się szkoła realistyczna w powieści.

Bel-Ami jest, zdaniem naszém, arcydziełem tego pisarza, i ze swemi usterkami i zaletami, z których pierwsze są systematycznie posunięte do ostateczności, a z których drugie muszą być uznane nawet przez otwartych nieprzyjaciół, zasługuje na trwałe miejsce w beletrystyce współczesnéj. Powiedziano nieraz, że powieść Zoli *la Curée* dała obraz społeczeństwa za drugiego cesarstwa nieprześcignionéj prawdy i że zepsucie, rozkład towarzyski zostały tam napiętnowane rozpaloném żelazem satyry. Nie przeczymy słuszności tego zapatrywania, ale co nie pozwala całkowicie smakować w téj satyrze, to, że słyszymy autora piorunującego z wysokości swego kurulnego krzesła; brakuje temu obrazowi naturalności, swobody, prostoty. Te właśnie zalety posiada *Bel-Ami.* Autor nie uprzedza nas, że stawia pod pręgierzem społeczeństwo

obecne, ale czyni to z taką swobodą i bez najmniejszego kapłaństwa, że czytelnik staje się mimowolnym jego wspólnikiem i sam, zamykając książkę, wydaje nad społeczeństwem tak scharakteryzowaném sąd drakoński, którego sobie autor zabronił w swym obiektywizmie. Obiektywny jest autor, to prawda, ale nie może utaić swego pesymistycznego nastroju ducha. Pokazuje nam świat ohydny, sromotny. Ów George Duroy, jego bohater, przezwany Bel-Ami, jest najbezczelniejszym awanturnikiem i autor prowadzi go przez całą drabinę sukcesów, aż do ostatecznéj apoteozy. Dziennikarstwo jest dla niego zawodem urzędowym, a kobiety, które lgną do jego pięknych wąsików jak muchy i które się w nim rozkochują jedne po drugich, są narzędziami, któremi się posługuje, które wyzyskuje z cynizmem bez najmniejszego złagodzenia. Autor wprowadza nas za kulisy dziennikarstwa i chociaż po nieśmiertelnych szkicach, jakie się znajdują o niém w powieściach Balzac'a, po nowszych a ciekawych studyach, jakie zawiera powieść braci Goncourt *Charles Deligny*, nie można było powiedziéć wiele nowego, p. Maupassant potrafił w swéj lekkiéj karykaturze zamknąć rysy, o których prawdziwości wątpić nie ma się prawa. Nie przeczymy, że zarówno w tym obrazie świata dziennikarskiego, jak i świata politycznego, jest jaskrawość i przesada i że autor posługuje się tém tłem, ażeby uwydatnić możliwość powodzenia awanturnika, który świat ten uosabia; ale wadę i jednostronność widzimy właśnie w tém nagromadzeniu samych tylko ujemnych charakterów. Nie ma ani jednego uczciwego wśród tego zatrutego świata. Wszyscy mężczyźni gonią za pieniędzmi i są przedajni, wszystkie kobiety są albo wszetecznicami, albo upadają w błoto rynsztokowe. Są tam sceny pełne moralnéj sromoty, gdzie dusze ludzkie rozebrane do nagości wiją się w pandemonicznych kurczach. Jest istotne okrucieństwo w metodzie autora, który bez chwili odpoczynku, bez wytchnienia prowadzi nas od jednéj sceny ohydnéj do drugiéj, a to uwieńczenie tryumfalne awanturnika, pozwalające przeczuwać jego wejście do społeczeństwa regularnego, jako zachowawcy, jest kwintesencyą pesymizmu, urągającego się organizacyi społecznéj, normalnéj i wszystkim zasadom uznanym za podwaliny społeczeństwa ludzkiego. Nie ma więc prawdy w tym poglądzie i w tym wybryku ironii młodego realisty, ale są tylko sceny i epizody prawdziwe. Czytelnik jest oszołomiony, porwany tą werwą, tym dobrym humorem, żartobliwością, a przytém jasnością, zwięzłością, precyzyą metody opisowéj. Ani jednego rysu, ani jednego słowa zbytecznego: wszystkie promienie ogniskują się w punkcie środkowym. Od czasu Merimée'go nie było w piśmiennictwie francuskiém pisarza, któryby do takiego stopnia posiadał te zalety formy, jakiemi zabłysnął Guy de Maupassant.

Następna powieść jego nosi tytuł „Piotr i Jan.“ Jest to istotnie utwór znakomity w ścieśnionych ramach monografii jednéj mieszczańskiéj rodziny, jest to dramat krwawy i bolesny, pokazujący już nie powierzchowne, ogólnikowe poglądy na ustrój towarzyski, ale psychologiczne studyum przedsięwzięte nad duszą ludzką z dokładnością analizy naukowéj i z odwagą operatora, który w obec ludzi kraje pacyenta, pewnym będąc swéj ręki i swéj wiedzy. Autor wprowadza nas do rodziny paryskiego jubilera, który zarobiwszy mały majątek osiadł w Hawrze na starość wraz z żoną i dwoma dorosłymi synami, z których jeden jest doktorem, a drugi adwokatem. Ani fizycznie, ani moralnie nie ma pomiędzy Piotrem i Janem Roland najmniejszego podobieństwa: starszy jest naturą energiczną i szorstką, drugi wyrafinowaną i bierną. Domowy byt i prozaiczna egzystencya téj rodziny scharakteryzowane są po mistrzowsku, a postacie rodziców i niewielkiéj liczby przyjaciół naszkicowane tém piórem biegłém, gdzie z jaskrawego przedstawienia tonów wizya wydobywa się bez najmniejszéj trudności. Dramat rozpoczyna się od wiadomości, że na młodszego z synów spadł znaczny spadek po dawnym przyjacielu rodziny, od lat kilkunastu straconym z oczu. Z nadzwyczajną trafnością i precyzyą rysów autor wyłuszcza gammę uczuć, przez jakie przechodzi Piotr na wiadomość o tym nowym faworze, jaki spotkał jego brata. Małe z razu rozdraźnienie, podniesione jest materyalnemi okolicznościami do zazdrości, ale dopiéro gdy szlachetna, gorączkowa ta natura chce ją zwalczyć, świat dorzuca do niéj swe zatrute ziarno. Podejrzenie rodzi się zwolna w jego umyśle, wzmacnia mnóstwem drobnych spostrzeżeń i nareszcie jak lawa gorąca pierś jego zalewa. Nabiera on przekonania, że ów Marechal był kochankiem jego matki i ojcem jego brata. To straszne odkrycie oddźwięka w jego temperamencie i odtąd w sercu jego z synowskiém uczuciem dla matki walczy wstręt i odraza dla kobiety, co schańbiła łoże ojcowskie. Ta walka uczuć i ta tyrania, z jaką się obchodzi z biedną, cierpiącą, złamaną życiem kobietą, jest oddana po mistrzowsku. Biegły romansopisarz dochodzi do rozerwania węzła tragicznego, rzuca zbolałą matkę w ramiona i pod opiekuńcze skrzydła młodszego syna, który nie czuje najmniejszego popędu do potępienia jéj, a starszy syn, o sercu strzaskaném rozpaczą, wyrzutami sumienia, co mu pokazują niegodziwość postępowania względem matki, odpływa w świat jako lekarz okrętowy. Wskutek reszty téj ironii, któréj Maupassant oduczyć się nie może, przedstawia on ojca jako nicość, jako najzupełniejsze zero, około którego rozegrywała się dawniéj komedya miłosna bez jego wiedzy, około którego rozgrywał się obecnie dramat straszny skruchy, wyrzutów sumienia, walki na noże syna przeciwko matce, kłótni dwóch

braci, rezygnacyi, ucieczki jednego, tryumfu, małżeństwa drugiego, a to wszystko bez żadnego z jego strony udziału, bez żadnéj świadomości... I autor kończy, zostawiając wszystkie osoby swego dramatu w pełni swéj życiowéj akcyi. Jest to ulubioną teoryą szkoły naturalistycznéj, ów brak końca: w powieści, tak jak w życiu, nie ma być ani początku, ani epilogu. Nieraz naciągane, tutaj zakończenie takie ma istotnie poetyckie piękno. Po uraganie, co zamącił chwilowo życie téj rodziny, wszystko powraca na pozór do stanu codziennego: matka będzie rozpamiętywała jedyny promień słoneczny w swém pochmurném życiu, syn, co się skazał na tułaczkę, znajdzie uspokojenie w oddaleniu za zbrodnią na własnéj popełnioną matce. Jan z pogodném czołem będzie korzystał z uśmiechów życia, a ów ojciec będzie wiódł daléj swe życie próżne, żadne, aż umrze, nie zostawiwszy po sobie ni żalu ni wspomnień. Wrażenie, jakie ta powieść wywiéra, jest głębokie. Nie ma tu już goryczy, oburzenia i protestacyi, jakie wywołać musiał *Bel-Ami*, ale jest ból, sympatya wzbudzona cierpieniami odczuwanemi przez pokrewne nam ludzkie istoty. Czujemy wdzięczność dla autora, że się nie naigrawa z téj krzyżowéj drogi i że nie oszpeca nam umyślnie tych męczenników. To uszanowanie boleści jest dowodem, że pisarz wzniósł się o jeden szczebel wyżéj w swéj twórczości.

Trzecia z rzędu jego powieści *Mont-Oriol* ukazała się, gdy autor był już sławnym, i w przeciągu dwóch lat z łatwością pozyskała trzydzieści wydań. Ale jeżeli publiczność lgnęła już teraz z ufnością do poczytnego i utalentowanego pisarza, to nie szło zatém, aby talent jego zawsze na tych samych mógł był się utrzymać wyżynach. Łatwość, z jaką p. Maupassant pracuje, może nieraz jeszcze podobnego spłatać mu figla i każe mu uważać za skończony utwór, który jest zaledwie kartonem do obrazu. Akcya téj powieści jest bardziéj skomplikowana, aniżeli to ma zazwyczaj u niego miejsce, i liczba działających osób znaczniejsza. Ale nie udało się téż autorowi dać im téj plastycznéj wypukłości, tego wewnętrznego życia, do którego nas był dotąd przyzwyczaił. Stacya wód mineralnych w Owernii i napływ gości dały autorowi sposobność pośpiesznego naszkicowania mnóstwa sylwetek, z których niejedna jest karykaturą. Za węzeł dramatyczny służy utworzenie nowego zakładu wód przez spekulanta paryskiego, żyda p. Andermatta, który jest wyprowadzony w pole przez chytrego wieśniaka miejscowego, Oriola. Ale wśród tych zachodów, intryg, które przypominają elegancką powieść Droz'a *Autour d'une source* i które zostawiają czytelnika dość obojętnym, autor umieścił dramat miłosny pomiędzy żoną owego prozaicznego bankiera Andermatta Krystyną a p. Pawłem Bretigny. Kobiéta, wielkoświatowa laleczka, w któréj

drzémały dotąd nietylko nierozbudzone namiętności, ale nawet instynkta, porwana jest w koło zaczarowanéj, gwałtownéj, bezgranicznéj miłości. Autor z wielką prawdą pokazał, jak się pod wpływem poezyi tego uczucia rozwija natura kobiéty i jak się jéj charakter rozszerza. Nieszczęście bohaterki mieć chciało, że ów jéj wyidealizowany kochanek nie był niczém mniéj jak bohaterem. Natura łatwa do entuzyazmów, ale bez żadnéj głębi, zmienna, szukająca zaspokojenia swych zmysłowych popędów i używająca dla dopięcia tego celu wszystkich swych umysłowych powabów, Paweł Bretigny jest rodzajem arlekina, wywracającego koziołki na linie miłości. Ten typ zbliża się do Bel-Ami, chociaż nie posiada jego cynizmu. Nie przeszkadza mu popełniać podłości: taką jest opuszczenie Krystyny i poślubienie rozkochanéj w sobie bogatéj córki Oriola. Autor nie wystudyował jednak téj natury dokładnie i czytelnik nie jest w stanie uczynić sobie o niéj dokładnego wyobrażenia. Jest kilkanaście charakterów drugorzędnych, naszkicowanych z werwą i z tym kolorytém błyszczącym, który Maupassant z łatwością znajduje na swéj palecie, ale nie jest to w stanie zasłonić braków psychologicznych u kilku głównych osób. Przechodzenie z jednych uczuć do drugich jest przedmiotem, który mógł zaciekawić bystrego spostrzegacza. W szerokich ramach, zapełnionych drobiazgami, autor nie znalazł dla niego miejsca. Można tego żałować i stąd też nie podobna téj powieści dać miejsca tak poczesnego jak innym w długim już jego katalogu.

Ostatnia powieść p. de Maupassant nosi tytuł *Fort comme la Mort*. Pojawiła się na wiosnę r. z. i ma do téj chwili powodzenie księgarskie olbrzymie. Krytyka potwierdziła sąd doraźny, wydany przez publiczność. Jest to powieść nie wielka rozmiarami, ale potężna koncentracyą talentu pisarskiego. Jak Julia de Trécoeur w pośród powieściowego żniwa Oktawiusza Feuillet przeważyła, chociaż drobna rozmiarami, wszystkie jego wielkie powieści z wyjątkiem *Monsieur de Camors*, tak samo ta powieść p. Maupassant przeważa nietylko *Mont-Oriol*, ale i *Bel-Ami*, i jest istotnie czystéj wody klejnotem wśród téj chaotycznéj jego piśmienniczéj produkcyi. Mamy tutaj kilka osób ale jak wystudyowanych, jak wycieniowanych! Bohaterem jest malarz, wielki malarz salonów, mistrz w portretach, członek akademii, syt zaszczytów towarzyskich. Autor pokazał w najdrobniejszych szczegółach, jak się utworzyła ta natura, gdzie pod lakierowaną salonową powłoką, starły się stopniowo wszystkie oryginalne porywy ducha artystycznego i jak wzięty on został w sidła wielkoświatowéj miłości. Pokochał i został pokochany przez powabną hrabinę, która w miłość tę włożyła wszystkie siły swe życiowe. Ażeby nie stracić tego kochanka,

któremu jest wyłącznie wierną, wprowadziła go do swego koła rodzinnego i towarzyskiego, zaspokoiła wszystkie jego potrzeby epikurejskie i artystyczne i trzymała tego lwa na uwięzi przez lat kilkanaście. Oboje stają się ludźmi dojrzałymi, ale ona kocha z gwałtownością młodości i siłą wyjątkowego uczucia, kiedy on idzie raczéj za głosem przyzwyczajenia. Naraz pojawia się trzecia osoba, córka hrabiny, Aneta, żywy portret swéj matki z lat jéj młodości i występująca teraz w świecie u boku powabnéj jeszcze matki. W szeregu silnie zarysowanych scen autor uwidocznił, jak się z razu bezwiednie wielki malarz zajmuje młodą panienką i jak w przywiązaniu do niéj, w czci dla jéj piękności widzi tylko hołd dla matki. Ale stopniowo to nowe uczucie zyskuje na samodzielności i na samowiedzy. Czuje, że kocha ją samę przez się z całą gwałtownością skomplikowanego uczucia, a więzy w jakich się znajduje, zaczynają mu ciężyć niepomiernie. Druga strona psychiczna tego obrazu jest niemniéj drastycznie skréślona. Kobiéta tracąca miłość, w któréj cała jéj istota była ześrodkowaną, czépia się jéj uparcie, gorączkowo, cierpi i wije się z rozpaczy, kryjąc ból wewnętrzny. I tych dwoje męczenników idzie ze stereotypowym uśmiechem salonowym na ustach po swéj ciernistéj drodze. Właśnie dla tego, że nie ma scen tragicznych i awantur, wrażenie staje się potężném. Jako prawdziwy dowód już dojrzałego i umiejącego panować nad sobą talentu, widzimy ten rys, iż Aneta nie podejrzywa bynajmniéj téj miłości, któréj jest przedmiotem, że kroczy nad przepaścią nie marząc o jéj głębi, że wychodzi za mąż w swéj sferze towarzyskiéj i że nigdy sobie nie wyobrazi, iż jéj ślub spowodował śmierć człowieka, w którym widzieć była przywykła wiernego przyjaciela swych lat dziewczęcych. Gdyż ten rozkochany artysta nie może znieść dłużéj brzemienia życia i umiéra — umiéra z miłości. Uczucie zdruzgotało go: było silném jak śmierć. Scena jego śmierci, gdy u jego łoża czuwa kobiéta, która go ubóstwiała, ma istotnie grozę tragiczną. Niepodobna ani nic dodać ani nic ująć z tego całego opowiadania, w którém tętni prawda życiowa, w krwi i łzach kąpana, wyjątkowa może ale naturalna, występna, ale nie tarzana w kałuży i nie sprofanowana płaskiemi, trywialnemi szczegółami.

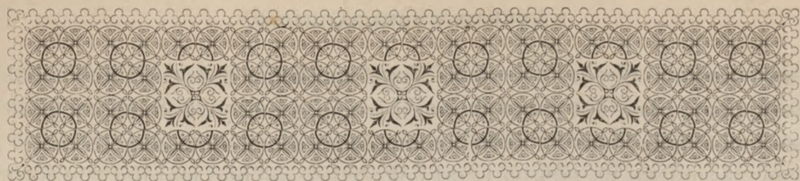
Fort comme la Mort jest silną i piękną powieścią. Szkoła realistyczna francuska może się po jéj autorze spodziéwać wiele. Wybawił on ją już z kompromitującéj zależności od naturalizmu, i udowodnił, że można nakréślić bez cynicznych wybryków dramat wyjęty z życia, najściśléj z nim związany, nie czyniąc żadnych ustępstw konwencyonalizmowi.

Gdybyśmy się nie obawiali znużyć uwagi czytelnika, zapoznalibyśmy go jeszcze z kilku innemi nowszemi utworami p. de Maupas-

sant. Jeden, *Horla*, opowiada jego wrażenia z żeglugi powietrznéj; drugi, *Sur l'Eau*, z wycieczek morskich, jakie odbywa na swym jachcie, Bel-Ami. Ten ostatni tomik pozwala wniknąć w naturę młodego pisarza, wrażliwą na piękno w jakiejkolwiek się ono manifestuje formie, żądną ruchu, działalności, naturę gorączkową, energiczną, szlachetną... Ale tém śmieléj możemy te dodatkowe rysy do przyszłych odłożyć okoliczności, że już nam wydawcy p. de Maupassant, nowe jego zapowiadają utwory. Gdy nam o nich mówić przyjdzie, powrócimy do naszego autora, jak do starego znajomego.

Ten.





WYSTAWA STAROŻYTNOŚCI

W WARSZAWIE.

Parę tygodni temu otwarta w pałacu Muzeum przemysłu i handlu „Wystawa sztuki starożytnéj i nowożytnéj, stosowanéj do przemysłu,“ ze względu na jéj cel i charakter przedmiotów, zasługuje na poważniejsze wyróżnienie wśród powodzi ekspozycyjnéj, nawiedzającéj Warszawę od lat kilku. O ile wyrozumiéć mogliśmy organizatorów téj wystawy, ma ona zadanie dydaktyczne i jednocześnie dążność do ujawnienia postępu w zakresie wytwórczości rękodzielniczéj artystycznego charakteru. Wskazanie zatém doskonałych wzorów do naśladowania i obrachunek pracy bieżącéj przyświecały powstaniu wystawy, co, mówiąc nawiasem, leży w bezpośrednim zakresie programu Muzeum. Z tego téż stanowiska rzucamy okiem na całość wystawy i szczegóły jéj ważniejsze, zastanawiając się tu i owdzie nad właściwościami artystycznemi zabytku lub nowego okazu, albo uwydatniając obyczajowo-pamiątkowe znaczenie niejednego pomnika przeszłości.

Jakoż wystawa, całość biorąc, przedstawia się bogato, powiedzmy nawet, imponująco, a w niektórych działach błyskotliwie, pociągając rozmaitością i wykwintem. To jéj charakterystyka ogólna. Bogactwo jakościowe uwydatnia się i w szczegółach, w osobno branych okazach, szkoda tylko, że zamało położono tutaj nacisku na dydaktyczny charakter ekspozycyi i na uwydatnienie postępu w pracy naszéj na niwie sztuki, stosowanéj do rękodzieł. Przecież dydaktyzm i obrachunek był celem wystawy, należało je przeto traktować odpowiednio.

Rozumiemy trudności w grupowaniu wystawy podług epok i stylów, gdyż na taki rezultat potrzeba o kilkakroć więcéj zabytków, ale nie pojmujemy, co skłoniło zarząd ekspozycyi, że publiczności dał w rękę katalog szematyczny, częstokroć zacierający w niéj

i tak nader słabe pojęcie o zabytkach przeszłości. Dydaktyzm np. wystawy nie pozwalał wcale na to, aby zabytki słowiańsko-polskiéj pogańszczyzny sumarycznie figurowały w katalogu, lub, ażeby pierwsza lepsza szabla, należąca do grupy „batorówek,“ była podawana jako „szabla Stefana Batorego“ (ob. nr. katal. 499, 500 i 501); pierwsze zjawisko niczego nie uczy, drugie zaś, dogadzające próżności i handlarstwu, w błąd wprowadza nieświadomych rzeczy.

W oddziale znowu okazów nowożytnéj sztuki stosowanéj, pozamieszczano przedmioty nie wiem już poraz który wystawiane i nagradzane, jak np. duże okno gotyckie (Nr. 105), szafa dębowa (Nr. 104) lub wyroby srebrne (Nr. 153), albo wreszcie szachy kościane, których wykonanie nie ma nic wspólnego z wystawą (Nr. 51 i 59). Takich przykładów wskazalibyśmy wiele, sądzę jednak, że już powyższe wystarczą do udowodnienia, jak zarząd wystawy mało troszczył się o poważne rozwinięcie przyjętego programu. Wystawianie oglądanych kilkakrotnie w tychże salonach przedmiotów, lub produkowanie rzeczy, Bóg wie kiedy i przez kogo wykonanych, obniża doniosłość saméj ekspozycyi i zarazem wyradza jéj lekceważenie przez rękodzielnika i publiczność, zawsze chciwą nowych wrażeń a zawodzoną często.

Wskazując tego rodzaju braki wystawy i katalogu, jestem pewny, żeby ich nie było przy czynnym współudziale znanych zaszczytnie na polu nauki i pracy społecznéj wielu z pomiędzy członków komitetu, urządzającego ekspozycyą. Żałować téż należy, że się tak stało, bo tym sposobem katalog nie ma żadnego naukowego znaczenia, a bieżąca nasza sztuka stosowana, nie wiem, czy się cokolwiek stąd zasili. Kiedy już robiono nakład, katalog warszawskiéj wystawy starożytności z r. 1856 powinien być wzorem dla niego.

Lecz przystąpmy do właściwego przeglądu wystawy.

Gdy ostatnie dwie wystawy starożytności, urządzone w Warszawie w latach 1881-ym i 1887-ym, mało zawierały w sobie zabytków kopalnych świata pogańskiego, — obecna szczyci się wcale poważnym ich zbiorem, zgromadzonym głównie przez pp. D. J. Samokwasowa, Tadeusza Dowgirda, K. hr. Przezdzieckiego, K. Wojciechowskiego i Józefa Przyborowskiego. Więc znajdujemy tu najróżnorodniejsze zabytki, wykonane z kości, rogu, kamieni, bronzu, muszli, bursztynu, złota, srebra, gliny i żelaza, a nawet i okazów szklanych dostatek, obok ziarn zboża, włosów i tkanin rozmaitych. Bez zaprzeczenia świat kopalny, kultura pogańszczyzny słowiańsko-polskiéj znalazły szeroką i niemal wszechstronną reprezentacyą.

To, co nam badania historyczne prawią o wpływie kultury grec-

kiéj na ziemie, znane dzisiaj pod nazwą Wołynia, Ukrainy i Podola jest doskonale stwierdzone przez tysiące przedmiotów, stanowiących kolekcyą cennych wykopalisk p. Samokwasowa. Zwłaszcza przedmioty z metalu, kości i gliny są najwymowniejszemi świadectwami wpływów greckich. Pierwsza lepsza skorupa, należąca do grupy scytyjsko-sarmackiéj, zaraz na pierwszy rzut oka wyróżnia się od ułamków i całych naczyń glinianych, wydobywanych tak licznie na dorzeczach Wisły, Warty lub Niemna. Gdy w pierwszych panuje linia miękka, falista, wiążąca się w pełne harmonijne i rytmiczne grupy, w drugich ornament zwykle biegnie linią gzygzakowatą, albo układa się z obwódek i wycisków geometrycznego kształtu, jak to np. widzimy na popielnicach z miejscowości Rusiec lub z Manieczek, Dobieszewka i t. p., zdobiących gabinet archeologiczny uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. I w ornamentyce bronzów scytyjsko-sarmackiéj epoki, wedle Samokwasowa, ciągnącéj się do V-go wieku po Chrystusie, znajdujemy tenże sam wpływ helleński, podczas gdy zabytki spiżowe późniejsze posiadają więcéj prostolinijne zdobienia.

Ale wśród téj rzeszy wykopalisk, oglądanych na wystawie, posiadamy i takie, które wykazują wpływ kultury rzymskiéj, jak np. ów hełm duży z grzebieniem i wypukłemi guzami, wykopany w Krzemiennéj obok wału Trajana (Nr. 10), będący własnością p. Pułaskiego. Piękny ten okaz nie dorównywa jednak kociołkowi bronzowemu (Nr. 27), znalezionemu w Słupcy pod Koninem i należącemu do p. Szaniawskiego starożytnika warszawskiego. Wśród perełkowych i gładkich obwódek uderzają na nim wyobrażenia słońca, koni i ptactwa, obok innych kołowych zdobień, niepodobnych w niczém ani do helleńskich, ani do archaicznych rodzimych, przypominających zdobienia na serach owczych, buławie bronzowéj znalezionéj w Grądach pod Tarnowem, lub te wypalane na naczyniach drewnianych ręką wieśniaka. W ornamentyce naszego kociołka widnieje typ epoki przedhelleńskiéj, powiedzielibyśmy wpływ fenicki, któremu podlegały silnie ziemie zajęte przez dzisiejszych Słowian północno-wschodnich. Piękny ten okaz ma wiele pokrewieństwa z zabytkami prof. Samokwasowa, zaliczonemi przez niego do epoki cymeryjskiéj. I tu i tam kult słońca w pierwotnych jego pojawach wycisnął swoje piętno.

Bogata kolekcya wykopalisk p. Tadeusza Dowgirda przenosi nas wyłącznie na ziemie litewsko-ruskie, dostarczając pięknych bronzowych naszyjników, zapinek, naramienników, sprzączek, klamer, guzów, pierścieni, grotów, medalionów i t. p. obok okazów ceramiki prymitywnéj i wyrobów z kamieni, jak np. młotów ładnie szlifowanych, narzędzi i wiórów krzemiennych. Ornament typu prostolinijnego i kolistego

przeważa w tych bronzach, badanych już dawniéj przez hr. Tyszkiewiczów, Kotlarewskiego, Kirkora i innych. Nasz kolekcyonista z zamiłowaniem gromadzi te skarby zamierzchłéj przeszłości, w któréj wielki Perkunas rządził niebem i ziemią, podobnie jak Światowid słowiański lub gromowładny Zeus helleński. Dając poklask owemu zamiłowaniu p. Dowgirda, nie możemy się zgodzić z jego poglądem na świat wykopalisk, poglądem zresztą wyznawanym powszechnie przez archeologów, streszczającym się w podziale kopalnych zabytków kultury pogańszczyzny naszéj na epokę kamienną, bronzową i żelazną. Zdaniem mojém, podział taki może mieć tylko teoretyczne znaczenie, podczas gdy bieg kultury nie wié nic o czémś podobném. Że to i owo cmentarzysko albo mogiła dostarczą zabytków wyłącznie bronzowych albo kamiennych, nie dowodzi to jeszcze jakiéjś epoki cywilizacyjnéj, skoro o miedzę natrafia się groby ze szczątkami narzędzi zarówno z kamienia, bronzu i żelaza, a charakter techniczny i artystyczny ceramiki nie uwydatnia żadnych różnic typowych. Podobna klasyfikacya wygląda jak monetarny system wyprowadzony z pomników bronzowych przez Kissa. Toż dzisiaj na jednych powierzchniach ziemi są w użyciu łyżki drewniane, żelazne i srebrne, albo guziki kościane, rogowe i metalowe, niechżeż więc kto na téj podstawie wykreśli epoki szlaków cywilizacyjnych? Jeżeli co, to tylko jakość techniki i charakter linii kształtów i zdobień mogą coś mówić o epokach cywilizacyjnych człowieka i to jeszcze z uwzględnieniem warunków geograficzno-przyrodniczych. Herodot np. opisując Traków, jednocześnie widzi mieszkańców nawodnych i osiadłych bezpośrednio na ziemi, nie przypuszczając pewno nigdy, że kiedyś archeogowie wymyślą palaficistów, jaskiniowców i t. p. zjawiska epokowéj kultury.

Zwróciwszy jeszcze uwagę na piękne okazy strzałek, grotów, nożyków, wiorów i t. p., wykonanych z krzemienia, a zebranych przez prof. Józ. Przyborowskiego nad Wisłą, Bzurą, Świdrem, Wieprzem i Tyśmienicą, zmierzamy do pomników zbroi i oręża, którymi przodkowie nasi pisywali bojowe traktaty, przejmujące nas dzisiaj dumą lub wstydem. Zwrot ten od zabytków kopalnych do okazów zbroi i oręża z doby historyczno-chrześciańskiéj, jest tém więcéj uzasadniony, że w pierwszych znajdujemy zjawiska, będące prototypem drugich. Niewątpliwie siekierka lub młot kamienny w epoce pogaństwa był tém, czém w dobie historycznéj buława hetmańska i berło królewskie, podobnie jak ładne spirale i naszyjniki cmentarzysk w stosunku do kolczug i pancerzy rycerskich. Koła bronzowe naszywane na kaftan łosiowy praojca Słowianina, były ozdobą i opancerzeniem zarazem; groby naszéj pogańszczyzny i zabytki ry-

cerskie, zebrane przez Lindenschmidta, doskonale ilustrują ono twierdzenie. Z biegiem czasu owe koła naszywane suciéj i wiązane ze sobą, wytworzyły średniowieczną kolczugę, koszulkę drucianą o dużych ogniwach, zmniejszających się stopniowo w epoce odrodzenia. Wśród kolekcyi prof. Samokwasowa, znajdujemy piękne fragmenty kolczugi razem z resztkami żelaznego oręża, zdaje się z XIII wieku, zniszczone na stosie ciałopalenia.

Przechodząc od tych świadków krwawego dramatu do wielkiéj sali Muzeum, zaraz na wstępie uderzą nas zastępy pancernych, husaryi i różnego autoramentu rycerskie zjawiska. Tu manekin od stóp do głów opancerzony kolczugą, tam w stal zakuty stoi, jak pomnik spiżowy, a ówdzie z naplecznikòw żelaznych husarzy strzelające skrzydła zdają się szeleścić złowrogo, jak ongi, gdy przed nimi pierzchały pohańców zastępy. Inny świat wieje z tych zabytków, my wobec niego wydajemy się karłami. Nie wątpię, że żaden z nas nie ruszyłby się w boju, gdyby mu przyszło nosić taką zbroję stalową (Nr. 413), lub karacenę (N. 415), albo ono opancerzenie (Nr. 419) z godłem orderu orła białego: *pro fide, lege et rege.* Są to nader poważne zabytki, będące ozdobą zbiorów ordynacyi hr. Krasińskich, która najwięcéj dała na wystawę zbroi i oręża. Nie można tu również pominąć ani karaceny (Nr. 412) p. Millera i drugiéj hr. E. Czapskiego (Nr. 416), ani kolczugi p. Kolasińskiego (Nr. 420), albo przepysznéj zbroi (Nr. 428) husarskiéj ze zbiorów ordynacyi hr. Krasińskich. I owe wskazane dopiéro i drugich siła pancerzy i kolczug należą do tego rodzaju pomników przeszłości, żebyś z lubością o nich marzył i pisał traktat naukowy, wzmacniając go bojowymi rynsztunkami i orężem przechowywanym w Krasiczynie, Podhorcach i w Muzeum Lubomirskich we Lwowie.

Ale krótkie sprawozdanie nie pozwala na rozkosz taką, więc i o koncerzach i różnych gatunkach broni siecznéj, zaledwo nam przypada wzmiankę przelotną uczynić, tak samo jak i o szeregu buław i buzdyganów pięknych, zdobionych zamożnie sposobem inkrustacyi lub *niello.*

Każdy kto oglądał zabytki zbroi i oręża, zauważył pewno, że owe pomniki chociaż służyły utylitarnym względom, zawsze jednak uwydatniały w sobie charakter sztuki, linii artystycznéj, panujący w danéj epoce. Gdy np. buławy dawne posiadają pióra wielokątne, w XVII wieku przybierają formy esowate, lub spływają się w kulę w myśl renesansu i baroka. To téż np. hełmy i tarcze żelazne, z wykuwanemi wypukło figurami i ornamentyką, a pochodzące z XVI w., noszą na sobie wszystkie znamiona piękne z epoki reformacyi. Trady-

cya przypisuje te wytworne zabytki Zygmuntom naszym, co być może w istocie, gdyż monarchowie ci żywo zajmowali się dziełami sztuki i artyzmu. Hełmy owe i tarcze są perłami zbiorów ord. Krasińskich.

Gdyby nie moc zabytków oczekujących naszego spojrzenia, zatrzymalibyśmy się przy szeregach broni palnéj, z zamkami kołowemi i łożami misternie wykładanemi w stylu odrodzenia, kością słoniową lub masą perłową, zastanowilibyśmy się i nad kuszami, rzucającemi mordercze pociski i nad różnego kalibru strzelbą i grupą rzędów na konie suto zdobionych srebrem, złotem i kamieniami, obyczajem polskim lub wschodnim. Rzędy te jednakże, acz wytworne i bogate, nie dorównywają rzędowi hetmana Jana Tarnowskiego, przechowywanemu w Dzikowie i takiemuż zabytkowi po dzielnym bojowniku z odsieczy wiedeńskiéj Stanisławie Jabłonowskim.

Ze wspomnieniem pięknéj kolekcyi ryngrafów, osłaniających niejako puklerzem piersi naszych rycerzy, zbliżamy się do zabytków sztuki kościelnéj, któréj wystawa zaprezentowała dobór wielki, zacząwszy od panowania pierwszych Piastów, aż do epoki saskiéj. Więc stuły, ornaty, kapy, kielichy, monstrancye, relikwiarze, ampułki, krucyfiksy, sukienki, puszki i t. p. przedmioty, dają wymowne świadectwo téj dbałości o dzieła sztuki i artyzmu, jaką tak chlubnie kościół odznaczał się w przeszłości naszéj i Europy.

Chociaż niewiele skarbców kościelnych obesłało wystawę, przecież i te zabytki, jakie tu widzimy wystarczą do utwierdzenia w sobie przekonania, że piękno, że jego głębokie poczucie było czynnikiem nierozdzielnym życia wieków minionych. Widzimy to choćby i na kielichu dużym, srebrnym, z XIII wieku, którym Konrad I, książę mazowiecki, udarował katedrę płocką. Dar to iście monarszy, zwłaszcza jeśli weźmiemy na uwagę czas, w którym go wykonano. Na patynie wyobrażono księcia na koniu, a wokoło niego cztery figury suplikantów, na czaszy dano imiona Piastowiczów, a na podstawie wyryto figury proroków starego testamentu. Wszystkie te postacie pomieszczono w otoczeniu architektonicznem kolumn i arkad panującego ówcześnie stylu romańskiego, a rysowano je tak grawerunkiem, że uwydatniają akcyą odpowiadającą duchowemu nastrojowi. Jestto zaleta wysoka, o czém bizantynizm nie myślał nawet, a co romanizm tylko w przedniejszych pomnikach sztuki ujawniał. Dramatyzowanie rzeźby i malowideł stanowi na XIII wiek rzadkie zjawisko, stąd ten kielich katedry płockiéj zajmuje bardzo poważne stanowisko w dziejach sztuki romańskiéj.

Lecz i syn romanizmu, gotyk niemniéj zamożnie wystąpił na wystawie. Kielich srebrny złocisty z r. 1492 po kanoniku płockim Janie

Załuskim i takiż zabytek z XV w., zdobiący kościół miechowski, nie przestaną należéć do najszacowniejszych utworów jubilerstwa średniowiecznego. Zwłaszcza ten miechowski, zdobiony figurami świętych. emalią i kamieniami, odznacza się świetną kompozycyą i dobrém wykończeniem. I kielich katedry włocławskiéj i monstrancya katedry płockiéj, dzielnie podtrzymują dobre imię sztuki ostrołukowéj. Ostatnia zdaje się pochodzi z początków XVI wieku, kiedy to filigrany gotyckie wstrząśnięte zostały i zdruzgotane przez raptowne wkroczenie do Polski sztuki odrodzenia. Na twierdzenie takie naprowadzają nas reminiscencye bliźnich okien środkowéj wierzyczki, przypominające niszowania schyłkowego ostrołuku w Polsce, oraz kostki renesansowe pod gotyckiemi kolumienkami i skrzydeł przezrocza, których linie arabesek mają już zacięcie renesansu.

Okoliczności powyższe jak i wizerunki książąt mazowieckich na romańskim kielichu płockim zdają się świadczyć, że zabytki te zostały wykonane przez jubilerów polskich, podobnie jak przesławny relikwiarz katedry na Wawelu, będący dziełem krakowskiego złotnika, co się Marcin Martinecz pisał. Nie możemy tego powiedzićć o wspaniałéj monstrancyi i krzyżu katedry warszawskiéj, najprawdopodobniéj są to utwory jubilerstwa niemieckiego z XVI stulecia.

Ostrołuk ma to już do siebie, że nie znosi kompozycy połowicznych, w każdém jego, czy to monumentalném, czy jubilerskiém dziele musi ujawnić się w całéj okazałości konstrukcya stylowa. Szczegół osobno brany, jest jak zwrotka niedomówiona, dopiéro w liczbie, w całości, razem z innemi daje dzieło skończone. Jak w życiu średniowiecza, tak i tutaj indywidualizm jednostek podporządkowany został zasadom ogółu. Okazy wystawowe, dopiéro co oglądane, potwierdzają to zjawisko charakterystyczne, którego w równym stopniu nie posiada sztuka odrodzenia, indywidualizująca swoje kreakcye. W renesansie zarówno kolumna, jak i arabesek zwykle stanowią całość zamkniętą, skończoną i równorzędną z postacią człowieka wprowadzonego do kompozycyi. Widzimy to na hr. L. Krasińskiego przepysznéj tacce srebrnéj z XVI w., zabytku włosko-francuskiego renesansu (Nr. 1430—10), spostrzegamy i na ołtarzyku polowym srebrnym, ofiarowanym katerze płockiéj 1618 r. przez żonę Zygmunta III, Katarzynę Austryaczkę (Nr. 187). Na pierwszym utworze wykuta i wycyzelowana jest scena: „Tryumf miłości“, na drugim takiéjże saméj roboty kompozycya religijna, oba zaś są arcydziełami w swoim rodzaju, godnemi pomieszczenia w pierwszorzędnych zbiorach. Zestawiamy te dwa przedmioty ze sobą, celem uwydatnienia indywidualizacyjnych przymiotów dzieł z epoki odrodzenia.

Niezawodnie pod względem artystycznym bardzo wysoko stoi płaskorzeźba srebrna (Nr. 1426—5), należąca do p. Lachnickiego, a przedstawiająca zwycięstwo chrześciaństwa, z tém wszystkiém nie zgodzilibyśmy się z jéj właścicielem, który utrzymuje, że ona pochodzi z pod dłuta sławnego Benvenuta Cellini. Zamało ma w sobie charakteru temu mistrzowi właściwego.

Zanim zanurzymy się w powodzi zabytków z XVII i XVIII w., zatrzymujemy się chwilkę nad zbiorami z dziedziny numizmatyki, sfragistyki, heraldyki i bibliografii, których wystawa stosunkowo zgromadziła bardzo wiele. Ciekawy to nader przedmiot dla zapalonych specyalistów w tym kierunku, choć i dla szerszéj publiczności przedstawia siła interesu, raz jako pamiątki dziejów i kultury, powtóre jako świadectwo oddziaływania sztuki na wszystkie kierunki życia naszego narodu. Taka kolekcya pieczęci p. Kazimierza Stronczyńskiego przedstawiająca okazy od czasów Konrada księcia mazowieckiego, t. j. od r. 1222 do Zygmunta Starego, czyli 1506 r., albo poważne zbiory pieczęci od XIII do XVIII wieku, wystawione tutaj przez bibliotekę ord. hr. Zamojskich i p. Ed. Diehla, nie przestaną żywo zajmować zarówno badaczy przeszłości Polski, jak i zwyczajnych profanów. Badacz sztuki i obyczajów znajduje tu zasób szczegółów charakterystycznych, zwłaszcza w zabytkach z doby piastowskiéj i pierwszych Jagiellonów. Kompozycya każdéj pieczęci średniowiecznéj, to miniaturowe dzieło architektury gotyckiéj w najdrobniejszych nawet szczegółach, podczas znowu gdy np. medale, zaczynające się w XVI w. aż do dni naszych, są wyłącznie utworami malarsko-rzeźbiarskiego rodzaju. Architektura jest tu zepchnięta na plan ostatni.

Musiałbym się rozpisywać wiele, gdybym chciał dać jakie takie wyobrażenie o przepysznéj kolekcyi medali, monet, orderów i znaków masońskich, zdobiących wystawę. Dość tu powiedzieć, że sam Emeryk hr. Czapski ze Stańkowa, wystawił 409 sztuk monet i medali polskich od Zygmunta Starego zacząwszy, aż do czasów Stanisława Augusta, a dr. Rewoliński z Radomia, błysnął z górą 400 sztukami medali polskich historycznych i religijnych. I p. W. Szaniawski i p. I. Weyssenhoff i paru innych zbieraczów stanęło do numizmatycznego apelu. Istotnie bardzo to bogaty i pouczający dział wystawy.

W dziale bibliograficznym najpoważniéj wystąpiła biblioteka ord. hr. Zamojskich, prof. Józef Przyborowski i p. I. K. Giejsztor. Więc między innemi spotykamy, tu arcy-rzadki druk krakowski z czasów około 1475 r. „*Joannis de Turrecremata Explanatio in Psalterium*“; statut Łaskiego z 1506 r., „Pieśni o Bożém umęczeniu“ z 1532 r.; „Xięgi Jezusa Syna Syrachowego Eklesyaticus rzeczone“, druk

krakowski z 1541 r. i t. p., iście białe kruki, często w bogatych krakowskich oprawach z XVI w., sporządzanych dla Zygmunta Augusta, Stefana Batorego, Zygmunta III i innych przodowników społeczeństwa naszego.

Miniaturowe malarstwo na pergaminach książkowych, które w naszéj przeszłości od XII do końca XVI w. zdobyło dla siebie ładną kartę, na wystawie naszéj jest słabo reprezentowane przez hr. K. Przezdzieckiego zaledwo, tak samo jak i sztuka drzeworytnicza, mogąca wskazać wszystkiego kilkanaście zabytków.

I znowu zaczynamy od kościelnych rzeczy, aby przez nie wejść w dziedzinę zabytków artystycznych z XVII i XVIII wieku, nadzwyczaj hojnie reprezentowanych na wystawie. Rozumié się, że już sama epoka wskazuje kierunek artystyczny, ujawniony w tych pomnikach przeszłości. Styl *barocco* i różne jego odmiany francuskie i niemieckie panują tu samowładnie, nie dopuszczając prawie reminiscencyi zasad i form sztuki dawniejszéj. Wyrażam się warunkowo, bo od czasu do czasu dolatuje nas echo odmienne z zamożnego Gdańska. Kiedy wiek XVIII wysila się na stworzenie w plastyce form najdziwaczniejszych i najbardziéj efektownych, wtedy Gdańsk często daje światu takie utwory artystycznego charakteru, jakby wiek XVI był ich rodzicem. Katedra warszawska posiada kielich, tackę i ampułkę z r. 1701 wykuwane ze srebra i zdobione emaliami, które odznaczają się miękkością form arabeskowych i spokojnemi a potoczystemi ich zwojami, o jakich prawie, że nie śni się nawet wszechwładnemu na onczas barokizmowi. Kościół paraf. w Rokitnie, pod Warszawą, wystawił tutaj duże *votum* srebrne (Nr. 147) z r. 1703, które z właściwości artystycznych zupełnie jest podobne do powyższych warszawskich zabytków. Z przyjemnością oko spoczywa na tych formach.

Lecz barokizm, ten niańczony w Gdańsku, nierzadko nam sprawia tego rodzaju zadowolenie. Zaledwo opuściliśmy *votum* z Rokitna, aż tu wzrok nasz zatrzymuje się na *tabernaculum* hebanowém, ubranéın suto srebrnemi ornamentami, oraz postaciami aniołków i figur świętych. Jestto kompozycya nader bogata w szczegóły architektoniczne i dekoracyjne, powiédzmy nawet, wykwintna i harmonijna w całości. Każda forma ma tutaj konstrukcyjno-estetyczne uzasadnienie, jak to bywa w najpiękniejszéj dobie włoskiego renesansu. I to zabytek gdański wysokiéj wartości artystycznéj, będący ozdobą wystawy i kościoła pp. Wizytek warszawskich, tak nielitościwie zwandalizowanego przez antykwaryuszów warszawskich. Dobrze przynajmniéj, że on i dwa jeszcze *tabernacula* ostały się tam do téj pory, gdy kosztowne makaty

i inne przedmioty wydarły się po za mury klasztoru i świątyni. Szafa (Nr. 197) z zakrystyi kościoła Św. Anny pobernadyńskiego w Warszawie, roboty zakonnika Paschalisa Scholtza z 1722 r. z inkrustowanemi z drzewa figurami świętych i emblematami religijnemi, nie posiada już tego spokoju form i linii, jaki widzieliśmy na zabytkach gdańskich, albowiem tak w niéj jak innych urządzeniach zakrystyjnych owéj świątyni panuje charakter artystyczny *roccoco* i lekki odcień kształtów arabeskowych włoskiego barokizmu. Zabytek to bardzo przedni sztuki kościelnéj, szkoda tylko, że trochę niedbale restaurowany.

Być może, iż barokizm francuski, znany pod nazwą stylów Ludwika XIV, Ludwika XV (*rococo*) i Ludwika XVI, jest bardzo grymaśny i kokietujący, daleki od klasycznego spokoju i harmonijnéj rytmiki renesansu; z tém wszystkiém ma on wiele uroku i samodzielnego estetycznego wdzięku. Oparł on się wprawdzie w rozwoju swoim na motywach klasyczno-renesansowych, ale je przekształcił do tego stopnia, że trudno w nim doszukać się logiki pierwowzorów. On ma własną logikę i własny indywidualizm często napuszysty, obliczony na efekta sceniczne. Bądź co bądź, jak mówiliśmy, rozkapryszone formy barokizmu odznaczają się miękkością i wdziękiem właściwym salonowo-buduarowym urządzeniom mieszkań. Powiedzmy, że *rococo*, wraz z pokrewnemi formami, jest stylem salonów, jak renesans pałaców a ostrołuk zamczysk i katedr niebotycznych. Dla uzasadnienia tego twierdzenia spojrzmy na grupę mebli i sprzętów salonowych niegdyś królowéj Maryi Kazimiery, a obecnie będących własnością hr. Augustowéj Potockiéj w Wilanowie. Są to zabytki wyłącznie (Nr. 660 — 1 do 17) w stylu Ludwika XIV sporządzone, obijane gobelinami. Więc nogi foteli, kanapy i całe sprzęty powyginane w esowate kształty i obsypane rzeźbioną ornamentyką, również rozkapryszoną, jak ich pierwotna właścicielka. Owe ornamenta i formy napozór nielogiczne, po bliższém zbadaniu ujawniają konsekwencyą i prawa konstrukcyjne, uplastycznione artystycznie. Zwoje upudrowanéj peruki, linia muszlowa nie mogły znaleźć idealniejszego wyrazu nad ten, spotykany w zabytkach stylu Ludwika XIV-go i Ludwika XV-go. Jestto *sui generis* romantyzm, różniący się od średniowiecznego i tém, że natchnienia nie w mistycyzmie szukał, ale w życiu miękkiém, eleganckiém i rozgrymaszoném z końca XVII-go i w początkach XVIII-go stulecia. Taka np. konew duża srebrna (nr. 11) ordynacyi hr. Krasińskich, literalnie zasypana bogactwem ornamentyki i kompozycyą, przedstawiająca „obraz szczęśliwości arkadyjskiéj“, jest uosobieniem rozkwitłego barokizmu.

A podobnych zabytków pod względem charakteru stylowego wy-

stawa setki całe ukazuje. Dwa dzbany pękate wyobrażające popiersia pary mieszczańskiéj, puhary w rodzaju okrętów i łódek, roztruchany połykające garnce wina, dziwaczne wyszukanych kształtów kielichy, tace, drobiazgi toaletowe, sprzęty i sprzęciki domowe, zegary, szkatułki i t. p. przedmioty ze srebra i złota zgromadzone tutaj zostały w takiéj liczbie i doborze, że chcąc o najważniejszych jakieś słówko powiedzieć, przeszlibyśmy kolosalnie granice krótkiego sprawozdania. Jestto przedmiot wielce zasobny do bogatych bardzo studyów artystycznych i obyczajowych, które uczynimy na inném miejscu, spiesząc tymczasem do potrącenia bodaj o szeregi rozlicznych zabytków, jakie stoją przed nami. Tutaj nadmieniamy jedynie, że w rzędzie owych cacek galanteryjnych, klejnocików i zastaw stołowych, oprócz niemieckich, znajdujemy siła wyrobów krakowskich, poznańskich, gdańskich, królewieckich, toruńskich, a nawet i litewskich, że wspomnimy ową tacę srebrną rokokową, wykutą niezgrabnie w Kopylu. Z wyjątkiem tego zabytku, wszystkie inne, wykonane w miastach naszych, nie ustępują wcale pod względem zalet artystycznych sławnym wyrobom złotniczym Augsburga lub Norymbergi. Nie ma w nich oryginalnych motywów polskich, ale téż nie ma i niedostatków żadnych— naśladownictwo nasze nie ustępuje pierwowzorom niemieckim, co dowodzi, że mieliśmy w przeszłości dobrych rzemieślników w zakresie sztuki stosowanéj. Zwłaszcza możemy to powiedzieć z myślą o XVI, XVII i początkach XVIII-go wieku, kiedy jeszcze moda francuska nie była wszechwładną panią domowych ognisk, a poniekąd i świątyń.

Jestem pewny, że z całego zastępu mebli w stylu *rococo* i Ludwika XVI-go nie wybralibyśmy ani jednego okazu dawnego, któryby się pochlubił miejscowém urodzeniem. Tak owe meble i bronzy z pałaców królewskich w Warszawie po Sasach i Stanisławie Auguście, jak i sprzęty ks. Radziwiłła z Nieborowa, że nie wspomnimy innych obfitości, są po największéj części cackami meblowemi, pochodzącemi z Francyi, Włoch i Niemiec. Miasta nasze w XVIII-ym wieku upadły strasznie, rzemieślnik zmarniał, a panowie i w ogóle świat modny szukali swoich zadowoleń artystycznych wyłącznie po za granicami kraju. Więc choć piękne, bardzo nawet piękne owe zastępy bronzowych zegarów, kandelabrów i mebli z drugiéj połowy zeszłego wieku, a nawet i z epoki cesarstwa, nierównie więcéj obudzają w nas interesu niepokaźne tkaniny słuckie, kobyłkowskie, krakowskie i inne, które w postaci pasów, znanych dobrze z tradycyi, odzywają się do nas. Pasy słuckie rej tutaj wiodą, choć doprawdy nie przewyższają w niczém współbraci innych fabryk, mniéj głośnych pomiędzy nami. Do niedawna było w kraju tych zabytków bardzo wiele, lecz obecnie liczba

ich stopniała prawdopodobnie pod wpływem agentów antykwarskich zagranicy, gęsto uwijających się po kraju. Bezwątpienia tkaniny ówczesne francuskie, włoskie i niemieckie są gustowniejsze, pozbawione jednak zostały téj oryginalności wzorów i motywów, jaką widzimy w pasach polskich. Nie znajdziesz w nich nic takiego, coby aż przypominało rokokowe szlaki linii artystycznéj, częstokroć do szablonu schodzącéj; przeciwnie, wieje z nich świat inny, zalatujący od muzułmańskiego wschodu i naszych niw rodzinnych.

Mażarski, wprowadzając do radziwiłłowskiego Słucka fabrykę tkanin i pasów wzorowanych na tkaninach perskich, ani pewno przypuszczał, że to jego dziecko z biegiem czasu przyodzieje się w szaty z kwiatów rodzinnéj niwy dziergane. A jednakże tak się stało. Wzory perskie i tureckie, użyte do pasów słuckich, kobyłeckich, lipkowskich, gdańskich, krakowskich i t. d., przekształcone znakomicie zostały wplotem naszych kwiatów polnych. Niejeden bukiet na końcach pasa wygląda jak świeżo zerwany i przeniesiony tutaj ręką dziewoi wiejskiéj. W ogóle w roślinnych motywach ornamentacyjnych pasów polskich uwydatnia się kierunek naturalistyczny, — o stylizowaniu głucho tu całkiem. Z tych właśnie przyczyn ani pasów, ani małéj liczby makat i szpalerów naszych warsztatów słuckich, nie może pominąć żaden badacz polskiéj przeszłości artystycznéj, albowiem znajdzie w nich wiele pierwiastków rodzimych, mogących z czasem zająć to stanowisko w plastyce ornamentacyjnéj, jakie zdobyła pieśń gminna w utworach Szopena i Moniuszki, a poezya ludowa w nieśmiertelnych dziełach Mickiewicza.

Na wystawie widzimy sporo zabytków polskiego tkactwa z zakresu pasów litych, a nawet wyrobów jedwabnych, pochodzących z fabryk grodzieńskich, zaszczepianych w Polsce na wzór francuski przez Tyzenhauza.

Bierze nas wielka ochota do głębszego rozejrzenia się w gobelinach i makatach, których wystawa zgromadziła ładny poczet, bądź jako dywanów i szpalerów, bądź w postaci ornatów i okryć na meble; lecz i tutaj pióru nie możemy dać folgi, bo w takim razie dopominałaby się głośno szerszego uwzględnienia ogromna czereda okazów ceramicznych, co w postaci waz, talerzy, filiżanek, bombonierek, kandelabrów, figur, grup całych, koszyków, kwiatów i t. p. mizdrzy się do nas, zachwalając swoje malowidła i marki wiedeńskie, saskie, sewrskie, chińskie, angielskie, czeskie, berlińskie, polskie i wiele innych. Rzeczywiście, wiek XVIII-ty wysilał się w Europie na stworzenie piękněj porcelany, zawsze nadzwyczaj wrażliwéj na kierunki linii stylowych i pa-

nujących prądów w sztuce. Jak w gobelinach, tak i w tych gracikach spotkasz się ze wszystkiemi znamionami i finezyą artystyczną tamtych czasów. Gdy w porcelanie przedniéj saskiéj styl *rococo* i *zopf* rej wiodą, to w wiedeńskiéj przeważają formy o reminiscencyach klasycznych.

Nasza porcelana korecka, ćmielowska i t. d. z Baranówki, jaką widzimy na wystawie, naśladuje najwięcéj francuską i saską ceramikę. Znamy okazy koreckie w zbiorach hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego we Lwowie, malowane obrazowo, mało co ustępujące zagranicznym, z przyjemnością zdobiącym się obrazami, czerpanemi z mytów i sielanek rokokowego świata.

Do rzędu najprzedniejszych okazów wystawowych bez zaprzeczenia należy dwanaście talerzy emaliowanych, z wyobrażeniem zajęć w ciągu miesięcy trwających, jak np. polowanie, strzyżenie owiec, żniwo, winobranie, grzybobranie i t. p. Na tyłach talerzy popiersia monarchów z XVI-go wieku. Jest to emalia limuzyńska (*Limoges*) z epoki naszych Zygmuntów, wykonana pysznie. Oprócz tych zabytków (Nr. 1354), będących własnością zbiorów wilanowskich, zasługują na uwagę: „Matka Boska“ i „Święta Rodzina“ również limuzyńskie emalie p. E. Blochowej (Nr. 1352 i 3); „Gra w karty,“ obrazek emaliowany berliński z XVIII-go w., własność ks. Michała Radziwiłła.

Mamy na wystawie i szkła stołowe pyszne, rznięte artystycznie, i majoliki ciekawe i fajansów wiele wykwintnych, lecz krótkie sprawozdanie nie pozwala na ich przegląd bliższy. Jedynie zwracamy uwagę na parę okazów tego działu, jako na wytwory naszego artystycznego przemysłu. Więc kufel fajansowy gdański (Nr. 1427), własność p. M. Bersohna, — dwa wazony i kilka talerzy (Nr. 1428) z fajansarni warszawskiéj, otwartéj przez Stanisława Augusta, wyróżniamy na tém miejscu jako rzadkie zabytki. Ostatnie są własnością p. M. Urbańskiego, który znaczną kolekcyą wzbogacił wystawę, podobnie jak: M. Berson, Kolasiński, Strzałeccy, Radziwiłł, Zawiszyna, L. Krasiński, Sulatycka, Meyet, Bloch, Przezdziecki, Aug. Potocka, Epstein, Laska, Gebethner, Stępiński, Trembicki, Lesser, Wrotnowski, Branicka i wielu innych, których nazwisk nie podobna wszystkich wyliczać na tém miejscu.

Nadmieniwszy wreszcie o egzystencyi na wystawie około 150 miniatur, często wysokiéj artystycznéj wartości, zebranych przeważnie przez ks. M. Radziwiłła, Maryę hr. Zawiszynę i A. Rosena,—zamykamy tém przelotny przegląd wystawy starożytności, któréj perłą estetyczną jest niezawodnie marmurowy biust mytycznéj

Niobe, prawdopodobnie dzieło wielkiego Skopasa albo Praxitelesa owych nieśmiertelnych potentatów rzeźby helleńskiéj. Ks. M. Radziwiłł może się szczycić posiadaniem tego pomnika sztuki.

Pozostawałby nam jeszcze do przejrzenia dział wytworów współczesnéj sztuki stosowanéj do rzemiosł, przedstawiający z górą 200 okazów, odkładamy to jednak do innéj sposobności, w któréj pomówimy specyalnie o współczesnych usiłowaniach, podejmowanych na różnych punktach kraju celem rozbudzenia artystycznego przemysłu. Za poważna to praca, by ją pozbywać lekkiemi dotknięciami pióra.

F. K. Martynowski.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

I.

Istota światła.—Co to jest elektryczność?--Poglądy Faradaya.—Teorya Maxwella.—Doświadczenia Hertza nad elektrycznością. — Identyczność światła i elektryczności. — Kilka słów o eterze wszechświatowym. — Fonograf Edisona i grafofon Taintera.

Jeśli mniéj więcéj półtora wieku temu Newton miał prawo wyrzec: „*Nihil obscurius luce*“ — „nic ciemniejszego nad światło“, — to ze stokroć większém prawem wyrzeczenie to mógłby odnieść fizyk bieżącego stulecia do innéj siły przyrody, mianowicie do elektryczności. Pozorny paradoks newtonowski zbladł w blasku, jaki rzuciła genialnie pomyślana i w najdrobniejszych szczegółach mistrzowsko wykończona teorya undulacyjna światła. Teorya ta należy dziś w nauce do rzędu prawie najpozytywniejszych faktów. Kto dziś nie wierzy w to, że światło jest zjawiskiem ruchu niezmiernie delikatnéj materyi — eteru, że w ruchu tym cząstki eteru drgają podobnie, jak cząstki wody, gdy na powierzchnią téjże rzucimy przedmiot jaki, że fale eteru przenoszące się w przestrzeni ze skończoną, dobrze nam znaną prędkością, bywają rozmaitéj długości, że od długości téj zależy rodzaj wrażenia barwnego, jakie odbieramy wówczas, gdy fale eteru oka naszego dosięgają, — kto, powtarzam, obecnie w to wszystko nie wierzy, dla tego wszechświat stanowi zamkniętą księgę, któréj treści w żaden sposób przeniknąć nie można. A wierzyć dziś w twierdzenia powyższe, dotyczące zjawisk świetlnych, bynajmniéj nie tak trudno. Możnaby nie zadawalniać się jedynie teoretycznem wyjaśnieniem ruchów falistych Huyghensa, lecz trudno oprzéć się przekonywającym w téj mierze dowodom, złożonym, w genialnych doświadczeniach Younga, Fresnela i innych.

„Mówiąc po ludzku, teorya falista światła jest pewnikiem; ró-

wnież pewnikiem jest to wszystko, co z teoryi téj z konieczności wypływa“. Wobec tego fizyk współczesny wierzy niezachwianie, że wszelka przestrzeń, dostępna dla naszych badań, nie jest próżna, lecz jest wypełniona materyą, zdolną do falowania, t. zw. eterem. Nie ma ani jednego spostrzeżenia, ani jednego doświadczenia, któreby poglądom powyższym przeczyło. Utrwalenie przy pomocy doświadczeń w nauce teoryi undulacyjnéj (wibracyjnéj) światła po wszystkie czasy należéć będzie do szeregu największych tryumfów umysłu ludzkiego.

Poglądy powyższe przeszły w krew i kości nietylko przyrodników, lecz stały się ogólném dobrem ludzi ukształconych. Każdy uczący się choćby tylko zasad fizyki koniecznie z twierdzeniami temi zapoznać się musi. Jeśli więc na tém miejscu przypominam to czytelnikowi, czynię to jedynie w celu powołania się na powyższe zdania w dalszym ciągu.

Wibracyjna teorya światła wyparła z nauki inną teoryą (Newtona), t. zw. emisyjną, według któréj światło miało być materyą, przenoszącą się od ciał świecących w przestrzeń, materyą nieważką, podobną do téj materyi, jakiéj istnienie obmyślili dawniejsi fizycy dla objaśnienia zjawisk ciepła. Nazywano „cieplikiem“ tę substancyą, która, przenosząc się z ciała cieplejszego do zimniejszego, ogrzewała to ostatnie, „świetlikiem“ zaś tę substancyą, która do oka naszego dochodząc, powodowała, iż ciało, ów świetlik wysyłające, widzimy. W istnienie świetlika i cieplika dziś nikt nie wierzy. Zjawiska ciepła i światła objaśniamy ruchem najdrobniejszych cząstek znanéj nam bliżéj ważkiéj materyi i ruchem owego, wszechświat wypełniającego eteru.

Gdy poglądy dotyczące natury ciepła i światła najzupełniéj już uzyskały prawo obywatelstwa w nauce, nieprzejrzyjsta prawie ciemność zalegała jeszcze w dziedzinie zjawisk innych, zjawisk, które od samego początku ich poznawania grubą okryte były zasłoną tajemniczości. Mam tu na myśli zjawiska elektryczne. Czém jest elektryczność? Na pytanie to najrozmaiciéj odpowiadano, lecz w odpowiedziach tych nigdy nie umiano odłączyć substancyi od siły. O tém, że istnieje pewien płyn elektryczny, a nawet dwa biegunowo różne płyny, przenikające ciała przyrody, że płyny te w odpowiednich warunkach z jednego ciała na drugie przenosić się mogą, mówiono wprawdzie jedynie w tym celu, ażeby samo zjawisko elektryczności ująć niejako w dostępną dla umysłu formę; lecz niemniéj pogląd ten starczyć musiał przez czas bardzo długi za wszystko, co o istocie elektryczności było wiadome. A pogląd taki nie zadawalniał niektórych umysłów już na początku obecnego stulecia. Najsilniéj wystąpił przeciw niemu „umysł

wielkiéj świeżości, nieuprzedzony, który za punkt wyścia przy badaniu zjawisk brał nie to, o czém słyszał, czego się uczył, lub o czém czytał, lecz to, co widział". Umysłem tym był Faraday. Słyszał wprawdzie Faraday o tém, że elektryzując ciało, wnosimy weń coś, lecz widział, że następujące wskutek tego zmiany, dają się spostrzedz tylko na zewnątrz, bynajmniéj nie we wnętrzu ciała. Uczono wprawdzie Faradaya, iż siły wprost przeszkakują w przestrzeni, lecz widział on, że na siły te znaczący wpływ wywiera ta materya, którą przebyta przez nie przestrzeń jest wypełniona. Czytał wprawdzie Faraday, że z pewnością istnieją elektryczności-materye, a jednakże widział on tylko jawne działania sił, samych zaś elektryczności nigdzie dostrzedz nie był w stanie.

Tak więc w umyśle Faradaya pomieścić się nie mógł pogląd na elektryczność jako materyą; dla niego istniały siły elektryczne, pewne ruchy, widoczne i bez udziału zwykłéj ważkiéj materyi. Lecz w jaki sposób siły te udzielają się w przestrzeni? Toż musi istnieć jakiś substrat, coś, coby siły elektryczne przenosiło z miejsca na miejsce. Tu wystarczyło przypomnieć sobie zjawisko światła i rolę spełnianą w przyrodzie przez eter. Eter drga i faluje, powodując wrażenia światła i ciepła promienistego. Czyżby ten sam eter nie mógł również powodować i zjawisk elektryczności?

Faraday nie rozwiązał powyższych kwestyi i sprawa pozostała przez dłuższy czas w zawieszeniu. Dopiéro pojawienie się innego angielskiego uczonego, Maxwella, pozwoliło postawić tu znaczący krok naprzód. Praca Maxwella ogłoszona w roku 1865, znana jest w nauce pod nazwą elektromagnetycznéj teoryi światła. Jest to praca dla ogółu ludzi interesujących się badaniami przyrodniczemi nieprzystępna, na wskroś przeniknięta rozumowaniami matematycznemi. A przecież zajmuje ona w historyi wiedzy jedno z najpoczcesniejszych miejsc. Ucieleśnia ona poglądy Faradayowskie, dotyczące istoty elektryczności i ukazuje możliwość bezpośredniego przekonania się o prawdziwości tych poglądów.

Jednėm z najważniejszych zadań, które wykonać należało, aby dla teoryi Faradaya uzyskać trwałą podwalinę, było przekonanie się, czy zjawiska elektryczne, przenosząc się z miejsca na miejsce, używają na to czasu, i wrazie jeśliby odpowiedź na to twierdząco wypadła, określić tę prędkość. Rozumowania teoretyczne Maxwella tak były szczęśliwe, iż wypadało z nich jasno, że prędkość, z jaką przenosi się światło, stanowi wartość niezmiernie zbliżoną do téj, jaką otrzymujemy, gdy zjawiska elektryczne poczytujemy za analogiczne ze zjawiskami świetlnemi. W ten sposób udało się Maxwellowi we wzorach matema-

tycznych, które ilustrowały badane przez niego zjawiska, dojrzéć coś, co najwyraźniéj przemawiało za możliwością istnienia ruchów elektrycznych falistych, podobnych do ruchów falistych świetlnych.

Nieprzystępność téj teoryi stała na przeszkodzie do pozyskania jéj dostatecznego zastępu wyznawców, a nieprzystępność ta tak jest wielka, iż pomimo ćwierci wieku, jaka od ogłoszenia teoryi upłynęła, dziś jeszcze teorya ta bardzo mało jest spopularyzowana. Jak każda zresztą teorya, tak i teorya elektromagnetyczna światła musiała cierpliwie wyczekiwać chwili ostatecznéj aprobaty aż do czasu, gdy założenia jéj i wnioski zostaną przez doświadczenia sprawdzone. A do doświadczeń tych zabierano się bardzo powoli; przedstawiały one niezmierne trudności. Jakkolwiek więc nic przeciw saméj teoryi nie przemawiało, jednakże doświadczenia z początku ograniczały się do pojedyńczych tylko jéj twierdzeń. Sam jéj rdzeń został dotknięty dopiéro w czasach najostatniejszych. Doświadczeniami odnośnemi zajął się przed czasem niedawnym obecny profesor fizyki uniwersytetu w Bonn, były asystent słynnego Helmholtza, Henryk Hertz. Z doświadczeń Hertza poglądy Faraday'a i teorya Maxwell'a wyszły najzupełniéj zwycięsko, a doba obecna z tego powodu należéć będzie w dziejach fizyki do najświetniejszych. Prace Hertza zamykają okres sporów i wątpliwości w kwestyach dotyczących istoty elektryczności i zamykają w duchu najzupełniéj zgodnym z panującemi obecnie poglądami wiedzy. Pośrednio doświadczenia te przyczyniają się do utrwalenia w nas przekonania, iż nauka kroczy obecnie po drodze pewnéj, na któréj dokładnie rozeznać i odróżnić można prawdę od błędu.

„Czyż rzeczywiście—zapytuje Hertz — tak trudno było dowieść, że siła elektryczna wymaga czasu do swego przenoszenia się? Czy nie można było wyładować butelki lejdejskiéj i bezpośrednio obserwować, kiedy następuje drganie odległego elektroskopu — jednocześnie z wyładowaniem, czy nieco późniéj? Czy w tym samym celu nie wystarczyłoby spoglądanie na igłę magnetyczną, podczas gdy na pewnéj odległości nagle zostaje wzbudzony elektromagnes?“ Doświadczenia podobne były rzeczywiście oddawna już wykonywane, lecz zawsze drganie elektroskopu lub ruch igły magnetycznéj spostrzegano jednocześnie z wyładowaniem elektryczności. Czyż należało z tego wnosić, że zjawiska te w rzeczywistości ściśle współcześnie się odbywają? Nie koniecznie. Pozostawało zawsze jeszcze przypuszczenie, że prędkość, z jaką siły elektryczne i magnetyczne się przenoszą, jest tak wielką, że różnicy w czasie pomiędzy przyczyną a skutkiem na miernych odległościach uchwycić nie można. To właśnie przypuszczenie kierowało Hertzem

w obmyślaniu sposobu doświadczenia i pokonywaniu olbrzymich trudności technicznych, jakie doświadczenia jego nastręczały.

Jest rzeczą niemożliwą—i zbyteczną zresztą—przedstawić tutaj szczegóły doświadczeń przez Hertza wykonywanych. Pouczającém wszakże być może bliższe zrozumienie zasady, na jakiéj doświadczenia te się opierają. Hertz, rzecznik gorący teoryi Maxwell'a i wyznawca najostatniejszych jéj wniosków, stara się dowieść, że istota elektryczności polega na ruchu podobnym do tego, który powoduje zjawiska światła. Ruch to ma być falisty, podobny więc poniekąd do ruchu cząsteczek ciał sprężystych, wówczas gdy ciała te przenoszą dźwięk. Wszak i powietrze faluje, peryodycznie zagęszcza się i rozrzedza wskutek drgań ciała elastycznego, i w ten sposób do ucha naszego drgania te przewodząc, daje wrażenia dźwięku. Jak każdy ruch, tak i ruch powietrza potrzebuje czasu na przenoszenie się z miejsca na miejsce. Jakże dowiedziemy tego? Oto w następujący, bardzo prosty sposób. Postawimy kamerton, wydający określony ton, w jakiemkolwiek miejscu w pokoju i za pomocą odpowiednich rezonatorów w rozmaitych miejscach dźwiękowi temu przysłuchiwać się będziemy. Nie wszędzie z tą samą siłą ton dochodzić nas będzie. Pochodzi to stąd, iż drgania kamertonu rozchodzą się na wszystkie strony i do danego miejsca jedno drganie przychodzi szybciéj niż inne, które późniéj z kamertonu wybiegło. Drgania te rozmacie długiemi drogami przybywają do danego miejsca. Fale jednakowe, spotykając się ze sobą, mogą się wzmacniać i mogą osłabiać wzajemnie. Stąd różna siła tonu w rozmaitych miejscach pokoju. Krótsza droga — widzimy z tego — przebytą zostaje w krótszym czasie, niż dłuższa. A więc przenoszenie się drgań wymaga czasu. Możemy daléj dowieść jeszcze, że miejsca, w których fale dźwiękowe zupełnie się znoszą, a więc, gdzie zupełnie tonu nie slyszymy, znajdują się w peryodycznych od siebie odległościach. Fale więc dźwiękowe, wnosimy z tego, mają pewne określone wymiary, — możemy je mierzyć. W zasadzie zupełnie tak samo można dowieść falistości drgań owego wszechświatowego eteru, które wywołują wrażenia światła. I otóż, w sposób znów analogiczny starał się Hertz dowieść falistości drgań, wywołanych przez siły elektryczne.

I udało mu się to w zupełności. Doświadczenia jego przekonywają w sposób dosadny, że podścieliskiem materyalném sił elekrycznych jest ten sam eter, który drgając daje zjawiska światła. Niedość tego. Eter ten drga w zupełnie taki sam sposób niezależnie od tego, czy przewodzi światło, czy elektryczność; mianowicie drga w kierunku poprzecznym do kierunku promienia. Mamy zatém promienie elektryczne, podobnie jak mamy promienie światła i ciepła. I promienie te

elektryczne niczém istotnie od promieni świetlnych się nie różnią. Zupełnie tak samo jak promienie światła i według doskonale tych samych praw odbijają się one, załamują, skupiają i rozszczepiają. A więc jakościowo niczém się one od promieni światła i ciepła nie różnią. Prędkość, z jaką elektryczne promienie w przestrzeni się rozchodzą, równa się dokładnie prędkości światła. Rzeczywista przeto identyczność pomiędzy światłem i elektrycznością została dowiedzioną. Gdy wszakże fale świetlne i cieplne niezmiernie są krótkie, mierzą drobne bardzo ułamki milimetra, nowo odkryte fale elektryczne posiadają większą znacznie długość, wynoszącą decymetry, metry i kilometry.

Jedność zjawisk przyrody występuje z tych doświadczeń w niezmiernie jasném świetle. Ciepło promieniste, światło, elektryczność— są to, jak widzimy, w istocie rzeczy jedne i te same objawy ruchu wszechświatowego eteru; jedynie długość fal w eterze wzbudzanych działa rozmaicie na nasz organizm, a w umyśle wywołuje rozmaite wrażenia.

Badaniami powyższemi, wykonywanemi w ciągu dwóch lat ostatnich i zakończonemi przed kilku zaledwie miesiącami, Hertz zyskał najpochlebniejsze uznanie świata naukowego. Ze wszech stron téż słychać na cześć jego wygłaszane hymny pochwalne. Śmiało powiedzieć można, że jeśli zasługi Faraday'a i Maxwell'a w dziedzinie elektryczności odpowiadają zasługom Huyghensa w optyce, to doświadczenia Hertza postawić należy w jednym szeregu z wiekopomnemi doświadczeniami Younga i Fresnela.

Dziś trudno całkowicie przesądzać, co za dalsze odkrycia pociągną za sobą badania powyższe. Ze zlania się takiego zjawisk świetlnych i elektrycznych wynika w téj chwili pogląd na naturę zjawisk, pozwalający zjawiska te głębiéj i rozleglej badać. „Dostrzegamy elektryczność—powiada Hertz — w tysiącu miejsc, w których dotychczas o jéj obecności nie wiedzieliśmy nic pewnego. W każdym płomieniu, w każdym świecącym atomie dostrzegamy proces elektryczny.“ I my w organizmie naszym mamy organ elektryczny—oko. Usuńmy ze świata elektryczność, a wraz z nią zniknie téż światło; usuńmy ze świata eter świetlny, a wówczas i siły elektryczne i magnetyczne nie będą mogły przenosić się w przestrzeni.

Mimowoli wszakże nawija się nam tu pytanie inne, pytanie dotyczące nietylko poznanych już własności eteru, lecz w ogóle istoty téj zagadkowéj bądź co bądź materyi, któréj fizyka współczesna wyrzec się nie może, któréj istnienie koniecznie przyjąć musi, jeśli nie chce okazać zupełnéj swéj niemocy w objaśnianiu zjawisk przyrody. Pytanie téż to nie od dziś zajmuje największych myślicieli. Wypowiadano

w tym względzie nie jeden już domysł, nie jedno przypuszczenie, które wszakże w nauce nie zupełnie się jeszcze przyjęły. Z logicznego biegu rozwoju nauki wnosić trzeba, że właśnie obecnie nastąpił czas, kiedy te kwestye wtrącone być powinny w zakres najważniejszych badań fizycznych. Wiążą się one zapewne najściśléj z kwestyami, dotyczącemi budowy znanéj nam ważkiéj materyi, a na rozwiązanie ich cierpliwie z najpiękniejszemi na przyszłość nadziejami czekać wypada.

My zaś, pozostawiając w téj chwili kwestye te na uboczu, przyjrzyjmy się temu, co w ostatnich czasach na inném polu dokonane zostało, na polu najwspanialszych zastosowań technicznych nauki. Przyjrzéć się temu wypada już choćby tylko z tego powodu, że dla wielu bardzo ludzi miarą rozwoju nauki jest jedynie postęp w kierunku wyzyskania jéj bezpośredniego w celach technicznych. Miara ta nie zawsze jest niezawodną. Spożytkowanie bezpośrednie nauki dla celów przemysłu i wygody ludzkiéj nie jest bynajmniéj jéj kwintesencyą. Pożyteczném wszakże i pouczającém jest wskazywanie i tego celu, zwłaszcza gdy w dziedzinie téj pojawia się fakt wyrastający nad zwykłą miarę.

Faktem takim z doby ostatniéj jest bezwątpienia udoskonalenie fonografu Edisona.

Sama myśl przejmowania i utrwalania w celu reprodukcyi głosu nie jest nową. W 1857 roku już Leon Scott obmyślił i wykonał przyrządzik, nazwany fonoautografem, który wszakże istotnie od obecnego fonografu się różnił. Fonoautograf w mechanizmie swym był naśladownictwem tylko ucha ludzkiego, a więc sztuczném uchem, przeznaczoném do zbierania dźwięków, i szematycznie niejako tylko odtwarzał drgania błony bębenkowéj i kosteczek słuchowych. W dwadzieścia dopiéro lat późniéj, w końcu r. 1877, słynny już wówczas Edison pokazał światu przyrząd pomysłu swego, prawdziwy fonograf, w formie wszakże bardzo jeszcze niedoskonałéj. Zasadę 'dla pomysłu swego zaczerpnął Edison z wspaniałego odkrycia Grahama Bella. W rzeczywistości bowiem, skoro błona telefonu drga pod wpływem dźwięków i to w ten sposób, że drgania te zostają odtworzone a dźwięk w ten sposób się przenosi, to należałoby tylko umiéć utrwalić w jaki sposób, zapisać niejako, owe drgania, by zachować obraz ich graficzny i w danym wypadku odczytać—a zagadka fonografu teoretycznie byłaby rozwiązana. Bo, przypuśćmy, że zapisane te drgania zostałyby odpowiednio wykonywane przez błonę podobną do téj, która pierwotnie bezpośrednio pod wpływem dźwięku drgała, a wówczas dźwięk téż w postaci swéj pierwotnéj musiałby być słyszany.

Pierwsze z przed dziesięciu lat egzemplarze fonografu nie mogły

zadowolnić najmniéj nawet wybrednych wymagań, jakkolwiek niewątpliwie dowiodły możliwości zbudowania odpowiednich celowi przyrządów. Sam Edison po pierwszych próbach nie wierzył w to, iż uda mu się fonograf udoskonalić; oto co pisał on wówczas: „Przyrząd ten waży 50 kilogramów, jest drogi, mogą się nim posługiwać jedynie tylko osoby eksperymentujące; ślad rylca stalowego nie pozostaje długo na blaszće cynowéj. Wątpię, czy mi się uda widzieć kiedykolwiek prawdziwy fonograf, zdolny do odtwarzania wszelkiéj mowy w sposób zrozumiały; to téż sądzę, iż lepiéj będzie, jeśli poświęcę się światłu elektrycznemu, pozostawiając następnemu pokoleniu trud udoskonalenia fonografu“. Stało się jednak inaczéj niż przewidywał mistrz techniki współczesnéj. Sam on w ciągu krótkiego czasu, bo niespełna dwu lat ostatnich, tyle przezwyciężył trudności technicznych, jakie na drodze stały do udoskonalenia fonografu, że dziś przyrząd ten wszystkich, którzy mieli go sposobność słyszéć, w prawdziwy zachwyt wprowadza.

Obok nazwiska Edisona jednak ogólnie zapominanym bywa inny elektrotechnik amerykański, któremu w sprawie téj prawdziwa i bardzo znaczna zasługa w udziale przypada. Jest nim p. Tainter, który istotne wprowadził ulepszenie do budowy fonografu, zastępując dawniejsze niedogodne blaszki cynowe warstwą, składającą się z mieszaniny wosku i parafiny i powlekającą mały walec, zwany fonogramem. Fonogram zaś jest naistotniejszą częścią składową fonografu.

W zasadzie mechanizm fonografu bardzo jest prosty. Dźwięk głosu ludzkiego, instrumentu muzycznego, a nawet mieszane dźwięki wielu głosów, całéj orkiestry, wywołują drgania błony, do któréj przymocowany jest rylec, ostrym swym końcem dotykający małego walca obracającego się równomiernym ruchem. Na miękkiéj warstwie wosku i parafiny pokrywającéj walec, ostry koniec rylca pozostawia ślady, liczny szereg zagłębień najrozmaitszéj formy, zależnéj od wysokości tonu, jego natężenia i charakteru właściwego rozmaitym instrumentom i rozmaitym głosom ludzkim. Wyobraźmy sobie, że wzdłuż utworzonych w ten sposób na fonogramie śladów, znów porusza się ostry koniec rylca, zagłębiając się, to znów podnosząc; oczywiście wykonywać on będzie musiał zupełnie te same ruchy co i rylec, pierwotny, który ślady na walcu znaczył. Drugim końcem swym rylec, powtarzający ruchy, przymocowany jest również do błony, która zatém jednocześnie z nim drgania analogiczne z drganiami pierwszéj błony wykonywa. W ten więc sposób dźwięk doskonale może być odtworzony.

Fonograf Edisona najzupełniéj jest podobny do przyrządu zbudowanego przez wspomnianego p. Taintera. Ten ostatni, t. zw. grafofon, istotnie od fonografu różni się tém tylko, że ruch walca w inny

sposób uskuteczniony w nim zostaje. Fonograf Edisona wprawiany jest w ruch przez elektryczność, podczas gdy w grafofonie dokonywa się tego w sposób prostszy za pomocą pedału, zupełnie podobnego do pedału w maszynach do szycia. Należy nie zapominać, że ruch walca koniecznie musi być doskonale równomierny; prędsze w danéj chwili lub wolniejsze przesuwanie się jego wpłynęłoby ujemnie na ścisłe odtworzenie w nim śladów rylca. To téż w grafofonie bardzo sprytnie urządzony jest przyrząd regulujący szybkość ruchu. Łatwo zrozumiéć, na czém budowa tego regulatora polega. Koło, wprawione w bieg przez pedał, przenosi ruch swój na krążek. Równolegle z tym krążkiem znajduje się krążek inny, który już ruch bezpośrednio na walec przenosi. Drugi z tych krążków połączony jest z regulatorem najzupełniéj podobnym do regulatorów kulkowych w maszynach parowych. Gdy krążek obraca się szybko, obiedwie kulki regulatora oddalają się od siebie, a wskutek tego połączenie samych krążków rozluźnia się. To utrudnia osiągniętą szybkość obrotu, walec bieg swój zwalnia. Ruch przeto nie może przejść po za określoną prędkość. Jakkolwiek stosowanie elektryczności do ruchu walca w wielu razach bardzo może być wygodne, nie wymaga bowiem posługiwania się nogą przy używaniu fonografów, to jednakże z drugiéj strony w fonografach baczyć trzeba na utrzymanie ogniw galwanicznych w dobrym stanie, grafofon zaś téj specyalnéj obsługi nie potrzebuje. W prywatnym użytku grafofon przeto zdaje się, może okazać się dogodniejszym.

Szereg niezmiernie delikatnych, bardzo drobnostkowych udoskonaleń, których opis szczegółowy w tém miejscu wydaje mi się zbytecznym, uczynił z pierwotnego fonografu edisonowskiego tak doskonały instrument, jakim obecnie w całym niemal świecie się zachwycają. Dźwięki wydawane przez fonograf zarówno jak i przez grafofon prawie zupełnie są czyste, przyrządy oddają nawet z wielką ścisłością właściwości charakterystyczne wszelkiego głosu, jego intonacyą i t. d. W Stanach Zjednoczonych posługiwanie się fonografem wchodzi powoli w ogólne użycie. Pan A zamiast pisać do pana B, w domu u siebie mówi w fonograf i przesyła panu B fonogram (walec długości około 10 centymetrów, a średnicy około 3—4 centym.); pan B umieszcza otrzymany fonogram w swoim przyrządzie fonograficznym i ze wszelkiemi szczegółami słyszy mowę pana A. Przesyłanie fonogramu jest bezwątpienia mniéj rzeczą dogodną niż przesyłanie listów, lecz o ileż większą wartość posiada fonogram, aniżeli list. Daléj, 3 minuty wystarczają na wypowiedzenie tego, czego napisanie wymaga około kwadransa. A wreszcie, pomińmy prywatne porozumiewanie się, a po-

myślmy, co za dogodność wypływa z używania fonografu na zebraniach publicznych, wykładach, przedstawieniach i t. d.

Dotychczas sposób prywatnego korzystania z fonografów natrafiać musi jeszcze na dużo formalnych trudności. Fonografy zresztą zbyt jeszcze są drogie, a Edison przyrzeka sobie niejedno jeszcze w nich udoskonalenie wprowadzić.

Zdarza się tak, iż w pierwszéj mojéj niniejszéj kronice wypadło mi poruszyć dwie niezmiernéj doniosłości sprawy: jeden z największych tryumfów ścisłéj wiedzy współczesnéj i jeden z największych tryumfów techniki. Fakty takie nie codziennie w nauce się powtarzają. By je wszakże dostatecznie ocenić i w zupełności zrozumieć, należy koniecznie nie tracić z oczu owego powolnego, a świadomego celu pochodu wiedzy, którego ślady jasno w życiu obecnych społeczeństw się rysują. I tym przeto mniejszym ogniwom w łańcuchu zdobyczy współczesnéj wiedzy zbliska przypatrywać się będziemy musieli.

Maksymilian Flaum.





PRZEGLĄD TEATRALNY.

Nowy rok dla sceny warszawskiéj rozpoczął się bez sztuki oryginalnéj w nowym repertuarze i bez Żółkowskiego w komedyi; możnaby z tych dwóch faktów, z których pierwszy był rzeczą przypadku, a drugi smutnéj konieczności, wysnuwać przepowiednie w duchu taniego pesymizmu pewnych recenzentów, twierdzących, że ze śmiercią „genialnego komika“ skończyło się z teatrem polskim i ze sztuką dramatyczną u nas najzupełniéj.

Powiadam: możnaby, ale przezorni dodają zaraz: nie należy; nie należy bowiem powiększać ciosu, jaki ugodził w scenę warszawską i przeceniać straty, którą sztuka przez ubytek jednego, co prawda, z najcelniejszych talentów aktorskich naszego wieku, poniosła; nie należy wyjątkowéj — nawet najbardziéj wyjątkowéj — jednostki identyfikować z instytucyą, która swéj żywotności i swego przeznaczenia nie streszcza w tym lub owym wielkim komiku lub tragiku; nie należy wreszcie samowolnie a nierozważnie zniechęcać publiczności do sceny tak gwałtownem obniżeniem opinii jéj artystycznego poziomu. I przy Żółkowskim, zwłaszcza w ostatnich czasach, repertuar rozwijał się głównie bez jego udziału w nowościach, a w tym repertuarze zachowywały się tylko sztucznie, tylko dla niego pewne komedye, podtrzymywane jedynie popisowemi jego rolami; obok nich wszelako przewinęło się przez scenę warszawską mnóstwo sztuk dobrych, które doznały zupełnego nawet powodzenia w obsadzie i grze innych artystów, i zadawalały tę samą krytykę, co w jeremiadzie nad śmiercią Żółkowskiego rozdarła szaty, wołając wielkim głosem: „skończyło się z teatrem warszawskim!...“

Nie, nie skończyło się jeszcze, jakkolwiek skończyło się czasowo „z komizmem w wielkim stylu,“ z koncertowemi popisami genialnego solisty, z tradycyą najświetniejszych lat téj wzorowéj niegdyś sceny,

która świeciła ongi całą plejadą pierwszorzędnych talentów w komedyi, dramacie i operze.

Ten brak pierwszorzędnych znakomitości nie jest objawem jedynie na scenie warszawskiéj widocznym; zagranicą również wiele scen bez wyjątkowych talentów obchodzić się musi, epoka „gwiazd“ wszędzie mniéj więcéj przeminęła lub mija, natomiast ideałem dobréj sceny staje się harmonijna całość, dopasowana nawet z najmniejszych zdolności i sił na wzór świetnéj w tym rodzaju trupy meiningeńskiéj pod kierunkiem p. Chronegka, którą przed laty mieliśmy sposobność podziwiać także w Warszawie. Przyznać trzeba, że reżyserya naszego dramatu skorzystała z tego wzoru i że dzisiaj z konieczności będzie musiała w tym kierunku zwrócić całe swe usiłowania, jeżeli zechce pokryć brak wyjątkowych jednostek w personelu i zainteresować zarówno publiczność, jak krytykę artystyczną stroną repertuaru.

Przy energii i doświadczeniu kierownika, a dobréj woli wszystkich artystów, zadanie to nie byłoby tak trudném; mieliśmy tego niejednokrotnie dowody, a świeżego dostarczyło wystawienie fantastycznego dramatu hr. Stanisława Rzewuskiego p. t. „Ostatni dzień Don Juana,“ który na przełomie starego i nowego roku ukazał się na scenie. Wyuczono się téj sztuki, wystawiono ją i grano z wielką starannością, z dobremi pomysłami reżyserskimi, z niemałym nakładem; — jeżeli mimo wszystkiego sztuka upadła, to winę tego upadku jedynie jéj saméj przypisać należy.

Pan Rzewuski jest autorem młodym, którego gorączkowa twórczość od samego początku miała w sobie coś chorobliwego; znać w niéj było pretensye wielkiego talentu przy zdolnościach temu nieodpowiednich, ryzykowne wysiłki do dopięcia za wysokich celów, pozowanie na oryginalność przy niezręczném naśladownictwie nowéj szkoły beletrystyków francuskich i dramaturgów russkich, a wreszcie zupełnie spaczone pojęcia o zagadnieniach życiowych, moralnych i społecznych, których młody, niedojrzały jeszcze umysł nie miał czasu przetrawić w treści, a zbyt powierzchowna obserwacya nie zdołała poznać z zewnętrznych objawów. Ten zawcześnie wysilony talent od początku zaczął iść po omacku, kierując się samym instynktem, wszedł na bezdroża, potykając się co krok; potknięcia te podrażniały wprawdzie wielką ambicyą w młodym autorze, ale nie nauczyły go szukać właściwéj drogi.

P. Rzewuskiego zaliczono do pesymistów w naszéj literaturze, nie zastanowiono się tylko, zkąd właściwie w początkującym pisarzu, który ani życia nie poznał, ani nie miał kiedy filozoficznych rozbierać teoryi, wziął się ów pesymizm tak krańcowy, a jednak na samym

frazesie oparty. Nie omylimy się chyba, przypuszczając, że źródłem owego czarnego na świat i życie poglądu w p. Rzewuskim, tak samo jak w wielu innych autorach jego miary, były właśnie owe niepowodzenia autorskie, owe potknięcia się niedojrzałego talentu, które wielką gorycz zawodu w nim wytwarzały i robiły go pesymistą. W tym żalu do świata, do życia, do ludzi młodego niby-myśliciela, musiał być na dnie żal do krytyki, co nie umiała się poznać na początkującym dramaturgu, żal do dyrektorów teatralnych, którzy jeden po drugim z jego utworów odrzucali, żal do publiczności, która pozwalała tym sztukom przeforsowanym na scenę upadać. Geneza wielu pesymistów bez wybitnego talentu i dojrzałego na życie poglądu dałaby się sprowadzić do osobistych zawodów zbyt wygórowanéj ambicyi, do owego „braku uznania,“ który chorobliwa podejrzliwość przypisuje zwykle cudzéj zawiści lub zakulisowym intrygom.

Pan Rzewuski zdradził się z tego rodzaju żalem w namiętnéj filipice przeciw całéj krytyce warszawskiéj i całéj literaturze współczesnéj u nas, wydrukowanéj przed kilku laty w paryskiéj *Revue indépendante.* Zbytek żółci i goryczy, wylanéj w tym artykule, był objawem chorobliwéj drażliwości, z któréj głównie, według naszego przypuszczenia, wypływa ów dziwaczny pesymizm autora „Potrzebnych grzeszków“ i „Doktora Faustyny.“

Nigdzie wszakże pretensyonalność do oryginalnego pomysłu, do postawienia tezy i jéj rozwiązania, nie objawiła się w utworach p. Rzewuskiego tak wybitnie, jak w jego „Ostatnim dniu Don Juana,“ wystawionym na scenie Wielkiego Teatru, a poprzedzonym rozprawą w kilku felietonach „Kuryera Warszawskiego.“ Na wzór Wiktora Hugo i Dumasa syna, hr. Rzewuski uważał za konieczne napisać rodzaj przedmowy do swojéj sztuki, w któréj przypuszczając, że płytkie i ciasne umysły nie zrozumieją dostatecznie jego idei i intencyi — rozwinął sam obszernie własne poglądy na swoje dzieło i swego bohatéra. Streściwszy wszystkie dramaty hiszpańskich, francuskich i niemieckich autorów, osnute na legendzie o słynnym uwodzicielu kobiet, Don Juanie, zapewnił nas, że jego bohater nie jest w niczém podobny do swoich poprzedników na scenie, bo jako figura jest wcieleniem „symbolu téj kategoryi umysłów, które p r a w d y b e z w z g l ę d n é j szukają w rozkwicie wszystkich sił żywotnych, ale sił wyłącznie zmysłowych, a więc w miłości, która jest ich przejawem najwspanialszym i najzupełniejszym,“ zaś jako bohatér dramatu wnosi z sobą ideę szerszéj i swobodniejszéj etyki, dozwalającéj rehabilitacyi zbrodniarza i winowajcy za cenę j e d n e g o szlachetniejszego porywu.

Pozwólmy autorowi własnemi jego słowami wyjaśnić tę śmiałą

tezę, którój motywa kończy następującą konkluzyą: „A zatém w jednym czynie szlachetnym zawrzéć się może odkupienie całego występnego życia, tak samo, jak mądrość kierująca wszechświatem jaśnieje w najdrobniejszém, na pozór również cudowném i niezrozumiałem stworzeniu lub zjawisku przyrody; piękna i głęboka moralność katolicka, obiecując rozgrzeszenie za jednę chwilę przedśmiertnego żalu, zgadza się tu najzupełniéj z duchem wielkiéj racyonalnéj filozofii, według którój pojęcie czasu stanowi tylko subjektywną formę działalności naszego umysłu, samo zaś przez się nie ma żadnego przedmiotowego znaczenia; jednego dnia dosyć, żeby duszę ocalić. Ale raz jeszcze: ocalenie to znaczy zrozumienie sfery wyższéj, boskiéj, obowiązującéj dla każdego prawdy“...

Hr. Rzewuski się myli, jeżeli sobie wyobraża, że wymyślił coś zupełnie nowego i oryginalnego w idei i rozwiązaniu swego fantastycznego dramatu; przekarmiwszy się całą literaturą Don-Juanową przed napisaniem swéj sztuki, bezwiednie przeżuwa tylko składowe pierwiastki i motywa dramatów, od których jego utwór ma się odróżniać treścią i formą. Już pierwszy Tirso de Molina, który tylu innych autorów natchnął swoim prototypem scenicznego Don Juana, próbował nie w tym, ale w dwóch innych dramatach przeciągnąć do ostatniéj krańcowości swą katolicką ideę odkupienia; w pierwszym p. t. „*El condeñado por desconfiado*“ prosty zbójca, w drugim p. t. „*Quien no cae no se levanta*“ prosta hetera dostępuje zupełnego rozgrzeszenia i zbawienia duszy za jednę chwilę skruchy i pokuty. Wątpliwość bronionego morału, chociaż głoszonego przez mnicha i późniejszego przeora bonifratrów, jaskrawo przebija w samém założeniu drugiego zwłaszcza utworu, który nosi tytuł: „Kto nie upada, nie podnosi się“.

Idea rehabilitacyi tak popularna w ostatnich czasach nietylko wśród dramaturgów i powieściopisarzy, ale nawet w pewnéj szkole poważnych historyków, nie jest również oryginalnym pomysłem hr. Rzuwuskiego, w zastosowaniu jéj specyalnie do Don Juana. Przed pięćdziesięciu blisko laty stary Dumas z całym romantycznym aparatem w swojém „*mysteryum*“ o Don Juanie de Marana wystawił tego bohatera pomiędzy aniołem złego i aniołem dobrego, który ostatecznie zdobywa zatraconą duszę wielkiego grzesznika i zbrodniarza. Coś podobnego dzieje się w dramacie p. Rzewuskiego, który w prologu każe dwom duchom, uwiedzionéj kochanki i ojca bohatera, starać się o zbawienie jego i wymodlić w niebie odkupienie dla zatwardziałego grzesznika pod warunkiem, że na jednę chwilę przed śmiercią ugnie się, zwalczy swą naturę, zaprze się jéj i — nie spełni na-

wet żadnego dobrego uczynku, tylko powstrzyma się od spełnienia złego. Doprawdy, cena odkupienia *in minus* najniższa, za jaką zlicytować można dla nieba duszę wielkiego grzesznika, do którego całe piekło ma najzupełniejsze prawo.

Pominąwszy zresztą spór o granice takiéj idei odkupienia i o wyzyskanie zasady etycznéj aż do nadużycia, nasuwa się nam inne pytanie, a mianowicie: dlaczego Don Juan ma być koniecznie zbawionym i rozgrzeszonym *à tout prix?...* dla czego autor wyrywa go gwałtem z piekła swojemi spekulacyami filozoficznemi, psując jednolitość tragicznéj w swoim rodzaju postaci, pacząc i wykoszlawiając typ stworzony na materyał dla genialnego poety lub dramaturga, którym niestety posługiwały się z wyjątkiem Byrona i Moliera nie dość wielkie do tego talenta.

Czy dla tego, aby dramat p. Rzewuskiego nie był podobnym do żadnego z poprzednich?... aby się wyróżniał niby oryginalnością rozwiązania, a właściwie sofistycznym eksperymentem?... Czy p. Rzewuski, jako dramaturg w swém przekonaniu, nie czuł tego, iż tą rehabilitacyą swego bohatera może go etycznie podnosi, ale pod względem konsekwencyi charakteru i miary tragicznéj, i dramatycznego efektu, obniża go bardzo i pospolituje?... nie widział tego, że ów płaczący i żałujący za swoje winy Don Juan maleje jako typ, i staje w rzędzie bohaterów melodramatycznych?... Że on jest większym w swojéj zaciekłości złego, czy demonicznego swego temperamentu i instynktów, poskromionych dopiéro kamienną ręką Komandora, jako wykonawcy wyroków sprawiedliwości, aniżeli ocierając łzy z oczu i bijąc się w piersi ze słowami: *mea culpa?...* W ten sposób możnaby wypaczyć wszystkie wielkie typy i charaktery, przestrajając ich zasadniczy ton w końcu i wbrew ich naturze rozwiązując akcyą, któréj byli bohaterami. Jakby się p. Rzewuskiemu wydał Faust,idący za namową Małgosi do spowiedzi i uznający wszystkie dogmaty kościoła, albo Mefisto, dający się ochrzcić i wstępujący do klasztoru?

W tém forsowném przegięciu, w tém sztuczném rozmiękczeniu charakteru widzimy właśnie fatalny błąd i pomyłkę autora, który zepsuł typ świetny w swoim rodzaju, choć ujemny i niesympatyczny. P. Rzewuski okazał brak poczucia wielkiego stylu w dramacie, który przez swoje założenie miał właśnie zaimponować wzniosłością idei i bohatera.

Jeden z mniejszych, a przynajmniéj nierównych talentów poetyckich w Niemczech, Krystyn Dietrich Grabbe, autor „Don Juana i Fausta“, mógł był p. Rzewuskiego nauczyć, jak należy uszanować jednolitość i konsekwencyą pewnych kardynalnych typów w sztuce.

W filozoficznym dramacie poety niemieckiego jest scena, kiedy Komandor zaproszony na wieczerzę przez cynicznego rozpustnika i uwodziciela jego córki, upomina go, aby się poprawił i żałował za grzechy. Na to Don Juan odpowiada mu z dumą sobie właściwą:

Was ich *bin*, das *bleib'* ich. Bin ich Don Juan,
So bin ich Nichts, werd' ich ein Anderer!
Weit eher Don Juan im Abgrundsschwefel,
Als Heiliger im Paradieseslichte!
Mit Donnerstimme hast Du mich gefragt,
Mit Donnerstimme geb' ich dir die Antwort: Nein!

Takiego Don Juana, który wié o tém, czém jest i czuje to, że byłby niczém, gdyby się stał innym, który woli jako Don Juan smażyć się w smole i siarce piekielnéj, niż być świętym w jasności rajskiéj za cenę skruchy i pokuty, takiego można zrozumiéć. To potępieniec, ale to Don Juan, którego legenda wieków jako wzór uwodzicieli i rozpustników przekazała; całém życiem zasługiwał na piekło i do piekła należy i niemal wié o tém, że zbawienie jego zakrawałoby na ironią, na wyzyskanie sprawiedliwości i miłosierdzia najdobrotliwszego Boga.

Don Juan p. Rzewuskiego, ocierający łzy ukradkiem, pozuje tylko na wielkiego i niezłomnego bohatera występku, udaje prawdziwego Don Juana z jednéj sztuki, ale nim nie jest i być nie może.

Co gorsza, nie odpowiada on pojęciu swego prototypu w ogólności, ale i sprzeniewierza się typowi, jaki autor wytworzyć zamierzał w swym fantastycznym dramacie według szkicu, zarysowanego w autokrytycznéj rozprawie.

Zobaczmy, jak wygląda na scenie ten bohater, szukający absolutu w miłości,—dodajmy zmysłowéj jedynie,—dochodzący w końcu do przekonania, że pomylił się w środkach i szedł ciągle manowcami do celu, i że „tylko w syntezie materyi i ducha słowo zagadki znaleść się może“.

Przy podniesieniu kurtyny Don Juan leży bez przytomności w klasztornéj celi, w któréj uwiódł siostrę Martę, zakonnicę, przed kilkoma godzinami i padł omdlały w téj saméj chwili, gdy ona martwa wysunęła się z jego objęć. Duch nieboszczki w bieli, jaskrawym oświecony blaskiem, klęczy na kamiennéj posadzce i rozmawia z duchem ojca Don Juana, ukazującym się na ciemném tle ściany. Obraz efektowny w stylu romantycznym. Oba duchy prowadzą bardzo długi i rozwlekły dyalog, z którego dowiadujemy się najprzód, że ponieważ Don Juan występków swoich względem bliźnich niczém nie zmazał i nie uznawał siły przebaczenia—zatém przebaczenia dla niego nie ma, ale

zaraz potém pociesza nas nieboszczyk ojciec bohatera, że Pan Bóg miłosierny postanowił cud uczynić dla siostry Marty, wskrzesić jéj kochanka i zostawić mu jeszcze jeden dzień życia ponad oznaczony termin, aby w ciągu tego dnia, jeżeli zechce, mógł wywalczyć sobie zbawienie. Don Juan ma tedy rozwiązać zadanie swego odkupienia na zadany z góry temat; oto powinien, zawsze z woli Boga, w ciągu téj ostatniéj doby, darowanéj mu w przyczynku do zmarnowanego życia, przebaczyć zniewagę śmiertelną. Jeśli krzywdy zapomniéć nie potrafi, dusza jego będzie zgubiona niepowrotnie; jeśli się opamięta — zostanie zbawionym, albowiem: „jednego dnia dosyć... by duszę odrodzić“.

Po tym prologu, który nas uprzedza o dalszéj akcyi i pozwala domyślać się jéj wyniku, rozpoczyna się właściwy dramat; cienie znikają, scena się rozwidnia i mamy przed oczyma obszerny plac w Walencyi, na którym Sganarel, sługa umarłego Don Juana, popisuje się Molierowskim humorem i Szekspirowskim komizmem, przy akompaniamencie tłumu ulicznego, opowiadając długo i szeroko, nie zawsze z jednaką werwą i dowcipem, o wszystkich sprawkach swojego pana.

Ta ekspozycya jest za rozwlekła, ale znać w niéj sceniczny temperament młodego, choć niedoświadczonego pisarza.

Don Juan budzi się z pozornéj śmierci i dowiaduje od Sganarela, że nad jego mniemanemi zwłokami ukląkł ze słowem przebaczenia brat jego Don Luiz, którego przed szesnastu laty pchnął szpadą w pojedynku i uważał za zabitego i że Dona Olympia Sandoval, jedna z jego ofiar uwiedzionych, śmiała go publicznie przekląć. Ta Olympia została żoną jego brata Luiza, który poważył się niegdyś kochać ją a przez miłość zrehabilitować shańbioną i mimo wszystko poślubić po wyzdrowieniu. Próżność Don Juana jest podrażnioną, jego duma dotkniętą. Jakto, zabity brat śmié żyć, być szczęśliwym w małżeństwie z jego dawną kochanką, śmié go upokarzać swą szlachetnością, a ona nietylko, że oddała rękę innemu, lecz wobec wszystkich pamięć jego przeklina?... On, który dumny był dotąd ze swéj władzy nad sercami niewiast i nienawiści mężczyzn, nie może przenieść na sobie tych dwóch despektów, uwłaczających honorowi uwodziciela, ambicyi Don Juana, więc postanawia się zemścić. Po raz drugi postanawia podbić swą niewierną kochankę i zemścić się na bracie, uwodząc mu żonę.

Przypadek chce, że planów téj zemsty rozsnuwanych przed Sganarelem, podsłuchuje Don Carlos, syn Dony Olympii, ujmuje się za honorem matki, wyzywa Don Juana i pada ugodzony śmiertelnie ręką własnego stryja. Sytuacya się wikła, ale Don Juan pozostaje jeszcze wiernym swojéj tradycyi, gdy pomimo uśmiercenia

syna, wybiéra się zuchwale na podbicie matki i wierzy w swój niezawodny czar i wpływ na kobiety. To jeszcze prawdziwy Don Juan, dążący z całym cynizmem do wytkniętego celu, jednę zbrodnię zacierając drugą, dla zadowolenia swojéj fantazyi, zmysłów i namiętności. Ta niezwykłość sytuacyi go podraźnia. Miał we śnie przestrogę, że jeden dzień życia pozostaje mu tylko dla uratowania swéj duszy, ale ten dzień poświęca nie sprawie własnego zbawienia, lecz potępienia dwóch innych dusz, które śmiały jego drażliwość zadrasnąć.

Trzeba w tém miejscu położyć nacisk, że bohater p. Rzewuskiego, który według założenia miał szukać bezwzględnéj prawdy w miłości, przyznaje sam, że nie kochał nigdy Dony Olympii i teraz nie miłość, ale wręcz przeciwne uczucia, bo zemsta i nienawiść kierują jego czynami i stanowią jedyne sprężyny całéj akcyi.

Don Juan wkrada się do domu brata i rozpoczyna starą sztuczkę uwodzenia powtórnie swéj ex-kochanki; przyszłoby mu to o wiele trudniéj w danych warunkach, gdyby Dona Olympia nie pozostawała przez lat szesnaście pod urokiem swego uwodziciela i nie kłamała przed mężem, przed światem, przed sobą samą nienawiści do niego; ona go jeszcze kocha i zapomniéć nie może, chociaż ma go już za umarłego. Trudno tylko zrozumiéć, co ją skłania do popisywania się z tą nienawiścią w chwili najmniéj stosownéj, t. j. nad zwłokami kochanka, kiedy rzucała na niego straszną klątwę publicznie i z wielkim patosem prosiła Boga, aby dla mniemanego nieboszczyka był nieubłaganym i nielitościwym, potępił, upokorzył, ukarał i zgnębił jego występną duszę.

Autor może nam wprawdzie odpowiedziéć banalnym frazesem: „Niekonsekwencyo, imię twoje kobiéta!...“ tylko, że od Dony Olympii rozpoczyna się cały széreg niekonsekwencyi i nielogiczności w jego tendencyjnym, fantastycznym dramacie.

Don Juan z pewną siłą brutalnéj namiętności odegrywa scenę uwodzenia przez zemstę Dony Olympii, która słabnie w jego objęciach i gotowa zawierzyć mu po raz drugi; godzi się na porzucenie męża i dziecka, jest gotowa do ucieczki z ex-kochankiem, do zdeptania wszystkich obowiązków, które z hypokryzyą najprzewrotniejszéj natury kobiecéj spełniała dotychczas przez lat szesnaście, ulega jego namowom i daje się opętać wspomnieniom dawnych roskoszy.

Jest w téj scenie z niewątpliwą siłą i talentem napisanéj jeden szczegół charakterystyczny, który znowu świadczy o organicznych wadach talentu p. Rzewuskiego, o braku poczucia miary i równowagi w używaniu dramatycznych efektów. Oto w chwili największego naprężenia sytuacyi, kiedy Don Juan zamknięty sam na sam z Doną Olympią, kończy swój duet miłosny i roznamiętnioną ofiarę chwyta

w objęcia, daje się słyszéć nagle fatalne stukanie do drzwi. Naturalnie, któż inny, jeśli nie zdradzony mąż przychodzi instynktem, czy prostym przypadkiem sprowadzony, aby własnemi oczyma spojrzéć na swoję hańbę i spiorunować winnych na miejscu; chwila ta jest pełna grozy, przerażenia wiarołomnéj żony, która lęka się śmierci dla kochanka, idącego z całym cynizmem ale i rycerską butą otworzyć drzwi mężowi. Katastrofa wisi w powietrzu. Tragiczny nastrój sytuacyi opanowuje publiczność,—w tém drzwi się otwierają i zamiast groźnego mściciela swego honoru, zamiast zdradzonego Don Luiza wchodzi... komiczny Sganarel, przyjęty śmiechem Don Juana i śmiechem publiczności, którą ta niespodzianka przerzuca nagle z tragedyi do farsy.

Spodziewany Don Luiz przychodzi trochę późniéj, w następnéj zaraz scenie, ale to *intermezzo* ze służącym, który go poprzedził, osłabia znacznie wrażenie i obniża ton całéj sytuacyi. Publiczność, która się śmiała, nie łatwo znowu daje się nastroić na powagę, tém bardziéj, gdy odtąd coraz więcéj znajduje powodów do sceptycznego uśmiechu i wzruszania ramionami.

Dowiadujemy się tedy, że Don Luiz z gromadą ludzi zdąża ku domowi, że niosą za nim śmiertelnie rannego Don Carlosa, że trzeba uciekać jak najśpieszniéj, ale tego wszystkiego bardzo skrupulatnie, z zegarkiem w ręku, nie biorą nigdy bohatérowie hr. Rzewuskiego i pod względem rozliczania się z czasem podobni są do bohatérów i chórów operowych; trudno ich poruszyć z miejsca, muszą odśpiewać swoje partye ze wszystkiemi powtórzeniami. Mija tedy dość czasu, zanim nareszcie Don Luiz się zjawia, aby żonę i brata złapać na miłosnéj schadzce w chwili bardzo stanowczéj, bo właśnie gdy Dona Olympia w objęciu Don Juana gotuje się do ucieczki. Zdradzony mąż, mając najważniejszy argument do zatrzymania żony i ocucenia jéj z szału roznamiętnienia w wiadomości o śmiertelnéj ranie Don Carlosa, — z tém przecież przybiegł do domu, — używa wpierw całéj retoryki zrozpaczenia i zawodu, wyrzutów i reflexsyi, aby na samym końcu wyjawić matce po długich dyalogach straszną prawdę, że syn jéj jest umierający, a umiéra z ręki Don Juana. Autor uwziął się przewlekać, ale i spiętrzać gwałtownie swoje niespodziane efekta.

— Patrzcie się ludzie!—woła Don Luiz do tłumu, który wypełnił jego komnatę—poraz pierwszy w życiu Don Juan zblednie i śmiać się przestanie. A! sądziłeś, żeś zabił mego syna! mylisz się — Don Carlos jest twoim synem.

Od téj chwili Don Juan, który nie uląkł się statuy mówiącéj Komandora i wyzywał niebo i piekło do walki, przestaje być sobą; nie-

tylko blednie i śmiać się przestaje, ale płakać zaczyna i mówić drżącym głosem: „Dziecko moje!... miałem syna!...“

Nic w życiu nie zdołało go jeszcze wzruszyć, jego, który zabijał ojców, braci, synów z krwią najzimniejszą, porzucał w rozpaczy uwiedzione kochanki, popełniające samobójstwo dla niego, który kochał jednę tylko kobietę z owych tysiąca i trzech uwiedzionych i porzuconych, a nie miał nawet przywiązania do Dony Olympii, — jego wzrusza wiadomość, że miał syna, jak gdyby mu się to pierwszy raz w ciągu całego życia zdarzyło.

Nie zapominajmy jednak, że mamy do czynienia z dramatem fantastycznym, w którym ta fantastyczność widnieje z każdéj sytuacyi niemal i z każdéj ważniejszej figury.

Od chwili wynaturzenia się swego, Don Juan sam dobrze nie wié, czém ma być i czego chcieć. Chciał się mścić na bracie — daje pokój; odmawia mu satysfakcyi honorowéj, bo „matka jego była niewolnicą,“ a rycerzowi nie wypada „bić się z bękartem.“ Zapomina, że mimo to uchybienie, skrzyżował już raz z nim szpadę przed laty szesnastu, a odmówiwszy mu stanowczo pojedynku, wyzywa go potém sam po chwili, aby stoczyć z nim walkę na śmierć... za co? „za hańbę swego rozrzewnienia,“ wywołanego wiadomością o ojcostwie swojém.

Don Luiz godzi się na pojedynek, ale żonę sromotnie z domu wypędza na ulicę.

Ten Don Luiz jest bardzo ciekawą figurą, jest chodzącą abstrakcyą, nadzianą samemi frazesami, jakiémś wcieleniem idei chrześciańskiéj miłości i przebaczenia, posuniętego do bezwzględnéj abnegacyi. Sierdzi się i oburza, wybucha i grozi, ale ostyga tyle razy, ile razy autor dmuchnie na niego. Możnaby o nim powiedzieć, że ze wszystkich figur dramatu jest najkonsekwentniejszym w swojéj niekonsekwencyi, bo stale nie dotrzymuje tego, co zapowiada. Miał się bić z bratem, nie bije się; miał szukać odwetu, nie szuka; miał wypędzić żonę, przyjmuje ją do domu; miał wzbronić przystępu Don Juanowi i Donie Olympii do łoża konającego dziecka, dopuszcza ich po długiém i nudném kazaniu na temat ewangielicznéj miłości. Gotów przebaczyć wszystko i wszystkim w imię odwiecznéj sprawiedliwości, która wydaje się przez niego odwieczném niedołęstwem.

— Ach, jesteś świętym!—woła zachwycona nim Dona Olympia, ale on nie przyjmuje skromnie tego komplementu, przyznając się jedynie, że—„jest tylko chrześcianinem.“

W tym wypadku, jak w wielu innych, p. Rzewuski przebrał miarę i nie spostrzegł się wcale, że ten jego przeidealizowany chrystyanizm uświęca zasady jakiéjś bezwzględnéj bezkarności, że na tym

gruncie „szerszéj etyki,“ niedostępnéj dla płytkich i ciasnych umysłów, spodziewać się mogą właśnie, wbrew chrześciańskim pojęciom o sprawiedliwości, przebaczenia i odkupienia wszystkie najcięższe grzechy, nawet śmiertelne, nawet o pomstę do nieba wołające, że wreszcie w tém rozszerzeniu granic etyki leży wielkie niebezpieczeństwo zaprzepaszczenia wszelkich zasad i prawideł etycznych i podkopanie podstaw moralności nawet najswobodniéj pojmowanéj.

Ten sam błąd i ta sama nielogiczność upostaciowana w Don Luizie, jest właśnie wadą i ujemną stroną głównéj idei, wcielonéj w fantastyczny dramat p. Rzewuskiego.

Nasze poczucie sprawiedliwości i etycznéj miary oburza się na rozwiązanie jego tezy; brak należytéj ekspiacyi w dramacie sprawia wrażenie przykre i nie przekonywa widza do sztuki, nie jest dla niego zakończeniem prawdopodobném.

Na czém bowiem polega owa rehabilitacya Don Juana i zmazanie win całego żywota?... oto na tém, że umierającego syna nie dobija podniesioną szpadą w chwili, w któréj konający dzieciak wymierza mu policzek, mszcząc się za zniewagę swéj matki i za swą ranę śmiertelną,

Niezaprzeczenie sceniczny efekt tego pomysłu jest silny, ale wstrętny zarazem; zawsze to syn policzkuje ojca, niedorostek dojrzałego mężczyznę i to w jakiéj chwili!... w chwili samego zgonu, uniesiony nienawiścią i pragnieniem zemsty, gdy „jako chrześcianin“ pojednał się z Bogiem i ludźmi, prosząc u bliźnich przebaczenia...“ „Jeśli kogo skrzywdziłem... darować mi proszę!“ — mówi konającym głosem do swego otoczenia, a zaraz potém sam wymierza policzek Don Juanowi, zwabiwszy go podstępnie łagodném słowem i chęcią pojednania do swego łoża.

Dziwny jest ten mały chrześcianin, jako antyteza dużego chrześcianina Don Luiza, szukający nasycenia swéj nienawiści i zemsty po akcie dokonanéj skruchy na łożu śmierci!...

Któryż właściwie z tych dwóch ma być prawdziwym przedstawicielem chrystyanizmu w pojęciu p. Rzewuskiego?

Don Juan, znieważony przez syna, rzuca się w pierwszéj chwili na niego z dobytą szpadą;—według informacyi autora: „tłum go zatrzymuje“ i przeszkadza spełnieniu ostatniéj zbrodni. Coby się stało, gdyby go tłum nie zatrzymał?... czy pchnąłby żelazo poraz wtóry w piersi dziecka własnego, czy powstrzymałby się sam w stanowczéj chwili? — téj wątpliwości nie możemy nawet rozstrzygnąć na pewno. Dość na tém, że w pierwszym rozmachu nie zabiwszy syna, taką sobie robi reklamę: „Gdyby inny człowiek się ośmielił... choćby w ostatniéj

chwili konania... mógłbym o kilka chwil skrócić jego nędzne życie... i zemścić się; ale ciebie... ale ciebie dziecko moje zabić nie zdołam... nie zdołam. Przebaczyć ci więc muszę.“

„Nie mogąc się jednak zemścić—konkluduje daléj — wolę umrzéć razem z tobą... Krew obmyje znamię hańby wypiętnowane dłonią twoją na mojéj twarzy,—a Bóg... Bóg przez litość nad ogromem mego nieszczęścia może przebaczy.“

Po tych słowach przebija się szpadą, zegar bije dwunastą, w jaskrawém oświetleniu ukazuje się w głębi komnaty w zakonnéj szacie duch siostry Marty, pierwszéj i jedynéj kochanki Don Juana i obwieszcza mu, że... jest zbawiony, że przebaczone mu są wszystkie winy, bo raz jedyny w życiu przebaczył.

Jak się to samobójstwo zgodzi z chrześciańską ideą odkupienia i z przykazaniami Bożemi, i z „szerszą etyką,“ nad tém nie zastanawia się p. Rzewuski i zapuszcza szybko kurtynę po „Ostatnim dniu Don Juana.“

Pobałamucenie pojęć i brak moralnego zmysłu tłómaczy nam jedynie te wszystkie niekonsekwencye dramatu, w którym fantastyczność pozwoliła sobie aż na... nonsensa, pretensyonalnie tezą osłonięte.

Co do oryginalności pomysłów, potrzeba również zrobić poważne zastrzeżenia. Pan Rzewuski sam w swoim artykule przyznaje, że się spotkał z Pawłem Heysem w pomyśle zrobienia Don Juana ojcem i sprowadzenia go z synem w zawikłanéj kolizyi, dodaje wszelako, iż Heysego: „Śmierć Don Juana“ przeczytał dopiéro po napisaniu swego dramatu. Nie mamy powodu powątpiewać o tém, ale to przypadkowe podobieństwo pomysłów wychodzi w każdym razie na niekorzyść p. Rzewuskiego, bo choć nie jest plagiatem, traci cechę oryginalności. Heysego Don Juan spotyka syna, którego przez miłość chce wyplątać ze stosunku z kochanką, na którą rzuca potwarz; syn popełnia samobójstwo, a Don Juan z rozpaczy, że przyczynił się niezręcznie do śmierci jego, rzuca się w krater Wezuwiusza i ginie, tylko bez pretensyi do zbawienia duszy, jak u p. Rzewuskiego.

Nareszcie co do owego fatalnego policzka, — niestety, i ten nie jest świeżą i oryginalną inwencyą autora. W hiszpańskim dramacie Echegeray'a p. t. „Galeotto“ patrzeliśmy już na tę samę brutalność z tą różnicą, że tam raniony śmiertelnie w pojedynku mąż policzkuje przed samym zgonem mniemanego kochanka swéj żony i umiera, nasyciwszy swą zemstę.

Cóż tedy pozostanie prawdziwą własnością p. Rzewuskiego w tym jaskrawym konglomeracie pomysłów, skoro idea wzięta jest z Tirso di Molina, fantastyczność i świat duchowy ze starego Dumasa, główniej-

sze efekta z Heysego i Echegeray'a, figury bohatéra i sługusa potroszę ze wszystkich, począwszy od Tirsa i Moliera?... zostaje chyba Don Luiz, karykatura chrześciańskiéj miłości i idei przebaczenia, ale ten nie przyniesie zaszczytu pomysłowości autora i narazi go na największe zarzuty; zostanie sceniczność, do któréj nerw niezaprzeczenie posiada p. Rzewuski w swoim talencie nierównym, błąkającym się zawsze jeszcze po manowcach, a wodzonym na pokuszenie nad siły przez pretensyonalność wygórowaną. Więcéj doświadczenia i znajomości życia, więcéj spokojnéj obserwacyi a ładu i porządku w myślach, mniéj gorączki w tworzeniu i fantasmagoryi w pomysłach, mniéj wreszcie sztucznego pesymizmu z egotycznych pobudek, a przy swoich zdolnościach i pociągu do pracy, mógłby w panu Rzewuskim dojść do dojrzałości dramaturg, którego dzisiaj uznać trudno przy tylu zastrzeżeniach.

M. Gawalewicz.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Branki w jassyrze przez Deotymę, z ilustracyami E. M. Andriollego. 3 tomy (str. 213, 422, 447 w 4-ce wielkiéj). Warszawa, S. Lewental, 1890.

Najświeższy ten utwór Deotymy jest nowością jako wydawnictwo, lecz nie jako dzieło sztuki. Przed laty dziesięciu goście salonu poetki mieli sposobność poznania go w całości, może częściowo w odmiennych nieco kształtach, pod względem jednak myśli i konstrukcyi ogólnéj był on niewątpliwie ten sam. Zadowolenie swoje i zachwyt wyrażali nawet niejednokrotnie w gazetach po każdym czwartku, na którym odbywało się czytanie. Gdy zaś czytanie dobiegło do końca, grono przyjaciół i wielbicieli talentu Deotymy złożyło jéj hołd przez oddanie darów pamiątkowych. Robiąc aluzyą do znamiennego szczegółu w powieści, ofiarowano jéj dwie róże. Jedna z nich złota, wyrastała ze srebrnego wazonu, spoczywającego na podstawie marmurowéj; „dwie łzy brylantowe perliły się jak rosa na rozwartych płatkach kwiatu“; napis wyryty na tym darze brzmiał: „Autorce Branek w jassyrze, od wdzięcznych brańców jéj talentu. 1880“. Gdy tę różę przy odpowiednim wierszu, wypowiedzianym przez Odyńca, oddano poetce, zbliżyło się grono panien, trzymających różę sztuczną, przez jednę z nich tak artystycznie wykonaną, że „zdawała się różą prawdziwą, tylko z krzaku zerwaną“, a Hajota, robiąc złośliwy przycinek mężczyznom, wyjaśniła śmiałość wręczenia tak skromnego daru:

Każdy się wedle swych gustów tłómaczy,
Panowie kruszcem, a my własną pracą.

Przy opisie tego wieczoru, pojawiły się w dziennikach ogólne oceny „Branek“, trzymane w tonie uwielbienia. Jeden z nich („Echo“) pisał: „Książka ta, oryginalna w swym szerokim pomyśle, formą zbliżona niekiedy do poematu epicznego, a niekiedy po powieściowym gościńcu posuwająca swoję akcyę, jest zarazem ciekawém i wyborném studyum historyczném, w którém erudycya i badania dziejowe, pełne głębokości,

kojarzą się wdzięcznie i wytwornie z natchnieniami najbujniejszéj wyobraźni, w którém psychiczna (!) analiza charakterów idzie w parze z szlachetną tendencyjnością. Słowem, Branki w jasyrze są niezwykłém zjawiskiem w piśmiennictwie naszém, a talent autorki roztoczył w niém wszystkie bogactwa męskich zdobyczy na polu wiedzy dziejowéj, oraz daru niewieściego, pełnego miękkiéj, wzruszającéj uczuciowości, właściwéj tylko poetom... obojéj płci.“

Przypomnienie to nie ma być jedynie notatką z ubiegłych chwil życia warszawskiego, lecz ma zarazem posłużyć za punkt wyjścia w ocenie „Branek“.

Istotnie, należy pamiętać, jak utwór ten powstawał, ażeby sobie wyjaśnić niektóre szczegóły jego wykonania.

Autorka, jako gospodyni swego salonu, zwracała się do swoich słuchaczów z pewną przyjazną poufałością, robiła wyjaśnienia, uśmiechała się, podkreślała głosem pewne wyrażenia, na które chciała położyć nacisk, słowem zachowywała się jak opowiadacz żywém słowém przedstawiający wypadki i biorący bezpośredni udział we wszystkiém, co się koło niego dzieje. Dzieło tu nie odrywa się od twórcy, nie występuje jako samoistna całość, ale ściśle jest zjednoczoném z jego osobistością, tak, że ta osobistość niejednokrotnie w niém ze swojém zdaniem objaśniającém, ze swojém wrażeniem, radosném czy smutném, wyraźnie się ukazuje. Traci się na tém oczywiście złudzenie przedmiotowości nakreślonego obrazu, bo się nie tylko czuje, ale nawet widzi, że przed nami przesuwają się ludzie i wypadki, dowolnie przez autorkę wybrane i w ruch wprowadzone, zależne zupełnie nie tyle od swojego charakteru, od przyrodzonych właściwości i oddziaływania innych ludzi lub zdarzeń, ile od woli swego twórcy. Uwydatnia się to szczególniéj w początkach powieści, gdzie najczęściéj takie zwroty osobiste, takie, że tak powiem, krygi przed słuchaczami się odbywają, gdzie się znajduje owa na wzór Arystofanesa podana parabaza, wraz z objaśnieniem, co znaczy ten termin z starożytnéj komedyi wzięty.

Gdy się „Branki“ czyta głośno wobec liczniejszego, a więc z różnych złożonego osób audytoryum, wszystkie te odstąpienia od wątku niezbyt rażą, a objaśnienia mogą być nawet dla niejednego słuchacza lub słuchaczki pożyteczne, bo zwracając uwagę na różnicę czasów dzisiejszych od dawno minionych, dopomagają wyobraźni do przeniesienia się w przeszłość, do zrozumienia jéj cech odrębnych od tego, co się widzi naocznie. Ale z punktu widzenia czysto artystycznego nie można odstąpień tych usprawiedliwić; samo bowiem przedmiotowe opowiadanie powinno być tak ułożone, iżby czytelnika przenosiło żywo w ten okres czasu, na tle którego się rozwija; wszelkie poboczne podpórki wyglą-

dają, jak te części dworków szlacheckich dobudowywane w miarę rozrastającéj się rodziny, lub jak te malowane wstęgi, na których w wiekach średnich wypisywano sentencye przy figurach aniołów i świętych.

Zdaje mi się, że i na zwiększenie obszerności dzieła wpłynął w znacznéj części sposób powstania utworu. Opowiadacz, zachęcony uwagą słuchaczów, nie zważa zazwyczaj na stosunek części do całości, ale daje się porwać przedmiotowi i wszystko, co wié o nim, wypowiada, wiąże swobodnie jedne epizody z drugiemi, choćby w bardzo dalekim związku będącemi z wątkiem głównym, dbając o to jedynie, żeby rzeczy te opowiedziéć interesująco.

I w „Brankach z jassyru“ nie brak takich luźnych epizodów, które bez szkody dla całości, owszem może na korzyść idei przewodniéj, mogły być pominięte, gdyby nie ta chęć autorki wyczerpania treści osnowy wybranéj do przedstawienia. Należą one, co prawda, do najpiękniejszych w powieści ustępów, lecz odrywają od historyi osób głównych, nie odgrywają żadnéj roli w ich losach, nie mają wpływu na wyrobienie ich charakteru, są jedném słowem obce dla myśli zasadniczéj.

Deotyma zamierzyła w powieści swojéj wystawić dwa różne cywilizacyjne światy, które się w wieku XIII po raz pierwszy ze sobą zetknęły wrogo, mając w przyszłości prowadzić długie i krwawe boje. Świat europejski, ze swą chrześciańską oświatą, ze swém rycerstwem, częścią szlachetném, częścią rozbójniczém, ze swą pobożnością, pielgrzymkami do ziemi świętéj i ascetyzmem z jednéj strony a przewrotnością, żądzą łupu, życiem zmysłowém z drugiéj, ze swymi uczonymi i błaznami, ze swemi jasełkami (misteryami) i turniejami, ze swemi misyonarzami i handlarzami, — naraz zostaje wstrząśnięty wiadomością o wkroczeniu na wschodnie swe krańce hordy strasznéj, dzikiéj, barbarzyńskiéj, o któréj ze strachu rozchodzą się najpotworniejsze wieści, ale która miała także właściwe sobie wyobrażenia religijne, urządzenia polityczne i społeczne, wielkich wojowników i rozumnych rządców, silne namiętności zarówno w dobrym jak i złym kierunku. Chwila starcia tych potęg — pełna dramatyczności, pełna grozy tragicznéj.

Obierając Polskę wieku XIII za widownią, na któréj miała pokazać przejawy cywilizacyi średniowiecznéj, autorka dla wystawienia ich jak można najwszechstronniéj, w całym blasku, zapomniała o tém, że Polska ta była uboga, „drewniana“, że w niéj kościoły tylko wznoszono z kamienia, rycerze zaś i książęta przebywali w domach i zameczkach z drzewa, że obyczajów zachodnio-europejskiego rycerstwa prawie nie znała i że miała pod tym względem odrębną, prostszą swą fizyonomią. Dla wyobraźni poetki większy oczywiście powab posiadały

wspaniałe zamki Europy zachodniéj, turnieje, obrzędy rycerskie, przysięgi na pawia, okowy miłosne, noszone przez wiernych kochanków, kunsztownie wyrobione jasełka i t. p.; wszystko więc to, o czém się naczytała w książkach opisujących życie wieków średnich w Europie zachodniéj, przeniosła do nas, nadając tylko nazwiska polskie miejscom i ludziom. Chcąc się temi opisami rozkoszować, potrzeba zapomnieć, że autorka mówi o Polsce, a wyobrazić sobie jakiś kraj daléj na zachód leżący, najprędzéj może francuski. Opisy te były niewątpliwie potrzebne dla przeciwstawienia ich późniejszym, przedstawiającym stosunki azyatyckie, szkoda tylko, że ich za prawdziwie historyczne, odnośnie do Polski, poczytać niepodobna. Jedynie szczegóły malujące objawy pobożności wieku XIII, zwanego „wiekiem świętych polskich", za zupełnie trafnie dobrane i dobrze wykonane uważać można.

W napadzie na zamek żegnaniecki, Tatarzy uprowadzili w jasyr między innemi Elżbietę żonę rycerza Sulisława, Ludmiłę, która kochała dzielnego rycerza Przedwojowica, poległego w walce z hordą najeźdźców, oraz małego Jasia, synka Elżbiéty. Dzieje tych trzech osób stanowią zasadniczy wątek opowiadania, obejmującego przeciąg czasu blizko 50-letni.

Elżbieta to ideał kobiéty wytrwałéj, rozważnéj, przejętéj głębokiém poczuciem obowiązków chrześciańskich, znoszącéj z poddaniem się najzupełniejszém woli Boga ciosy, jakie na nią spadają, zyskującéj potulnością i cierpliwością uznanie nawet dziko usposobionych ludzi. Przez ciąg niewoli udochownia się coraz bardziéj i zyskuje przywileje świętych.

Ludmiła przywiązana całém sercem do Elżbiety, szlachetna, z pewném do samowoli usposobieniem, żywego i bujnego temperamentu, jest w zachowaniu się swojém trzpiotowatą, lecz pod wpływem Elżbiety przetwarza się i ona, chociaż nierychło, a nie tracąc swéj żywości i jakiéjś naiwności panieńskiéj, postępuje w doskonałości chrześciańskiéj. Stan jéj serca jest dosyć niezdecydowany. Unikając niemiłych ślubów, oddaje się pod opiekę królowéj Kingi i na jéj dworze poznaje pięknego rycerza Przedwojowica. Wzięta do niewoli, nadzwyczajną pięknością robi wrażenie potężne na „behadyrze" Ajdarze, człowieku gwałtownym, ale w gruncie szlachetnym i miękkiego serca. Naturalnie oświadczenia jego przyjmuje ze wstrętem, ale gdy się dowiedziała o śmierci swego rycerza, gdy nadzieja wyzwolenia rozwiała się, oddała mu rękę, częścią dla ocalenia Elżbiéty i siebie, częścią w nadziei nawrócenia Ajdara na wiarę chrześciańską.

Ocalenie życia branek leżało oczywiście w interesie powieści; inaczéj bowiem przeważna jéj część nie miałaby zupełnie racyi bytu; na-

wrócenie Ajdara jest sprawą podrzędną, o której Ludmiła bardzo łatwo pod działaniem nowych dla niéj w świecie azyatyckim wrażeń zapomina, a o któréj, co dziwniejsza, nawet Elżbieta przyjaciółce swéj od czasu do czasu tylko napomyka. Rzecz się przeciąga i w końcu zewnętrznie załatwia się nie za pośrednictwem wpływu miłości lub rozumowania, lecz za pomocą... kumysu. Kiedy Ajdar ujrzał, że prawdziwy ksiądz chrześciański pije kumys, oświadczył gotowość przyjęcia chrztu od niego, gdy poprzednio wzbraniał się, ponieważ mu ktoś powiedział, iż po przyjęciu chrztu musiałby się wyrzec ulubionego napoju.

Sprawa ta zresztą, jak powiedziałem, mało zajmuje miejsca w powieści, i ostatecznie żadnego wpływowego nie posiada znaczenia. Autorka, pociągnięta malowniczością i ciekawością tematu, użyła całego swego kunsztu pisarskiego na odtworzenie dziejów początku i wzrostu chanów, na skreślenie obrazu stolicy ich w Karakorum, wspaniałości przyjęć dworskich, obrzędów szamańskich, widoków natury nad Bajkałem i Angarą, wreszcie życia tych nielicznych europejczyków, co się różnemi pobudkami kierowani do stolicy chanów dostawali, a więc kupców włoskich, złotników francuskich i ruskich, posłów papieskich, jak Jan de Plano Carpino, Benedykt Polak, Rubruk. Szczegóły historyczne są traktowane trochę po kronikarsku, mało się więc w pamięci uwydatniają; jedna chyba tylko postać szlachetnego i rozumnego Jelju-Czusaja pozostanie w niéj na dłużéj; natomiast krajobrazy i opisy uroczystości dworskich z ich cudami i pieśniami są przedstawione malowniczo i plastycznie, a polotem wyobraźni, fantastycznością i nadzwyczajnością potęgują nieraz zajęcie do bardzo wysokiego stopnia. Ta część dzieła Deotymy, oparta na obszernych studyach dziejowych, a co do obrazów natury na zapamiętanych obserwacyach własnych, posiada największą wartość, jeżeli się ją naturalnie bierze samę w sobie, a nie jako zbyt obszerną część całości kompozycyi. Tu poetka była w swoim żywiole, mogła swobodnie popuścić wodze fantazyi, lubiącéj kąpać się w blaskach przepychu.

Ostatnia część „Branek w jassyrze“ ma znów odmienną od poprzedniéj barwę. W niéj idea zdobywania szczęścia, jeżeli nie ziemskiego, to wiecznego, przez bóle, cierpienia i zupełną rezygnacyą, zasnuwa pomroką widnokrąg powieściowy i sprawia wrażenie nie utworu artystycznego, lecz traktatu ascetycznego, w którym przykłady z życia świętych, powściągających naturalny wstręt dla zyskania zasługi przed Bogiem, są szczegółowo aż do znużenia skreślone. Poetka, z delikatném poczuciem estetyczném, musiała dla miłości idei, pokonać w sobie saméj wstręt podobny, gdy jéj przyszło opowiadać uwolnienie się branek z niewoli wskutek zarażenia się trądem i wędrówkę ich kilkoletnią po

przez Azyą i Europę aż do kraju rodzinnego, w którym zrazu spotykają ich same zawody i klęski. Te dwa cienie wynędzniałych, trędowatych staruszek, snujące się na przestrzeni paruset stronic przed wyobraźnią czytelnika, to dwie zmory tak przygnębiające umysł, że nawet współczucie dla nich zamiera. To téż gotów już czytelnik łatwo uwierzyć w cud, który autorka sprowadza pocałowaniem trędowatych przez Kingę, byleby już raz pozbyć się niemiłego widoku.

Tu dopiéro spotykamy się z Jasiem. Ocalony z niewoli tatarskiéj, o mało nie został utopiony przez krewnego, który czyhał na zagarnięcie jego majątków. Wychował się wśród rybaków, wyrósł na dzielnego, rosłego i silnego, ale zupełnie nieukształconego człowieka. Podczas napadu tatarów na Kraków w 1283 roku, został on tym bohatérem, którego pamiątkę w Koniku Zwierzynieckim lud krakowski przechował. Poznany przez matkę, zajął się serdecznie losem trędowatych i dopóty dzielił ich niepowodzenia, aż wreszcie przy pomocy Kingi odzyskał majątek i odnalazł w zamku żegnanieckim różę jerychońską, daną Elżbiecie przez pielgrzyma, a rzuconą przez Jasia w skrytkę tajemną na chwilę przed napadem Tatarów.

Ani dla branek, ani dla Jana majątek sam przez się nie przedstawiał żadnego powabu. Obrócono zamek na szpital dla trędowatych. Obie kobiety pomimo starości oddały się na usługi nieszczęśliwych, zatapiały się w modlitwie, doznawały widzeń, wreszcie zapadły „w rodzaj nieustannéj, słonecznéj ekstazy,“ marzyły o niebieskiéj Jerozolimie, „gdzie mury są z opalu a baszty z hiacyntu,“ o tych tryumfalnych pochodach, „jakiemi aniołowie przyjmują bohatérów Cnoty,“ a nakoniec „o tych ucztach Miłości, w których dusza dopiéro poznaje, co to jest świętych obcowanie.“ A gdy słuchacze widzieli przed oczyma wyobraźni przesuwające się te widoki, „wszystkich aż brała oskoma do jaknajrychlejszego wynoszenia się z ziemi.“

Po śmierci „branek,“ Jan wszystkie ziemie zapisał na własność szpitala, zarząd jego polecił braciom franciszkanom, a sam wziąwszy tylko różę jerychońską, razem z listami matki wsuniętą pod kapicę, poszedł w świat służyć nieszczęśliwym. Dlaczego wolał pójść służyć gdzieindziéj, a nie we własnym szpitalu? Na pytanie takie odpowiada autorka: „Większa to nierównie ofiara pracować tam, gdzie się jest sługą, niżeli tam, gdzie się jest panem.“

Czytelnik, któryby na te słowa, jak w ogóle na całą ostatnią część dzieła Deotymy zwrócił wyłącznie uwagę, mógłby zrobić sprawozdawcy słuszny napozór zarzut, iż o idei zasadniczéj utworu, o tém wyrzeczeniu się siebie samego na rzecz bliźnich i Boga nie rozszerzył się w odpowiedniéj mierze, jakby ją zbywając lekceważąco.

Idea ta istnieje rzeczywiście w utworze naszéj poetki; ale nie została uplastycznioną z należytą siłą i konsekwencyą. Deotyma nie należy ani do tych, co wierzą poprostu i naiwnie, ani do tych, co namiętnie i fanatycznie, a więc z całych sił swoich pewne zasady wiary wyznają i propagują; przez jéj umysł przechodziły niejednokrotnie prądy wątpienia i rozbioru krytycznego; prądy te były zawsze pokonywane w końcu przez dogmat kościelny, ale przecież nie mogły nie pozostawić po sobie śladów w umyśle. Te ślady nie pozwalają poetce występować z całą bezwzględnością w przedstawieniu i obronie ascetyczno-mistycznego nastroju swoich bohatérek i osób z niemi najbliżéj duchowo związanych, hamują zapęd misyonarski i odbierają bezpośredniość uczuciu religijnemu. Co więcéj, czasami szatanki zwątpienia, a nawet złośliwości ukazują zlekka swe nastroszone główki z poza ramion aniołów i świętych, opromienionych aureolą. Robią to tak dyskretnie, że krytykowi trudno je za czubki pochwytać i wywlec z miejsc, w których tak zręcznie się ukrywają. Czasami nawet taki szatanek przyłapany mógłby udać minę aniołka i powiedzieć, że się tylko niezręcznie wyraził; ale dla każdego, który umié odczuć szczerość i głębokość uczucia, takie zachowanie się i takie tłómaczenie wydać-by się musiało trochę podejrzaném. Dość będzie chyba położyć nacisk na zacytowany trochę wyżéj frazes, iż wszystkich, co słuchali opowiadań staruszek marzących o niebieskiéj Jerozolimie, „aż brała oskoma do jaknajrychlejszego wynoszenia się z ziemi.“ Nieprawdaż, że ten frazes swoją poufałością nie bardzo jest dopasowany do podniosłości marzeń „słonecznéj ekstazy,“ że brzmi tak, jakby wychodził z ust troszeczkę skłonnych do sceptycznego uśmiechu?...

Nie myślę bynajmniéj na ten punkt nastawać; zaznaczywszy swoje wrażenie w tym względzie, spełniłem obowiązek krytyczny usprawiedliwienia się, dlaczego o idei utworu mało mówiłem. Potężnie wypowiedziane i z siłą przeprowadzone uczucia i poglądy muszą być dokładnie rozstrząśnione; ale tam, gdzie pewna niejasność w zasadniczéj myśli zachodzi, gdzie niedotrzymanie tonu się uwidocznia, można po zaznaczeniu takiego stanu rzeczy, dać pókój bliższemu rozbiorowi, bo w ten sposób przedstawiona idea sama się przez się krytykuje, sama się osłabia.

Uogólniając spostrzeżenia nad „Brankami w jassyrze“ zrobione, można powiedzieć, że nie celują one ani rysunkiem charakterów, gdyż nawet główne postacie robią wrażenie sylwetek, nie portretów, ani głębokością i subtelnością analizy psychicznéj, gdyż przebywając tak długo z temi ludźmi, bardzo mało rysów znamiennych ukazała nam autorka, ani żywością akcyi, gdyż bohatérki przez większą część po-

wieści są istotami całkiem biernemi, przypatrują się tylko widokom przed ich oczyma rozwijającym się, a nic nie działają; natomiast jest w nich dużo zajmujących obrazów życia nie tyle polskiego, ile europejskiego wogóle w wiekach średnich, oraz życia azyatyckiego, które tém więcéj zajmują, że są, w naszéj przynajmniéj literaturze, prawie zupełną nowością. Głęboko i serdecznie wzruszyć autorka nigdzie podobno nie potrafiła, chociaż używała środków bardzo silnych, ale zająć wyobraźnią i łagodnie zaspokoić uczuciowość zdołała niejednokrotnie. Dla umysłów młodych i wrażliwych książka ta może być ponętną i zajmującą zwłaszcza w téj części, która ma Azyę za widownią; dla dorastającéj młodzieży podarek to miły.

W porównaniu z dawniejszemi powieściami Deotymy, „Brankom w jassyrze" przyznać należy niewątpliwie pierwszeństwo. I ludzie są tu prawdziwsi i stosunki między nimi lepiéj wystudyowane, i mowa ich, choć w części przynajmniéj, zindywidualizowana, bo chociaż wogóle osoby średnio wykształcone przemawiają stylem autorki, to przecież drobne różnice zauważyć można w użyciu krótszych lub dłuższych zdań, w przyśpieszeniu lub zwolnieniu tempa rozmowy. Nawiasowo tylko dodać można, iż sztuczne tworzenie frazesów staropolskich nie udało się autorce; zazwyczaj jéj archaizmy są błędami językowemi. *P. Chmielowski.*

Dr. Ludwik Finkel. Okopy świętéj Trójcy. Dwa epizody z dziejów Polski. We Lwowie, 1889.

W widłach, jakie tworzy rzeka Zbrucz wpadając do Dniestru, piętrzy się potężna skała wysoko ponad przepaściste brzegi rzek, a na niéj widać ruiny dawnego szańca, zwanego Okopy św. Trójcy. Bardzo mało my dotychczas o téj warowni wiedzieli; drobny szkic dr. Antoniego J. i kilka w drukowanych źródłach porozrzucanych szczegółików—oto wszystko. To téż opowiadanie d-ra F. przedstawia rzeczy wszystkie prawie nowe, gdyż oparte na wyłącznie niemal rękopiśmiennych źródłach; korzystał autor z aktów grodzkich i ziemskich, gdzie wiele znalazł ciekawego materyału, z rękopisów bibl. Ossolińskich, zkąd pierwszorzędnéj wartości dokumenty, odnoszące się do naszéj forteczki, umieścił *in extenso* w dodatkach, oraz z archiwum oławskiego znajdującego się w król. archiwum w Berlinie, wreszcie z papierów Schneidra będących własnością krak. akademii umiej. Pierwsze dwa rozdziały zajmują się ostatnim dziesiątkiem XVII-go wieku, najświetniejszemi czasami dla okopów. Powstały one we dwadzieścia lat po upadku Kamieńca, w r. 1692 za inicyatywą hetmana Stanisława Jabłonowskiego, a miały stanowić punkt oparcia w za-

czepnéj walce z Turcyą, jaka nie ustawała, miały być schroniskiem dla oddziału operującego przeciwko Kamieńcowi, przeszkadzającego mianowicie dowozu żywności dla twierdzy. Oddział ten był dość znaczny, bo wynoszący 4,000 piechoty, 400 jazdy i 30 dział, a komendantem mianowany został Michał Brandt, pułkownik arkabuzeryi. I ztąd prowadził on przez lat kilka bez wytchnienia, szczęśliwie walkę podjazdową, nękając i niszcząc nieprzyjaciela śmiałemi napadami, tak, że sława jego i okopów św. Trójcy „twierdzy cnoty" rozniosła się szeroko po całéj Polsce, a szlachta podolska poleciła Brandta, jako cudzoziemca, w nagrodę za jego czyny, do indygenatu. Gdy on w r. 1696 dla nadwątlonego zdrowia opuścił warownią, komendę nad nią objął również cudzoziemiec Bartsch, który ją dzierżył aż do ewakuacyi Kamieńca po pokoju Karłowickim 1699 r. Kamieniec i Podole wróciły do Polski, a tém samém znikło też znaczenie Okopów, które głównie przeciwko owéj twierdzy podolskiéj działać miały. W XVIII w. Okopy coraz bardziéj upadały; rozpoczęto wprawdzie 1711-go roku, kiedy Turcy z Karolem XII-ym grozili napadem, restauracyą, a inwentarz ceukhauzu z r. 1713 wykazuje, że warownia była wcale nieźle zaopatrzona, ale dopiéro w drugiéj połowie XVIII-go w. zagrzmiały Okopy szczękiem wojennym i zajaśniały szeroką sławą. Podczas konfederacyi barskiéj 1768 r. zamknął się tu Kazimierz Pułaski, podczas gdy brat jego, Franciszek, obsadził sąsiedni zamek żwaniecki i bronił się walecznie przemagającéj sile wrogów, a nie mogąc jéj sprostać, wyprowadził szczęśliwie załogę tajną ścieżką z warowni.

Oto dwa epizody z naszych dziejów, związane z historyą Okopów św. Trójcy, opowiedziane nadzwyczaj zajmująco i barwnie w niniejszéj książeczce d-ra F. Oby osiągła cel, jaki autor w przedmowie wyraził. Dodać jeszcze należy, że w dodatkach znajdujemy pięć ważnych bardzo dokumentów do historyi Okopów od czasów jéj założenia aż do walki konfederatów, a dodatki te przyczyniają się do podniesienia i tak już ważnéj i pięknéj treści książki. Na czele mamy wreszcie udatny wizerunek cynkograficzny ruin kościołka znajdującego się w Okopach, którego zamierzona reastauracya była poniekąd podnietą do napisania tego szkicu. *F. Bostel.*

Seweryn Zarzycki. Stosunek ks. siedmiogr. Jerzego Rakoczego II do Rzpltéj Polskiéj od początku wojny szwedzkiéj do wyprawy tegoż na Polskę w r. 1657. (Sprawozdanie gimnazyum Kołomyjskiego za r. 1889).

O stosunkach Rakoczego II-go do Polski nie mieliśmy dotychczas żadnéj specyalnéj rozprawy w naszéj literaturze; jedynie tylko rozprawka wcześnie zmarłego ruskiego historyka Zaklińskiego: (Sto-

sunki Kozaków z kniaziem Juriem Rakoczym II-im), drukowana w Sprawozd. akadem. gimn. we Lwowie r. 1883, omawia te stosunki za czasów Chmielnickiego. Praca p. Zarzyckiego jest więc pierwszą monografią, w której mamy przedstawione stanowisko siedmiogrodzkiego księcia w obec Polski w czasie wojny szwedzkiéj, lecz nie w całości, ale w ułamku tylko, mianowicie w dwuleciu 1655—7. We wstępie daje nam autor ogólny pogląd na Siedmiogród, jego znaczenie i posłannictwo dziejowe, jako skutek geograficznego położenia, na dynastyą Rakoczych w ogólności, a w szczególności na stosunki Rakoczego II do Polski aż do wybuchu wojny szwedzko-polskiéj w r. 1655; w dwóch rozdziałach (str. 15—62) kreśli stosownie do tematu dalsze ich dzieje na podstawie wyczerpująco wyzyskanych źródeł drukowanych, oraz znacznéj ilości rękopiśmiennych. Dyplomatyczna akcya tego ambitnego księcia, który w czasie walki Szwecyi z Polską wahające i wyczekujące zajmuje stanowisko, patrząc tylko, gdzie i kiedy przyjdzie mu działać, po któréj stronie stanie zniewolony wypadkami, który poduszczany przez przychylne mu stronnictwo w Polsce, oraz nakłaniany przez Szweda, dąży wytrwale do korony polskiéj, przedstawione są w niniejszéj rozprawie jasno i przejrzyście, gruntownie i zajmująco, choć styl chwilami cokolwiek przesadny. Rakoczy długo wyczekujący, a pragnący koniecznie korony polskiéj i pod tym tylko warunkiem godzący się na działanie, zawiera wreszcie w listopadzie r. 1656 sojusz z Karolem Gustawem, oraz traktat rozbioru Polski, na mocy którego nadbaltyckie prowincye (z wyjątkiem Prus książęcych) i Kujawy miała wziąć Szwecya, Prusy książęce i Wielkopolska miały się dostać Brandenburgii, Ukraina miała utworzyć niezawisłe państwo kozackie, a książę siedmiogrodzki miał otrzymać jako król polski i w. ks. litewski resztę, t. j. Małopolskę z Krakowem, Ruś, Mazowsze, Podlasie i Litwę. Tak więc Polska, która po pierwszych klęskach ze strony Szwedów cokolwiek się podniosła była, stanęła powtórnie w obec niebezpieczeństwa jeszcze większego niż przedtém. Szkoda, że autor w tak zajmującéj chwili urywa swoję rozprawę, którą się z zajęciem czyta i którą oby wkrótce doprowadził do końca. *F. Bostel.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Z najobfitszą wiązką nowości „gwiazdkowych“ wystąpiła firma Gebethnera i Wolffa i w roku bieżącym podobnie, jak w poprzednich. Zaznaczyć w nich należy przedewszystkiém staranność o dobry, wyraźny druk, o mocny i czysty papier, o coraz lepiéj zrobione i wykonane ilustracye, — słowem, o nadanie powabu i istotniejszych zalet téj

sukience, w któréj uplastycznione myśli i uczucia wobec dzieci i młodzieży występują. Pod względem treści jest ona wielce urozmaicona i do wszystkich głównych stopni rozwoju umysłowego zastosowana. Nazwiska znanych dobrze w literaturze dziecinnéj autorek i autorów z góry już uprzedzają o wartości karmi duchowéj, przez nich młodym czytelnikom podanéj.

Najprzód zwracają na siebie uwagę trzy książki, napisane przez wielce utalentowaną a z wielką szkodą dla piśmiennictwa wychowawczego zmarłą M. J. Zaleską. Jedna z nich przeznaczona dla starszych jest naśladowaniem dzieła francuskiego Prévost-Duclos'a i przedstawia zajmujące przygody podróżników w Afryce środkowéj p. n. „Gwiazda Sudanu“ (str. 271 z 7-ma rycinami Juliana Maszyńskiego). Druga dla młodszych, 10—12-letnich, jest zbiorem powieści i opowiadań na tle historycznem i społecznem p. n. „Odgłosy gór i dolin“ (str. 302 z 7-ma obrazkami M. Kotarbińskiego). Wreszcie dla najmłodszych skreśliła powiastki i bajeczki p. n. „Iskierki“ (str. 214 z 8-ma rycinami De-Lavaux).

Druga autorka, znana już dobrze z kilku pożytecznych i interesujących prac dla młodzieży, p. Zuzanna Morawska, obdarzyła w tym roku dziatwę ładnem, żywo prowadzonem opowiadaniem o dziecinnych i młodzieńczych latach Bolka przezwanego późniéj Wstydliwym i o jego wiernym, pełnym poświęcenia towarzyszu Gosławie z Rożana. Opowiadanie ma napis: „Giermek książęcy“ (str. 353) i ozdobione jest ilustracyami p. Juliana Maszyńskiego.

Autorka głośnéj mapy poglądowéj Królestwa Polskiego, p. Jadwiga z Zakrzewskich Wójcicka, bardzo przystępnie spopularyzowała w formie opowiadawczéj wiele wiadomości z zakresu fizyologii zwierząt i roślin, objaśniając je stosownemi obrazkami. Przytem nie pomija uwag, mogących wpłynąć na uszlachetnienie uczuć i wogóle na rozwój duchowy czytelników. Książka jéj ma napis „Mój dobroczyńca“ (str. 379; dołączone ryciny wykonał Jan Owidzki).

W końcu parę słów o dziełku autora, który w literaturze dla dzieci dał się poznać z wielce zajmującéj i dobrze przedstawionéj „Bitwy pod Raszynem.“ Napisał on potem kilka powiastek z początkowych dziejów Polski; miały one wogóle znaczne powodzenie, chociaż krytyka musiała im wytykać niejedną niewłaściwość pedagogiczną. Obecnie ogłosił opowiadanie historyczne z XI-go wieku p. n. „Chrobry“ (str. 241 z 6-ma rycinami W. Łuskiny). Pod względem interesu, jaki obudzić ono może w czytelnikach, nic mu zarzucić nie można, lecz lepiejby było, żeby w umyśle ich pozostała jaśniejsza postać znakomi-

tego króla, aniżeli ta, jaką autor narysował; rubaszności i bójek tu zadużo.

Nakładem p. Edwarda Kolińskiego wyszła „Książeczka rymowana dla dzieci i piosennik dla młodocianego wieku przez dawnego „Przyjaciela dzieci“, t. j. przez p. Jana Prusinowskiego napisana (str. 86). Nie wszystkie wprawdzie wierszyki tu zawarte mogą być dla młodszych dziatek zrozumiałe, a więc zajmujące, ale nawet najmłodsze wysłuchają z przyjemnością zabawnie przedstawionych „Strasznych przygód Wójcia,“ wypełniających przeszło trzecią część książeczki, i powtarzać będą niektóre udatne krakowiaki. „Piosennik“ najmniéj podobno nazwie swéj odpowiada; mało w nim prawdziwego liryzmu przystępnego dla dzieci; ale niejeden obrazek może być odczytany z przyjemnością i pożytkiem, gdyż budzi spółczucie dla biedy, a poszanowanie dla pracy.

— *Maryan Gawalewicz*, **Komedye jednoaktowe i monologi.** Serya druga (Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1890, str. 311). Wszystkie, zdaje się, pomieszczone tu utwory, przeszły już próbę publicznego przedstawienia, czy na scenach zawodowych czy amatorskich; wszystkie mają zwykłe zalety swego autora: swobodę i potoczystość dyalogu, jasność myśli, niewymuszoność uczucia, styl staranny, gładki, miły, nieraz wykwintny i dowcipny. Tematem wspólnym jest miłość w najrozliczniejszych stopniach, fazach, przypadkach, miłość, której na przeszkodzie nie stają ani różnice majątkowe, ani społeczne, ani wyznaniowe, tylko etyka lub kaprys. Niekiedy temat ten wywołuje sytuacye pełne siły, jak np. w „Dzisiejszych“ i częściowo w „Barkaroli;“ zazwyczaj jednak rozwinięcie jego bywa spokojne, zabawne czy komiczne.

Z dramatów dwa najlepsze („Dzisiejsi“ i „Figiel Benwenuta“) były już w swoim czasie rozpatrywane w „Ateneum,“ gdy wychodziły w osobnych książeczkach; z innych głębszym pomysłem odznacza się „Lekcya deklamacyi,“ gdzie został uwydatniony bardzo zręcznie fakt przejmowania się utworami sztuki w takim stopniu, że już na uczucia życiowe nie pozostaje miejsca, a zgrabnie przeprowadzoną bluetką jest „Guzik.“ Wogóle utwory dramatyczne p. Gawalewicza mają raczéj charakter sztuk konwersacyjnych, niż akcyą nabrzmiałych; przyznać przytém należy, iż rozmowa nigdy u niego nie bywa banalną.

Monologi są wszystkie ładne i dowcipne; odwieczny motyw przekomarzania się Adamów z Ewami, a w mniejszéj części obrazki ze świata dziecinnego („Milusińscy.“ „Smok“), wyzyskany został przez p. G. umiejętnie z domieszką niedrażniącéj złośliwości, która owym przeko-

marzaniom się smaku dodaje. Za najlepsze poczytałbym: „Przy mazurku Szopena,“ „Śmieszka“ i „Optymista.“ Odrębną od innych cechą odznacza się „Jąkała,“ gdzie autor chciał okazać, że „w życiu częściéj forma niż treść sprawia wrażenie i że najtragiczniejsza sytuacya, zamiast grozy, może tylko śmiech wywołać.“

Pod względem języka, który jest piękny i poprawny, zwrócilibyśmy tylko uwagę autora na to, iż używanie wyrazu *więcéj* w zdaniach przeczących jest zanadto ulubionym przezeń galicyzmem i że lepiéj jest mówić przyrzec niż *przyrzeknąć* (str. 267).

= **Trefniś.** Nowele, obrazki i szkice *Wincent. Rapackiego.* (Warsz. nakł. „Echa muzycz., teatral. i artyst.“ 1890, str. 177). Bardzo różnorodną treść i wartość posiadają utwory pomieszczone w tym nowym zbiorku prac utalentowanego dramaturga i powieściopisarza. Jedne są tylko anegdotami lub wspomnieniami („Kartka z saskiéj epopei,“ „Kamień węgielny,“ „Na ołtarzu sztuki); inne prócz cechy anegdotycznéj przedstawiają znamienny jakiś rys charakteru, np. fałszywéj „Naiwnéj,“ lub zamiłowania w przedstawieniach scenicznych w „Lichwiarzu teatralnym,“ albo dobroć serca u kobiety pięknéj a płochéj („Złota Amelka“), albo poważnego i rozumnego traktowania zadań teatru w „Dyrektorze obywatelu“ t. j. Juliuszu Pfeifrze, albo robienia poważnie rzeczy błahych („Powaga gminy“); inne wreszcie są opowiadaniami, w których charakterystyka ludzi w akcyi się maluje. Najobszerniejszym w téj ostatniéj kategoryi jest „Romans Antka Grudy,“ który czytelnicy „Ateneum“ mieli sposobność poznać w tém piśmie. Z krótszych wymienić należy „Trefnisia,“ od którego cały zbiorek otrzymał napis; jestto historya Józefa Sroki, dziecka ludu, wziętego w pierwszym zaraniu wieku do zabawy przez biskupa lubelskiego, następnie wojaka w czasach napoleońskich, który temuż biskupowi życie ocalił. — Wogóle biorąc, najlepsze, najbardziéj charakterystyczne są zarysy „z za kulis,“ które z natury swego zawodu autor najlepiéj i najbliżéj mógł zaobserwować; na drugim miejscu położyć można opowieści „z życia,“ a w nich za najlepszą uznać „Powagę gminy;“ dopiéro na ostatku wymienić potrzeba szkice „z dziejowego pomroku.“ Styl prawie wszędzie prosty, naturalny, poprawny: w obrazku jedynie „Hundsfeld“ napotykamy pewną patetyczność, brzmiąco obco dla dzisiejszego czytelnika powieści. Język wogóle jest czysty, bez domieszki zwrotów cudzoziemskich.

= *Prof dr. J. B. Oczapowski.* **Roztrząsania i rozbiory w naukach politycznych i ekonomicznych z lat kilkunastu zebrane** 1889. Oprócz oświadczenia autora na wstępie, że miał na oku w swém dziele „zadania dydaktyczne i krytyczne“, żadnego nie znajdujemy objaśnie-

nia co do myśli przewodniéj „Roztrząsań“ i nie byliśmy téż w stanie śladu jéj odszukać. Pierwsze trzy „monografie“ dotyczą świata starożytnego. Pierwsza ma na celu obalenie zdania Monteskiusza „jakoby kula ziemska za J. Cezara mieściła na sobie 50 razy więcéj mieszkańców, jak w zeszłém stuleciu“ (18); przy pomocy starych, hypotetycznych obliczeń de Jonnès'a udaje się autorowi z pomyślnym skutkiem w niwecz obrócić aforyzm z przed pół wieku. Rozprawa o „Monteskiuszu i jego uczniach“, pisana, jak powiada autor od 1875—1886 r. (8), jest, zdaje się, główną i najobszerniejszą. Jądro jéj stanowi ustęp o teoryi podziału władz, przeciw któréj oświadcza się autor (97—121). Wszakże niewiele naucza, traktując tę kwestyą w sposób zupełnie ogólnikowy; kiedy zaś w osobném „uzupełnieniu“ (116—121) uważał za stosowne „rozprawić się“ z drobną broszurką, występującą w obronie podziału, niepojętém jest, jak mógł w zupełności pominąć obszerne specyalne traktaty Fuzier-Herman'a (1880) i Saint-Girons'a (1881), nagrodzone we Francyi, a całkiem odmiennéj od autora tendencyi. Winniśmy bowiem zaznaczyć, że w sprawie téj, uważanéj przez prof. O. za „przesądzoną i pogrzebaną“ (116), paryska Akademia nauk mor. i pol. uznała za właściwe rozpisać przed kilku laty specyalny konkurs. Że zresztą ani o Monteskiuszu, ani o jego uczniach nic nowego autor nie mógł powiedzieć, wynikało już ze sposobu, w jaki niewolniczo trzyma sie przestarzałych komentarzy de Tracy'ego i Constant'a, ignorując w zupełności nowsze praca Sclopisa, Janssen'a, Schwartz'a, Sorel'a i innych. Upodobanie autora w odbieganiu od przedmiotu, objawiające się na każdéj niemal stronicy, staje się w „monografii“ o Mont. wprost szkopułem w czytaniu. Niepodobna np. dojść w żaden sposób, skąd z powodu starego Ferguson'a wzięło się na całych 4 stronicach (152—156) dowodzenie, że „konsekwentny ewolucyonizm prowadzi do barbarzyństwa wyrafinowanego, z tą różnicą, że Hunnowie nie znali dynamitu ani nauk przyrodzonych“, lub pioruny miotane na „etykę rozwojową lub epikurejską“. Studyum o „francuskiéj Radzie Stanu“ wyjęte z wykładów uniwersyteckich autora, oparte jest przeważnie na dawniejszych podręcznikach ogólnych; zaledwie w krótkim przypisku (207, 208) znajdujemy „wypisaną“ z Ducrocq'a treść nowéj ustawy 1879 r. Wobec tego nie winno dziwić paradoksalne zdanie autora, że „dzisiejsza Republikańska Rada Stanu“ niewiele różni się od poprzedniczek swych, które „umiały zarząd kraju w kleszczach administracyjnéj utrzymać przemocy“. Prof. O. nie dotyka wcale sprawy juryzdykcyi administracyjnéj w ogólności, któréj zniesienia zupełnego wraz ze zniesieniem „nicości pompatycznéj zwanéj Radą Stanu“ (D'Avenel) domagają się dziś we Francyi za przykła-

dem Belgii i Włoch. Powierzchowne artykuły o Erskine May'u, Sheldon-Amos'ie, z pominięciem głównych prac tych uczonych, omawiają pomniejsze ich rozprawy; ten sam charakter mają sprawozdania z Baudrillart'a i Eisenhart'a; najwięcéj stosunkowo zajęcia budzi końcowe studyum o Nax'ie, stanowiące podobno zaczątek większéj pracy o „fizyokratach polskich“ (531). Zrzekając się polemiki z dziwacznemi twierdzeniami autora na str. 86, 112, 348, 381, 395 i in., nie możemy nie zwrócić uwagi na osobliwy zaiste sposób traktowania przez autora najpierwszych uczonych europejskich. Na str. 53 czyni Laurent'owi zarzut, który zaledwie byłby na miejscu wobec egzaminowanego studenta, że „czytał „Politykę“ (Arystotelesa) chyba wyrywkami“; na str. 344 karci May'a, że „nie przyswoił sobie należytych informacyi“ o kwestyi socyalnéj i wyrzuca mu „brak należytych informacyi o włościanach francuskich“ (336); na str. 417 zapewnia, że „nieznane jest Sheldon'owi i rzadko komu z państwoznawców (!) dzieło Lieber'a“— wszystko oświadczenia najzupełniéj gołosłowne i dowolne. Najwięcéj jednak dostaje się Spencer'owi. „Nie mając pojęcia o literaturze fachowéj niemieckiéj; wogóle tak jak pozytywiści socyologiczni, nie wyłączając ich akolitów warszawskich, pozbawiony prawniczego poloru umysłowego i wiedzy odpowiedniéj,... nonszalancyę mógłby szan. autor (Spencer) zostawić blagierom dziennikarstwa pozytywistycznego“ (256). Naodwrót znów, a z równą bezkrytycznością, niezłą lecz wszelkiego samodzielnego znaczenia pozbawioną broszurę Lafitte'a mianuje autor „ostatniém słowem nauki“ (349) a autora „jednym z politycznych myślicieli najbystrzejszych i najroztropniejszych“ (343). Wreszcie nie wiemy, czy zastąpienie krytyki przez wykrzykniki „*bravissimo*“ (399) „aha“ (405), „*sapienti sat*“ (ciągle, 105, 287, 319, 344, 419 i t. d.), jest na miejscu w książce naukowéj. Niedbała korekta stała się powodem setek (literalnie) pomyłek drukarskich; wyrazy cudzoziemskie, greckie zwłaszcza, do niepoznania zostały poprzekręcane.—*Szymon Askenazy.*

— *Miakotin.* **Kwestya włościańska w Polsce w epoce jéj podziałów** (w języku ruskim). Petersburg, 1889, str. 229. Właściwym celem autora, jak to zresztą tytuł wskazuje było skreślenie położenia włościan w dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj, pod koniec XVIII wieku, oraz ocenienie reform ówczesnych dążących do polepszenia bytu stanu włościańskiego. P. Miakotin zebrał skrzętnie ośmdziesiąt kilka broszur z ówczesnéj epoki, przejrzał ważniejsze dzieła zastanawiające się nad położeniem włościan w XVIII wieku i na téj podstawie oparł swój sąd historyczny, który dla dawnych rządów republikańskich nie bardzo pomyślnie wypadł.

Przedewszystkiém zaznaczyć należy, że p. Miakotin nie zamknął

się w granicach monografii. Mając zamiar skreślić obraz stosunków włościańskich w XVIII wieku, rozpoczął od samego początku dziejów polskich a do wykonania takiego zadania nie posiadał odpowiedniego naukowego materyału. Pobieżność też szkicu historycznego włościan polskich, w jaki p. Miakotin niespodziewanie zaopatrzył swoję pracę, jest bardzo widoczną. Przytwierdzenie do gleby włościan polskich jest oznaczone na wiek XV, a rozszerzenie się sielskiéj uprawy na wiek XVI. Zdaniem p. Miakotina instytucya przytwierdzenia panowała już wszechwładnie w Polsce XV wieku a następstwem jéj była wielka uprawa XVI wieku. Wywodów swych nie popiéra autor żadnemi przekonywającemi dowodami a w dodatku nadmienić należy, że nie znał najważniejszych prac polskich, odnoszących się do historyi włościan w dawnéj rzeczypospoiitéj. Nawet cenne studya księcia Tadeusza Lubomirskiego nie zostały należycie wyzyskane przez autora, który, jak się to z toku pracy pokazuje, czytał je tylko pobieżnie.

Położenie włościan w XVIII wieku, a zwłaszcza w drugiéj jego połowie, jest skreślone daleko staranniéj, choć i tu źródła dziejowe nie zostały poddane należytemu kryteryum. P. Miakotin nie pamięta bowiem o tém, że dowody historyczne czerpał głównie z broszur politycznych stronnictw, które torowały drogę reformom sejmu czteroletniego. Broszury powyższe, choćby nawet pisane były przez uczonych téj miary co Staszyc, musiały poddać się przewodniéj tendencyi politycznéj i służyć w pierwszym rzędzie celom reformy. Jakkolwiek więc broszury XVIII wieku są materyałem dla historyka niezmiernie cennym, jednakże za dowód dziejowy bezkrytyczny służyć nie mogą. Nasamprzód brak im spokoju, towarzyszącego pracy uczonego, a następnie prawda nie jest ich wyłącznym celem, lecz raczéj dążą do takiego przedstawienia barwnego i zręcznego prawdy, aby programowi stronniczéj reformy, jaknajlepiéj usłużyć. Zwykle téż broszury polityczne przedstawiają przeszłość czarno i odstraszająco, aby tém lepiéj wyszedł różowy obraz stworzony w przyszłości reformami. Publicyści najpoważniejsi ani wahali się z pojedyńczych wypadków anormalnych wysnuwać ogólnych teoryi, aby tylko usłużyć stronniczym tendencyom. Tymczasem zadanie dzisiejszego historyka spoczywa w odszukaniu i odtworzeniu prawdy dziejowéj, nie zaś w przejmowaniu się zbyteczném prądami, ogarniającemi publicystów XVIII wieku.

P. Miakotin zebrał skrzętnie publicystyczną pracę XVIII wieku, lecz nie zawładnął nią należycie. Dla tego też w skreśleniu położenia włościan w drugiéj połowie XVIII wieku, przeważa jaskrawy koloryt w pesymistycznym kierunku, zapożyczony wprost od publicystów XVIII wieku. Dążenie do polepszenia bytu włościan ujawnione

przez szereg magnatów, następnie zbiór praw sądowych kanclerza Zamojskiego, dalej ustęp IV konstytucyi 3 maja, doznały od p. Miakotina bardzo surowego sądu. Jeden tylko uniwersał Połaniecki Kościuszki, mógł się pochlebnym poszczycić sądem, lecz i tu pośpiesza p. Miakotin z sądem pozbawiającym wszelkiéj illuzyi. Jeżeli bowiem Kościuszko pragnął polepszenia doli ludu wiejskiego, sama szlachta stawiła zacięty opór jego reformom, które przeszły bez śladu i nawet zostały przez naród zapomnianemi.

Opracowanie faktyczne monografii p. Miakotina jest dość pełne, lecz dalekie od doskonałości. Za to historyozoficzne sądy są powierzchowne i zdradzają na każdym kroku brak studyów porównawczych i niezbędnéj rozwagi. W każdym razie uwzględnić należy niewprawne doświadczenie w autorze występującym z pierwszą pracą naukową, oraz pewną staranność w zebraniu źródeł. Pragnąćby należało jednak, aby zasada, którą przyjął p. Miakotin jako przewodnią, a mianowicie studyowania *sine ira et studio*, była w przyszłych jego pracach starannéj przeprowadzoną. *A. R.*

— *Źródłowski.* **Szkolnictwo i zarząd takowego** (Das Schulwesen und seine Verwaltung). Lipsk. 1889. str. 84. Autor powyższéj monografii zdobył sobie poważne stanowisko w dziedzinie nauki prawa rzymskiego, oraz cywilnego austryackiego. Jakkolwiek wykładał w uniwersytecie lwowskim na wydziale prawa w języku polskim, jednakże prace swe uczone publikował przeważnie w języku niemieckim, co sprawiło, iż mimo wysokich zalet mało były znane naszemu społeczeństwu. Rzecz o szkolnictwie zawiera program reformy szkół niższych, średnich i wyższych w Austryi, przyczém znajduje się krytyka istniejących stosunków w krajach Habsburgów.

O ile dr. Źródłowski zajmuje się reformą szkolnictwa, o tyle uwagi jego nie pozbawione są wartości naukowéj. Znać, że autor zastanawiał się nad szkołą i jéj zadaniem a z nowemi prądami w Niemczech zapoznał się dokładnie. Nie zawsze jednak ton spokojny i przedmiotowy odnaleść się daje w jego pracy. Ile razy téż przychodzi mu mówić o stanowisku kościoła w szkole, tyle razy ogarnia go gniew, skłania do wycieczki namiętnéj, nie licującéj z powagą uczonéj pracy. Lecz nietylko kościół pozbawia dr. Źródłowskiego równowagi umysłowéj, ile razy bowiem wypada autorowi mówić o ministeryum oświaty w Austryi lub o uniwersyterach w Galicyi, tyle razy znać w nim nerwowe rozdrażnienie.

Dr. Źródłowski jest przeciwnikiem czesnego, czyli opłat za wykłady pobieranych przez profesorów uniwersytetu i przytacza w udowodnieniu bardzo poważne motywa. Przy téj sposobności zarzuca je-

dnak profesorom uniwersytetów galicyjskich, że spekulują na pobieraniu czesnego i dyet i dla tego zaniedbując naukę, starają się o mandaty poselskie lub do rady państwa. Niewątpliwie pożądaném jest, aby działalność profesora skupiała się głównie w uniwersytecie: z tém wszystkiém zarzut uczyniony przez dr. Źródłowskiego profesorom galicyjskim jest przesadzony i mylnie komentowany. Nie spekulacya osobista, lecz brak ludzi, a więc potrzeba publiczna, wciąga ludzi nauki do życia publicznego. Uniwersytet cierpi na tém niezaprzeczenie, lecz stan dzisiejszy należy uważać za przejściowy i mieć nadzieję, że rzeczy zmienią się na lepsze. Takich namiętnych zarzutów, jak przytoczony, znajduje się w pracy dra Źródłowskiego więcéj. Dziwić one mogą słusznie tych, którzy przywykli w pracach poprzednich cenić w autorze niezwykłe wykształcenie prawnicze i zdolności. *A. R.*

= *Łuczakowski.* **Niemiecki język w szkołach średnich Galicyi.** (Die deutsche Sprache an den Mittelschulen Galiziens). Lwów. 1889. str. 54. Pracę powyższą należy uważać za wymotywowaną odpowiedź na zarzuty uczynione przez profesora uniwersytetu lwowskiego, Wernera, stanowi nauczycielskiemu w Galicyi za to, że zaniedbał naukę języka niemieckiego w szkołach średnich téjże prowincyi. Dr. Łuczakowski przedewszystkiém przypomina prof. Wernerowi, że język niemiecki nie kwitnął bynajmniéj przed 1868 r. w Galicyi, pomimo to, że o owych czasach wspominają zwolennicy germanizacyi z nigdy nieutulonym żalem. Następnie autor wykazuje, że stan nauczycieli w Galicyi zasłużył sobie na częste pochwały, oraz na uznanie władz rządowych, które z rozwoju nauki języka niemieckiego w szkołach galicyjskich zadowolone były.

W celu zaś doprowadzenia w tym względzie szkół do wyższego stopnia rozwoju proponuje autor następujące wnioski: 1) konferencye dyrektorów w celu zastanowienia się nad potrzebą reformy nauki języka niemieckiego; 2) dodatek do dotacyi dla bibliotek nauczycielskich, przeznaczony specyalnie dla germanistyki; 3) reformę rady szkolnéj krajowéj, jako ciała samoistnego, odłączonego od władzy politycznéj, w skład któréjby także wchodził jeden profesor języka niemieckiego na wszechnicy; 4) ułatwienie egzaminów przez opuszczenie rozprawy filozoficzno-pedagogicznéj; 5) zaprowadzenie nanowo nauczycieli klas niższych (*Gramatikallehrer*) dla klas najniższych.

Dr. Jahner w czasopiśmie „Muzeum“ (zeszyt 11, rok 1889) wyraził przekonanie, że praca p. Łuczakowskiego odpiéra znakomicie zarzuty, podniesione przeciwko stanowi nauczycielskiemu w Galicyi i w tém polega jéj prawdziwa zasługa, idzie jednak w obronie istniejących stosunków niekiedy za daleko. I tak p. Łuczakowski zaznacza

z należytym naciskiem te gimnazya, które liczą po kilka sił kwalifikowanych dla języka niemieckiego, lecz pomija milczeniem zakłady, w których wcale nie ma germanisty, lub gdzie nawet nauczyciel kwalifikowany języka niemieckiego nie udziela. Do uczenia języka niemieckiego, zdaniem autora, wystarcza chodzić jakiś czas na wykłady w Czerniowcach, Pradze, Wrocławiu i t. d.; do tego grona dolicza autor tych starszych nauczycieli, którzy przed r. 1868 gimnazya pokończyli, mimo iż na innem miejscu przytacza poważne świadectwa, że i wówczas nie szczególnie po niemiecku umiano, i otrzymuje w ten sposób zwyżkę *(Ueberschuss)* sił zdolnych do uczenia języka niemieckiego.

Pomimo jednak licznych zastrzeżeń dr. Jahnera w jakie zaopatrzył swą krytykę, wyraża on p. Łuczakowskiemu wdzięczność za podjętą pracę i poleca ją gorąco wszystkim kolegom. *A. R.*

= **Algoritmus** t. j. nauka liczby, polską rzeczą wydana przez księdza Tomasza Kłosa 1538, wydał dr. Maryan A. Baraniecki profesor uniwersytetu Jagiellońskiego. Wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie (Biblioteka pisarzów polskich). Kraków. 1889, 8-ka mała, str. XXIV, 56. Jest to bardzo staranne wydanie pierwsze arytmetyki polskiéj, któréj zaledwie trzy egzemplarze zachowały się do dnia dzisiejszego. Wstęp wydawcy zawiéra objaśnienia językowe i metrologiczne; do tekstu dodane są przypisy miejsc trudniéj zrozumiałych. Dzięki temu wydaniu książeczka Kłosa stała się przystępną dla badaczy naszéj przeszłości naukowéj.

= *Dr. Jan Kowalczyk.* **O sposobach wyznaczenia biegu ciał niebieskich.** Praca uwieńczona w roku 1883 nagrodą z fundacyi imienia Mikołaja Kopernika, ustanowionéj przez gminę miasta Krakowa. Wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków. 1889. 8-ka większa, str. 414 i LXXIII stron tablic. Jest to pierwsze dzieło w języku polskim traktowane o sposobach wyznaczenia biegu ciał niebieskich. Zgodnie z programem konkursu, ogłoszonego przez Akademią, zajmuje się zadaniem o wyznaczeniu orbit bez uwzględnienia perturbacyi. Rozpada się ono na 7 rozdziałów; w pięciu pierwszych mowa jest o orbitach planet, komet, w szóstym o drogach gwiazd podwójnych, w ostatnim o orbitach gwiazd spadających. Liczne przykłady objaśniają teoryą. Wydanie bardzo staranne.

= **Prace matematyczno-fizyczne,** wydawane w Warszawie przez *S. Dicksteina*, *Wł. Gosiewskiego*, *Edw.* i *Wł. Natansonów.* Tom II, zeszyt I. Warszawa. 1890. 8-ka większa, str. 244 i 1 tablica litografowana. Zeszyt ten tomu II-go przewyższający objętością tom I-y, wydany przed rokiem, zawiéra 14 rozpraw z dziedziny matematyki, fizyki i chemii teoretycznéj, a mianowicie: J. Sochackiego „Uwagi o roz-

winięciu pewnych funkcyi na szeregi“, Wł. Kretkowskiego: „Przyczynek do teoryi eliminacyi“, M. P. Rudzkiego „O rytmicznych oscylacyach morza“, J. Ptaszyckiego: „O sprowadzeniu pewnych całek Abelowych do postaci normalnéj; Wł. Natansona „O teoryi cynetycznéj zjawiska Joule'a“; J. Kowalskiego: „O hartowaniu szkła“, oraz „O warunkach, którym stale przewodnictwa cieplnego kryształów czynić zadość powinny“. Następuje przekład rozprawy Helmholtza p. t.: „Termodynamika zjawisk chemicznych“, dokonany przez F. Tomaszewskiego, artykuły S. Dicksteina „O prawie najwyższém Hoene-Wrońskiego w matematyce“ (artykuł I); S. Kępińskiego „Wartości szczególnych trójek punktów trójkąta“; M. A. Baranieckiego „O pewném wnioskowaniu analityczném w tomie I „Prac“; Wł. Gosiewskiego: „Dowód prawa Gaussa, które dotyczy błędów przypadkowych“; M. Ciemniewskiego: „Z dziedziny rachunku całkowego“; wreszcie J. J. Boguskiego i J. Zaleskiego: „O prędkości działania chemicznego pomiędzy glinem metalicznym i ługami alkalicznemi“.

— *J. Todhunter.* **Algebra początkowa,** tłómaczył z angielskiego *Wł. Kwietniewski*, b. docent szkoły głównéj. Wydawnictwo „Przeglądu Pedagogicznego“. Warszawa. Gebethner i Wolff., 8-ka mała, str. 800. Dobry przekład pożytecznego dziełka z dodaniem nie znajdujących się w oryginale rozdziałów o podzielności liczb, o ułamkach ciągłych, o równościach nieoznaczonych i o logarytmach.

— *Feliks Kucharzewski.* **O początkach piśmiennictwa technicznego w Polsce,** z 1-ą tablicą podobizn drzeworytów podanych w dziele „Architekt Polski“ z r. 1690. Warszawa, 1889, 8-ka, str. 40. Rozprawka niniejsza jest interesującym przyczynkiem do słabo u nas uprawianéj historyi wiedzy. Autor rozbiera w niéj głównie dzieło jezuity Solskiego, które jest pierwszą mechaniką praktyczną po polsku wydaną i zestawia prócz tego wiadomości o pierwszych pracach technicznych w Polsce. Za pierwszą książkę z téj dziedziny poczytuje dziełko geometryczne Grzepskiego (1556); oderwane wszakże wiadomości techniczne napotykają się, jak pokazuje p. K. w niektórych dziełach z pierwszéj połowy XVI go stulecia.

— W roku ubiegłym 14 listopada s. s. Ces. Odeskie Towarzystwo historyi i starożytności obchodziło 50-letni jubileusz swego założenia. Na uczczenie tego obchodu jeden z rzeczywistych członków tego towarzystwa, prof. uniwer. odeskiego p. Władysław Jurgiewicz wydał bardzo interesujący „Zarys historyczny 50-lecia Ces. Odes. Tow. hist. i staroż. 1839—1889“. W zarysie tym znajdujemy dwie jego rozprawy: 1) „O poszukiwaniach i odkryciach archeologicznych w Rosyi południowéj, dokonanych przed utworzeniem Odes. Tow. hist. i star.“

2) „Zarys hist. działalności Odes. Tow. hist. i star". Nadto: „Wykaz artykułów zamieszczonych w zapiskach Tow. od 1844 po 1889 r."

Oprócz tego wydało Towarzystwo na uczczenie téjże pamiątki jubil. XV tom swych „Zapisek" niemniéj ciekawy i obfity w treść archeologiczną. Znajdujemy tu pomiędzy innemi artykuł W. Smirnowa, pod tytułem „Chaństwo krymskie pod zwierzchnictwem Porty otom. w XVIII w.", oraz E. Felicyna „Poczet tamh, czyli znaków rodowych górali zachodnio-kaukaskich", chociaż wzory rysunkowe jedynie.

Pomiędzy nekrologami zaś zgasłych niedawno członków Towarzystwa, znajduje się wspomnienie dość sympatyczne J. I. Kraszewskiego przez prof. W. Jakowlewa, w którém wszakże mylnie podany Turyn, jako miejsce jego śmierci.

Przy okoliczności, nie możemy tu się powstrzymać od wypowiedzenia: jaki to żal, że tacy pracownicy dla nauki, jak prof. Jurgiewicz w Odesie, podobnie jak najczynniejszy może członek towarzystwa archeol. w Tyflisie p. Zagórski, nie zaznaczyli dotąd jeszcze swéj działalności jakiém sprawozdaniem choćby w piśmiennictwie własném!

= *Kondakow* i *hr. Tołstoj.* **Starożytności ruskie** (po rusku) zeszyt I i II (1888, 1889) 4-o. Eleganckie, tanie i nader ważne dla archeologów i historyków wydawnictwo szybko postępuje naprzód; wydawcy zapowiadają już trzeci zeszyt. Ze względu na ściśle naukowe przedstawienie rzeczy, na powagę autorów i ich sumienność, dzieło to godne jest wszelkiego uznania. Znawcy zapewne znajdą tam ważne przyczynki i dla historyi naszéj sztuki. Bajeczna taniość (zeszyt w oprawie karton. in 4-o 147 rys. i 160 str. kosztuje 1 rs.) przyczyni się do popularności tego wydawnictwa. *L. Sz.*

= Dr. A. Sempołowski, kierownik Stacyi oceny nasion przy Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, ogłosił sprawozdanie z czynności téj stacyi od d. 1 lipca 1888 do d. lipca r. 1889. Obejmuje ono wyniki 714 prób nasion, a więc o 268 prób więcéj aniżeli w roku poprzednim. Rzecz ta powinna zainteresować każdego rolnika, który nie uważa staréj rutyny za alfę i omegę wiedzy agronomicznéj.

= Na posiedzeniu Wydziału **histor.-filozoficznego** Akademii umiejętności w Krakowie 22 października r. z. sekretarz zdawał sprawę z wydawnictw Wydziału i Komisyi: 1) „Pamiętnik," tom VII-my; 2) „Scriptores rerum Polonicarum." Tom XIV-ty: Dziennika domu zakonnego Tow. Jezusowego u św. Barbary w Krakowie, lat jedenaście 1609—1619.

Prof. Smolka czytał ustęp swéj pracy: „O najdawniejszych pomnikach dziejopisarstwa rusko-litewskiego." Autor zwraca uwagę na stosunek pomiędzy Latopisem W. Książąt Litewskich a tekstem ła-

cińskim, niedawno odkrytym w Metryce koronnéj przez dr. Prochaskę p. n. „*Origo regis Jaggelo et Wytholdi ducis Lithuanie.*“ Nie podziela zdania dr. Prochaski, jakoby należało uważać *Origo* za fragment przekładu Latopisu z języka ruskiego na łaciński. Jest to przekład osobnego pomnika, który miał za przedmiot historyą wojny domowéj między Jagiełłą a Kiejstutem. Zastanawiając się nad właściwościami i tendencyą tego pomnika, autor wykazuje, że powstać on musiał niezawodnie w kołach blizkich Witołdowi, pod jego bezpośrednim wpływem i z jego polecenia. Witołdowi zależało snać na tém, żeby tak a nie inaczéj pojmowano sprawę domowych zamieszań w rodzie Gedymina, w których on sam brał udział tak wybitny. Rezultat ten stwierdza się przez porównanie tego pomnika z memoryałem Witołda, który spisano około r. 1390 dla Zakonu Niemieckiego, w czasie powtórnego pobytu Witołda u Krzyżaków.

Na posiedzeniu tegoż Wydziału 12-go listopada r. z. sekretarz zdawał sprawę z wydawnictw Akademii i czynności Komisyi. Od ostatniego posiedzenia wyszły następujące wydawnictwa: 1) „Rozprawy i Sprawozdania“ z posiedzeń Wydziała historyczno-filozoficznego. Tom XXIV-ty i 2) „Scriptores rerum Polonicarum,“ Tom XIII-ty: Archiwum Komisyi historycznéj, Tom V.

Dr. Bronisław Dembiński streszcza wyniki swego dzieła p. t. „Rzym i Europa przed rozpoczęciem III okresu Soboru Trydenckiego. Celem niniejszéj pracy jest przedstawić tę chwilę, w któréj Rzym ostatnie czynił usiłowania, aby przez sobór przywrócić i utwierdzić jedność Kościoła, w któréj katolickie rządy i dwory, zaniepokojone wewnętrznym rozstrojem państw i wojen domowych, pomimo wszelkich podejrzeń i wątpliwości zawsze jeszcze po soborze wyczekiwały pokoju i usunięcia rażącéj przepaści między światem katolickim a reformacyą czy rewolucyą. Praca obliczona na dwa tomy.

W Komisyi **historycznéj** na posiedzeniu 4-go listopada 1889 roku, sekretarz, zdając sprawę ze stanu wydawnictw, oznajmia o wyjściu tomu II-go Dyaryusza Wielewickiego w wydaniu ks. dr. Chotkowskiego i V tomu Archiwum Komisyi; przedstawia także 2 pierwsze arkusze wydrukowane Bibliografii historycznéj polskiéj, wydawanéj przez dr. Finkla i dr. Sawczyńskiego.

Prof. Smolka składa Komisyi w 6 tekach i paru konwolutach odpisy archiwalne z Rzymu, zebrane w ciągu wyprawy roku 1888/9. Zawierają one korespondencyą nuncyusza Hannibala z Kapuy z lat 1586—1591 i legata nadzwyczajnego, kardynała Hipolita Aldobrandini z lat 1588 i 1589. Nadto zgromadzono uzupełnienia do poprzednio zebranych materyałów, jako to *Posseviniana*. sprawozda-

nie o nuncyaturze niemieckiéj i t. d., także wiadomości o samém archiwum watykańskiém, notaty z archiwum florenckiego.

P. Smolka podaje wiadomość o dotychczasowych badaniach dr. St. Krzyżanowskiego w archiwach głównie klasztornych nad dyplomatami dawniejszemi polskiemi, zaznacza konieczną potrzebę podjęcia prac przygotowawczych regestów polskich i radząc, aby z obecnéj podróży archiwalnéj dr. Krzyżanowskiego, skorzystać w tym celu, wnosi, aby go wezwać do rozszerzenia jéj zakresu, oraz uchwalić ponowną subwencyą dla umożliwienia całego zadania; komisya zaś wniosek ten uchwala.

Sekretarz zawiadamia o odezwie ze Lwowa w sprawie drugiego Zjazdu historyków polskich, który urządza Towarzystwo Historyczne lwowskie, a który się ma odbyć w lipcu 1890 roku we Lwowie, i oznajmia o krokach porozumienia się dotychczas przedsięwziętych.

W Komisyi **archeologicznéj** na posiedzeniu 4-go listopada 1889 roku, dr. Łepkowski otwiera posiedzenie wspomnieniem zgonu ś. p. Ignacego Bema, wieloletniego współpracownika Komisyi. P. Ziemięcki zdaje sprawę z wycieczki do Boczowa w powiecie bocheńskim, gdzie znajduje się kopiec, zajmujący powierzchni 632 sąż. kw., około 8 metrów wysoki. Sprawozdawca doszedł do rezultatu, że nauka nicby nie zyskała na rozkopywaniu tego kopca, gdyż mogiłą w ścisłém znaczeniu tego wyrazu nie jest, lecz jest częścią daléj ciągnącego się wzgórza, które odcięto z umysłu kopanym stawem. W razie, gdyby kopiec sięgał o wiele odleglejszéj przeszłości, mógłby być kopcem wskazującym kierunek brodu przez rzekę Szreniawę przechodzącego, jakie to kopce w Poznańskiém i Prusach Zachodnich, znajdują się w sąsiedztwie dawnych brodów na starożytnych szlakach handlowych.

Następnie p. Ziemięcki odczytał rozprawę: „Dobczyce pod względem archeologicznym.“ Autor stwierdza, że zamku tego nikt inny stawiać nie mógł, jak Sebastyan Lubomirski, pierwszy z téj rodziny starosta dobczycki. Pod względem planu i konstrukcyi architektonicznéj zamek ten najbardziéj zbliżonym był do zamku w Iłży. Z pozostałych zabytków sztuki, przechowanych mianowicie w dolnéj, drewnianéj kaplicy w mieście, p. Z. wnosi, że kościół w Dobczycach miał w przeszłości dwa peryody: peryod gotycki i renesansowy. Z pierwszéj epoki przechowało się kilka obrazów na złoconych tłach, stanowiły one jeden tryptyk, będący wielkim ołtarzem pierwotnego kościoła. Główna środkowa część tryptyku z drugiéj połowy XV w. przedstawiała Najśw. Maryę Pannę w pośrodku między Ś-tym

Janem Chrzcicielem i Ś-ym Janem Ewangelistą. U spodu obrazu jest herb Zadora. Do tego samego peryodu należały dwa stacyjne obrazy na złoconych tłach; piękna Pietà rzeźbiona w drzewie i polichromowana, oraz monstrancya srebrna złocona z wieżyczkami czyli gotycka. Do epoki przejścia między gotycyzmem, a renesansowym późniejszym kościołem Sebastyana Lubomirskiego, należą dwa dzwony pięknemi napisami opatrzone, z których jeden niemiecki gotycki, drugi rzymskimi majuskułami bardzo pięknéj, wczesnéj renesansowéj formy, fundowany był przez Pawła Czernego w r. 1540. Sebastyan Lubomirski wystawił nowy kościół z kamienia i cegły, z którego przechowały się: ołtarz wielki, chrzcielnica z czerwonego marmuru, rzeźbiona w cherubiny, i nagrobek również z czerwonego marmuru, który wystawił Sebastyan Lubomirski swemu półrocznemu synowi, także Sebastyanowi, w r. 1594.

Na posiedzeniu tegoż Wydziału 29-go listopada r. z., sekretarz zdał sprawę z pracy dr. Witołda Rubczyńskiego p. t.: „O stałych czynnikach w rozwoju duchowym człowieka.“ Dzieli się ona na dwie główne części. W pierwszéj autor zajmuje się znaczeniem badań nad czynnikami rozwoju wobec ogólnego filozoficznego poglądu na świat. W drugiéj, zastanowiwszy się nad osobną metodą badań takich w dziedzinie rozwoju ludzkiego, zaznacza dwa jego elementarne czynniki kształtujące sympatyą i wrażliwość dla formy, w ich sposobie objawiań się i wzajemnéj zależności.

Na posiedzeniu ściślejszém Wydział uchwala pracę powyższą umieścić w XXV-ym tomie „Rozpraw“ i zatwierdza na członka Komisyi historycznéj dr. Stanisława Krzyżanowskiego, na członków komisyi archeologicznéj: dr. Adryana Baranieckiego, p. Władysława Bartynowskiego, dr. Włodzimierza Demetrykiewicza, dr. Ant. Karbowiaka, p. Leonarda Lepszego, p. Józefa Pollera, dr. Stanisława Tomkowicza i p. Michała Żmigrodzkiego.

Tegoż dnia na posiedzeniu Komisyi historycznéj zastanawiano się ogólnie nad programem wydawnictw Komisyi na r. 1890, przyczém prof. Smolka podniósł potrzebę wydania rychłego materyałów do panowania Stefana Batorego, zebranych w archiwach rzymskich. Uchwalono zaś, że dyrektor zbiorów i wydawnictw ma przedstawić Komisyi szczegółowy program dalszych wydawnictw. Przystąpiwszy do wyborów, wybrano przewodniczącym Komisyi hr. St. Tarnowskiego, dyrektorem zbiorów i wydawnictw prof. W. Zakrzewskiego, a sekretarzem prof. A. Lewickiego. Nakoniec toczyła się dłuższa dyskusya z powodu przyszłego Zjazdu historycznego we Lwowie.

— Wydział **filologiczny** Akademii odbył posiedzenie 18 października r. z. Sekretarz zawiadamia o wyjściu z druku VII-go tomu „Pamiętnika Akad. Wydz. filol. i histor.-filozof.,“ który zawiera następujące rozprawy: d-ra J. Kallenbacha: Czwarta część „Dziadów,“ studyum porównawcze; d-ra Wierzbickiego Daniela: „Żywot i działalność Jana Heweliusza;“ d-ra Smolki St.: „Kiejstut i Jagiełło;“ d-ra Kawczyńskiego Maks.: „Porównawcze badania nad rytmem i rytmami.“ III. Rytmika romańska; d-ra Tretiaka: „Ślady wpływu Mickiewicza w poezyi Puszkina.

Dr. Kallenbach odczytał zapisek o nowych materyałach do historyi dramatu w Polsce, na podstawie dzieła P. O. Morozowa p. t.: „Historya teatru ruskiego.“ Tom I (Do połowy XVIII-go wieku). Bardzo staranna monografia ta o początkach i rozwoju poezyi dramatycznéj w Rosyi, zawiera wiele cennych wskazówek dla badaczów polskiéj literatury. Objawem charakterystycznym starego teatru ruskiego jest zupełna zależność od zachodniéj cywilizacyi. W literaturze dramatycznéj ruskiéj znać systematyczne spóźnianie się: bierze ona to z Zachodu, co już tam przekwitło i zestarzało się. Dramat ruski przechodził fazę zależności od dramatu polskiego (jezuickiego, szkolnego), komedyi niemieckiéj, wreszcie pseudo-klasycznéj francuskiéj. Nas przedewszystkiém obchodzi faza polsko-łacińskiego wpływu. Poświęcił jéj Morozow wiele trudu. Do utworów scenicznych, zwłaszcza małoruskich, odszukał on w rękopisach Biblioteki Petersb. pierwowzory polskie lub łacińskie, pochodzące przeważnie z kolegiów jezuickich. Wpływ utworów polskich jest tak silny, że Mor. w wielu ustępach swéj książki raczéj historyą polskiéj, a nie ruskiéj dramatycznéj poezyi traktuje. Wobec zaginionych wielu utworów scenicznych polskich z XVII w., zdumiewa ilość odszukanych przez Mor. rękopisów polskich z XVII w., nieznanych nam zgoła, nie uwzględnionych dotychczas w tak ubogiéj literaturze dramatu polskiego. Mor., szukając głównie pierwiastków ruskiego dramatu, zbyt skąpe podał wyjątki z rękopisów polskich, abyśmy mogli nabrać dokładnego pojęcia o znaczeniu tych sztuk dla literatury naszéj. Będą to przeważnie dramata szkolne, grywane w kolegiach jezuickich, słabe pod względem budowy i intrygi—ważne zawsze jako pomniki języka polskiego. W kilku wyjątkach, podanych przez Mor., zdaje się, że mamy do czynienia z zabytkami starszemi (z XVI wieku), które w kopii późniejszéj z XVII lub XVIII w. się przechowały. Morozow zna najdokładniéj dramata i dyalogi polskie, ogłoszone przez Wójcickiego, Kraszewskiego i Chomętowskiego i dokładnie zaznacza, co bierze z druku, a co z rękopisu nieznanego. Sygnatury rękopisów są tak dokładne, że wynalezienie ich

w Bibliotece publicznéj w Petersburgu nie powinno być trudne. P. Kallenbach przedstawił inwentarz tych zabytków dramatycznych, godnych uwagi, sporządzony na podstawie książki Morozowa.

Na posiedzeniu tegoż Wydziału 8-go listopada r. z., prof. Wł. Łuszczkiewicz odczytał rozprawę p. t.: „Przyczynek do historyi architektury dworu szlacheckiego w XVI-ym wieku w Polsce.“ Autor zbadał pewną liczbę zabytków architektury domowéj wsi polskich i przyszedł do przekonania, że typ drewnianego dworu polskiego z ubiegłych wieków, odznacza się brakiem warunków estetyczno-architektonicznych, a to wskutek przerwy w tradycyi średniowiecznéj budowli drewnianych. Przerwa ta, zdaniem autora, nastąpiła w wieku XVI, kiedy pod wpływem rozwijającéj się kultury renesansowéj zaczęto budować dwory murowane zamiast drewnianych. Autor wyróżnia dwie kategorye zabytków mieszkań szlacheckich téj epoki, obie noszące nazwę zamku: do 1-éj należą grody, to jest warowne miejsca, służące do obrony i schronienia dla całéj okolicy; do 2-éj murowane, w sobie zamknięte budynki, dwory szlacheckie. Autor zastanawia się nad charakterystyką tych zabytków, biorąc za podstawę studya swe, wykonane w Dębnie, Drzewicy, Szymbarku, Jeżowie, Korabnikach, oraz widoki dworów z publikacyi Raczyńskiego i Puffendorfa.

Następnie prof. Morawski złożył rozprawę d-ra Zygmunta Celichowskiego p. t.: „Przyczynek do życiorysu Marcina Kwiatkowskiego alias Płachty z Różyc,“ oparty na kilku listach z archiwum królewieckiego. Pokazuje się z nich, że pisarz ten, który także na polu nowatorstwa religijnego znaczną odegrał rolę, przebywał w r. 1561 na uniwersytecie w Lipsku, wysłany tam kosztem Albrechta, księcia pruskiego. Następnie, wskutek polecenia króla polskiego, przyjął go książę pruski na tłómacza i sekretarza do spraw polskich. Kwiatkowski, na tém stanowisku pozostając, dorobił się znaczniejszych pieniędzy, za które nabywa około roku 1577-go wioskę Kwiatków. Z listów królewieckich wynika daléj, że Kwiatkowski „*illegitimo toro*“ był zrodzony, co nam tłómaczy poniekąd dwoistość jego nazwiska.

Następnie sekretarz przedstawił pracę p. Ed. Porębowicza p. t.: „Nazwy plemion i ludów słowiańskich w staro-francuskich Chansons de Geste,“ którą Wydział uchwalił przesłać dr. Maksymilianowi Kawczyńskiemu we Lwowie z prośbą o ocenę.

Na posiedzeniu 2 grudnia r. z., p. Morawski zdał sprawę z pracy p. Gustawa Lettnera p. t.: „Istota, budowa i stanowisko agonu w komedyach Arystofanesa.“ Rozprawa jest wypadkiem samodzielnych badań autora nad kwestyą, o ile szczegółowym twierdzeniom i teoryom, zawartym w dziele d-ra T. Zielińskiego: „Gliederung der altattischen Komödie“ (Lipsk, 1885) istotnie odpowiadają Arystofanesowe utwory.

Właściwy przedmiot rozprawy odnosi się wprawdzie przedewszystkiém tylko do jednego ich działu, wymagał on jednak dokładnego rozważenia całego ustroju genialnych kreacyi ateńskiego komedyopisarza. Autor przyznaje dr. Zielińskiemu słuszność co do kilku najważniejszych spostrzeżeń i wywodów, stanowiących podstawę jego dzieła.

Następnie prof. Morawski złożył pracę p. dr. St. Windakiewicza p. t. „Protokóły nacyi polskiéj w Padwie.“ Jest to opis księgi, obejmującéj przeciąg czasu od r. 1592 do 1733 i wypisy protokółów. W końcu odbyło się posiedzenie ściślejsze, na którém uchwalono wzmiankowaną rozprawę p. G. Lettnera odesłać do komitetu wydawniczego, pracę zaś p. Windakiewicza odstąpić komisyi historyczno-literackiéj.

== Wydział **matematyczno-przyrodniczy** odbył posiedzenie 21-go października r. z., na którém sekretarz przedstawił już w t. XVII-ym „Pamiętnika“ wydrukowaną pracę d-ra J. Siemiradzkiego: „Mięczaki głowonogie brunatnego jura w Popielanach.“ Prof. Olszewski zdał sprawę z dwóch prac prof. Br. Pawlewskiego, jednę: „O działaniu kwasu chloro-sulfonowego na olejek fenylo-gorczyczny,“ drugą: „O kwasie orto-tolylo-β-imidomasłowym.“ Sekretarz odczytał sprawozdanie prof. E. Godlewskiego o pracy p. K. Miczyńskiego p. t.: „O zmarzaniu tkanek gruszy.“ W dyskusyi nad rezultatami téj pracy zabierali głos pp. Rostafiński, Janczewski, Karliński i Olszewski.

Na posiedzeniu ściślejszém sekretarz zawiadomił, iż na konkurs z fundacyi ś. p. ks. A. Jakubowskiego, którego termin kończy się dopiéro d. 31 grudnia 1890 r., nadesłano już na temat: „Sposoby suszenia jarzyn i owoców“ jednę pracę pod godłem: „Mrówka XXIX.“ Rozprawy pp. Pawlewskiego i Miczyńskiego, zgodnie z wnioskami referentów, uchwalono przesłać do komitetu wydawniczego, prace zaś świeżo nadesłane oddano do opinii członków Wydziału. Wreszcie sekretarz przedstawił preliminarz dochodów Wydziału na rok 1890-ty w kwocie 17,285 złr. 70 ct.

Na posiedzeniu 29-go listopada r. z. prof. Franke zdał sprawę z pracy p. Gosiewskiego: „O ciśnieniu kinetycznem w płynie nieściśliwym i jednorodnym.“ Prof. Godlewski przedstawił rozprawę p. Prażmowskiego: „Brodawki korzeniowe grochu. I. Etiologia i historya rozwoju brodawek,“ nad którą zabierali głos: pp. Cybulski i Godlewski; oraz pracę p. Oleskowa: „Teoretyczne podstawy uszlachetniania drzew. I. Budowa i sposób wzrostu pędów gruszy.“ W tym przedmiocie przemawiali pp. Janczewski i Karliński. Sekretarz odczytał opinią pp. Nowickiego i Kreutza o rozprawie p. Siemiradzkiego: „Fauna kopalna brunatnego jura w Popielanach, Część druga.“ Powyższe rozprawy uchwalono przesłać komitetowi wydawniczemu dla ogłoszenia ich w pismach Wydziału.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Pod koniec wieku.—Czego się spodziewamy od ostatniego lat dziesiątka. — Wojownicy, poeci, myśliciele. — Mgławica w życiu i literaturze. — Prawo mechaniczne w prasie.—Pismo pedagogiczne i ogół. — Kto odpowiada za wartość pisma nauczycielskiego, czyli lepienie garnka z suchego piasku.—Zmiana w redakcyi. — Zadanie p. Dawida. — Jakie książki mamy dla dzieci? — Miałki morał i niezdrowa fantazya.—Wielcy beletryści dla małych czytelników. — „Pamiętnik chłopca.“ — „Serce“ Amicisa. — Złota oprawa i brylanty. — Choroba Włoch i książka Amicisa.—Przekład. — Sprawozdanie i bilans roczny Banku ziemskiego. — Uwagi o emigracyi.

A więc docieramy do ostatniego dziesiątka wieku XIX-go.

Dziwny bo wiek. Czasami, niby pajac, stroił się w zbyt nań przestronne szaty swego poprzednika, czasami udawał chłód filozofa, który trzeźwość posuwa do cynizmu, a rozsądek do bezdusznéj negacyi. Obok świetnych zdobyczy naukowych—ostateczny zamęt pojęć. Jedni przeklinają kończący się wiek, drudzy — błogosławią, bo dla jednych jest zaprzańcem, co się zrzekł świętego spadku idei, dla drugich dobroczyńcą, który dał więcéj, niż śmiałe nadzieje pożądały.

W zbliżającém się dziesięcioleciu przypadnie cały szereg rocznic wiekowych. Wszak sto lat temu rodziła się wśród potoku krwi, szczęku żelaza, przy odgłosach porywającego marszu Francya dzisiejsza. Od końca do końca Europy kilkakrotnie, niby zaraza, przeszła druzgocząca stopa wojny. Wiek XVIII-ty kończył się, jak dramat efektowny, nadzwyczajnie, przy fajerwerkowym blasku zapału, uniesienia.

Jak się skończy wiek XIX-ty? Czy będzie miał co do przekazania swemu następcy?

Dziś właściwie ludzie od starego wieku spodziewają się tylko jednéj jeszcze—wojny, ale wojny takiéj, na jaką nie stać było ani ojców, ani dziadów, ani pradziadów naszych. Nie mieli oni ani tylu lu-

dzi na zmarnowanie, ani prochu bezdymnego, ani dział rewolwerowych. Nie będzie to już efektowny finał z przed laty stu, kiedy jeszcze było miejsce na uniesienie i bohatérstwo. Jest pewne, bo konieczne, że nigdy w tak krótkim czasie nie zginęło tylu ludzi, ilu ich zginie prawdopodobnie w ostatniém dziele kończącego się stulecia. Potomstwo, mówiąc o nas, przedewszystkiém ten objaw przypominać sobie będzie.

Niegdyś walczyli klasycy z romantykami — dzisiaj poza wydawniczemi i osobistemi konkurencyami trudno dopatrzéć wybitnych kierunków literackich, trudno dopatrzéć skupienia. Kilka wielkich talentów stoi odosobnionych, czasem wywołuje lichych naśladowców, ale nie są oni sztandarem, nie są przywódcami, nie mają towarzyszów broni. Nie ma stronników realizmu i idealizmu, nie ma „naturalistów,“ nie ma „dekadentów“ — wszystko zatarte, zamglone, wszystko idzie luzem, wszystko się rozsypuje na ziarnka pojedyncze, jak piasek pozbawiony ożywczéj wilgoci. Taką jest literatura, takiém jest życie całe.

Prasa posiada niby monopol wyłącznego dostarczania strawy umysłowéj, szpalty jéj wymija nie wiele dzieł i te, jak roślina deszczu i słońca, potrzebują poparcia prasy. Ale nie wszystkie jéj organy są jednakowo potężne i szczęśliwe. Układ dziennikarstwa warszawskiego dostarczyłby poważnego argumentu stronnikom mechanicznego poglądu na świat: prawa fizyczne znalazły tu najściślejsze zastosowanie. Im treść lżejsza, témbardziéj idzie w górę. Pisma poważniejsze, chociażby bardzo nawet popularne, biedują i koło każdego Nowego Roku występuje kwestya ich bytu.

Do takich pism należy „Przegląd Pedagogiczny.“ Nie może być sporu o to, czy pismo takie jest potrzebne społeczeństwu? Potrzebuje go ta garstka szkół i nauczycieli, jaką posiadamy, a jeszcze więcéj rodziny. Kosztuje tylko pół rubla na miesiąc. Zdawałoby się, iż mieć powinien prenumeratorów tysiące. Tymczasem nawet liczba setek jest bardzą niską i bez udziału starań i nacisku pewnego, byłaby jeszcze niższą.

Kto temu winien? Przedewszystkiém publiczność szersza nie czuje dotąd *potrzeby* czytania czegokolwiek bądź innego, prócz artykułów politycznych i powieści. Naturalnie zdarzy się, iż przy sposobności ten i ów przeczyta jakiś artykuł inny, ale to już uważa za wyjątek i za zasługę niejako. Zrozumienia, iż we wszystkich sprawach życia można się czegoś dowiedzieć od nauki, wcale nie ma. Co więcéj, wszelkie „nowinki“ poczytywane są za przesąd niedorzeczny. Dotąd ludzie się bez tego obchodzili i dobrze było. Zdarzyło mi się widziéć energiczny opór ze strony osoby, skądinąd inteligentnéj, gdy temperaturę wody na kąpiel dla dziecka mierzono termometrem, nie zaś łokciem własnym.

Wychowanie jest trudną rzeczą; każdy ojciec i każda matka wiedzą o tém: bębny krzyczą, nie słuchają, jeden wlezie gdzieś i oko sobie podbije, drugi majtki połacha na nic, trzeci objé się i zachoruje. Ustrzedz od tego wszystkiego trudno, kłopotów co niemiara — ale cóż na to wszystko książka zaradzi? To też ogłoszenia o istnieniu „Przeglądu Pedagogicznego“ przesuwają się mimo oczu, jak wiadomość o sprzedaży owsa, gdy kto wcale nie ma koni. Nikt o tém nie słyszał, i nikomu na myśl nie przyszło, żeby przy wychowaniu dzieci radzić się książek lub pisma. Przepowiednie pogody w kalendarzu lub „Kuryerze Porannym,“ odsłonięcie tajnych myśli Bismarcka — to co innego. Nie jestto nawet lekceważenie, ale poprostu niewiadomość, myśmy cywilizacyjnie nie dorośli do tego, iżby czytywać pismo pedagogiczne, zupełnie jak partacz w Kikole nie będzie, bo nie może, korzystać z organu, poświęconego ślusarstwu.

Nie koniec na tém. „Przegląd pedagogiczny“ przechodził kilkakrotnie z rąk do rąk i był zawsze—przepraszam—dość słaby. Słowo to nie jest bynajmniéj zarzutem dla redaktorów, to streszczenie trudności tego rodzaju wydawnictwa. Żaden redaktor, najgenialniejszy, nie potrafiłby wydawać dobrego dziennika w kraju ubogim w piszących. „Przegląd pedagogiczny“ mógłby być pismem dobrém, gdyby był rzeczywiście organem ogółu nauczycieli, gdyby ci nauczyciele za obowiązek swój uważali utrzymanie go na pewnéj wysokości, gdyby każdy pojedyńczo i wszyscy razem słabość pisma poczytywali za swoję własną winę, gdyby istniało poczucie odpowiedzialności całego ciała za jedyny organ wychowawczy, jakiego społeczeństwo ma prawo oczekiwać od specyalistów-pedagogów. Tymczasem nigdy tak nie było. Gdy jedni brali się do pracy, drudzy uprzedzali z góry, że nic z tego nie będzie, gotowali się do krytyki, i z radością niemal witali każdą rzecz nieudolną. Taka krytyka w redakcyi byłaby przykładaniem ręki do wspólnego, a pożytecznego dzieła, po za nią była dawaniem folgi zgryźliwości, o którą w pedagogu nie trudno.

Pewien stroiciel fortepianów rodem z nad Wisły, ale przez lat wiele zamieszkały w Paryżu, tłómaczył mi, iż Francuz każdy pojedyńczo to baran, ale w kupie tworzą siłę rozumną i zdolną do czynu; Polak każdy ma i rozum, i pogląd pewien na rzeczy, i pojęcie co w jakim wypadku zrobić należy, ale Polacy razem zebrani—barany. Prostemu rzemieślnikowi wybaczyć należy małą wybredność w doborze słów, ale bodaj czy on racyi nie miał. Niech, co chcą, mówią pesymiści, u nas jest wiele talentów, wiele głów otwartych, co więcéj, napotkać można charaktery imponujące, cnoty hartowne, wysokie poczucia obowiązków obywatelskich, ale to wszystko błyszczy, gdy chodzi o pracę,

o stanowisko indywidualne. Wszelka wspólna robota jest lepieniem garnka z suchego piasku. Wszędzie jak w literaturze. Sienkiewicz jest wielki talent, ma swoje literackie ideały, występuje z niemi energicznie i umié ich bronić, ale osobiście wpływu Sienkiewicz nie wywiera żadnego, nie skupia koło siebie zastępu współbojowników, ani on się do nich nastroić, ani oni go znieśćby nie potrafili.

Wspólna robota wymaga ustępstw, wymaga niejednokrotnie zaparcia się pewnych cząstek siebie samego. U nas, gdy kto upatrzy w sobie coś np. do pana X, to już za nic w świecie w jednym szeregu z nim nie stanie i ma to sobie za zasługę. Nie ma co mówić, to stałość i moc przekonań, ale sprawa publiczna leży odłogiem, obsiewa się złém ziarnem. Gdy kto chce przyjść z pomocą „Przeglądowi Pedagogicznemu“, to udział swój tak z góry owaruje, że inni, również samodzielni ludzie, na żaden sposób przystać nie mogą: albo będziecie tak robić, jak ja sobie uplanowałem, albo „*veto*“, usuwam się od wszystkiego. Cóż tu zrobić, kiedy każdy zdanie swoje ma za prawdę przeczystą i niewątpliwą, a wszystko inne za hańbę.

Ostatnim redaktorem „Przeglądu“ był p. Łagowski; wytrwał, albo ściśléj przemęczył się na tém stanowisku lat kilka. Obecnie usuwa się i ciężar bierze na młodsze barki p. Dawid. Osoba redaktora jest całkiem odpowiednią. Należy on do szczupłéj u nas garstki pedagogów, którzy zadanie swoje traktują ogólnie, nie zaś z punktu pojedyńczego przedmiotu, jest w poważnym stylu uczonym, który bardzo czynnie zajmuje się sprawami praktycznemi wychowania. Można być pewnym, że na nowém stanowisku gwiazdą przewodnią będzie dlań nie sporna jakaś doktryna, lecz istotne potrzeby społeczeństwa. Chodzi więc o to, czy p. Dawid potrafi pokonać dwie przeszkody, o których mowa: czy zdoła przemówić tak donośnie, aby go usłyszano daleko, w miasteczkach prowincyi i w dworach wiejskich; czy potrafi ugłaskać drażliwość kolegów, czy potrafi zjednoczyć ich w swojéj redakcyi do wspólnéj pracy nad spełnieniem wspólnego obowiązku?

Pierwsza trudność dałaby się może pokonać, gdyby najpopularniejsze organy prasy użyczyły swego poparcia, druga — niewiem jak z nią sobie p. Dawid poradzi. To coś jak przeciśnięcie się przez ucho igielne, jak spojenie ognia z wodą, jak konieczność wprzęgania do jednego wozu raka, łabędzia i szczupaka. Zdarza się jednak, że zamiłowanie do dzieła, że wytrwałość i energia łamią przeszkody, napozór niepokonalne, szczerze życzymy szanownemu redaktorowi, aby mu się powiodło jaknajświetniéj, a jeżeli zdoła postawić „Przegląd Pedagogiczny“ na mocne nogi, poczytamy, mu to za wielką zasługę.

Jeśli wśród ogółu jest jakie zapotrzebowanie pedagogiczne, to

tylko na książki dla dzieci. Nie można jednak powiedzieć, abyśmy posiadali wielką obfitość tego produktu w dobrym gatunku. Jest kilka rzeczy, istotnie mogących zainteresować małego czytelnika i przynieść mu korzyść, ogromną ilość jednak porównałbym — przeprosiwszy znowu — do sieczki. Na dnie dosyć ckliwych powiastek zwykle dziecko znajduje jakiś miałki morał, przestrzegający ruszania szklanych przedmiotów, lub plamienia odzieży. Naturalnie starszym cokolwiek i bardziéj rozwiniętym dzieciom to nie wystarcza. Rodzice, pragnący wszczepić jakieś pojęcia szersze, obywatelskie, a wszczepiać je można i należy bardzo wcześnie, znajdują niewielką pomoc w literaturze, bo książek takich jest niewiele. Najpopularniejsze przekłady przenoszą dzieci gdzieś poza oceany, do równika lub pod bieguny, aby podniecić w sposób niezdrowy fantazyą, a uwagę oderwać od rzeczy otaczających. Naturalnie byłoby niesprawiedliwością oskarżać o wszystko biedną naszą literaturę, to jednak jest zdaje się pewną przyczyną, że bardziéj utalentowani pisarze nie wpadają na myśl skomponowania téż czegoś dla dziatwy. Z czasem to może przyjdzie, kilku głośniejszych beletrystów zgodziło się już naginać swe pióro do pojęć ludowych.

Jaką zaś książkę dziecinną stworzyć może wielki talent dał dowód Edmund Amicis dziełem, które na język polski przełożyła niedawno pani Marya z Siemiradzkich Obrąpalska p. t. „Pamiętnik chłopca".

Rzecz się dzieje w Turynie. Uczeń klasy trzeciéj szkół niższych, 8-io czy 9-cio letnie dziecko z inteligentnéj sfery mieszczańskiéj spisuje swój pamiętnik. Na ławie szkolnéj wraz z nim siedzą chłopcy różnych stanów, różnych usposobień, różnéj wartości moralnéj: są tam dobrzy i serdeczni koledzy, śmieszni i bardzo biedni, dzielni i niedołężni, źli i złośliwi. Bohater pamiętnika jest sprytnym i dobrze wychowanym malcem, sam umié robić właściwy wybór pomiędzy kolegami i zachować się właściwie względem tych, co warci sympatyi, i tych, co na nią nie zasługują. Ile zaś razy się potknie, skrzywdzi kogo lub obrazi, rozumni rodzice umieją skierować go na drogę właściwą. W tém wszystkiém nie ma ckliwego morału, bo czytelnika porywa akcya, lubi on wraz z autorem pamiętnika i nie lubi pewnych postaci, razem z nim oburza się i unosi, żałuje niewłaściwego postępku bohatera, gdy ten sam żałuje.

Cała jednak moralna i obyczajowa strona w wyborném dziele Amicisa to tylko złota oprawa, misternie wykuta w tym celu, aby autor miał gdzie poosadzać brylanty. A brylanty skrzą się, ile razy jest sposobność mówienia o... Italii.

Najwięcéj jednak światła jasnego odbijają w sobie opowiadania, małe powiastki, jakich stary nauczyciel dostarcza co miesiąc uczniom. Są to poprostu arcydzieła. Nietylko dziecko, ale osoba dorosła bez silnego wrażenia, bez łzy w oku przeczytać ich nie zdoła. Są tam opowiedziane czyny bohaterskie chłopców z różnych stron Włoch, najczęściéj za treść służą wypadki wojenne z niedawnéj przeszłości.

Prócz tego, że śliczną książkę Amicisa pragnąłbym zalecić wszystkim rodzicom i poradzić, aby rozdział po rozdziale czytali ją swoim dzieciom (dla dzieci samych może nieraz być zatrudną, zresztą należy ją czytać częściami, zbyt wiele kartek mogłoby zanadto wstrząsnąć nerwy dziecka).

Jeszcze parę słów z powodu Amicisa. Nie mogę powiedzieć, żebym miał wielkie zaufanie do Włochów. Wreszcie ten Crispi jest jakiś taki niewyraźny. Tysiące potrzeb niezałatwionych, a oni rujnują się na wojnę, chociaż nikt ich dziś naprawdę nie krzywdzi. Wszystko to wygląda trochę podejrzanie. W literaturze panowali jacyś chorzy mistrze — pesymiści. Mówcy parlamentarni większości, przywódzcy partyi rządowéj, znaczna część prasy — wszystko to chwilami zakrawa na karykaturę Francuzów, dobrodziejów, którym, Bóg wié za co, wygrażają. Kręcą się tam wszyscy niby zarażeni gorączką influenzy, zdrowia narodu na dorobku mało jakoś tam było widać.

Książka Amicisa stanowi dowód przeciwny. Za dni upadku Rzymu nie znoszono barw jaskrawych, ubierano się w jakieś kolory wyblakłe, zgniłe. Ten drobny szczegół jest bardzo charakterystyczny, świadczy niewątpliwie o braku zdrowia. Dziś též naśladownictwo zwiędłych lub zgniłych liści jest bardzo modne, a coś podobnego panuje w literaturze. Silne szarpnięcie uczuć wyższych poczytywane jest za coś niewłaściwego. Doskonałością—lot nizki, dotykanie spraw poziomych; drażnienie słabostek mizernych. Taka moda, tego wymaga gust panujący. Tymczasem Amicis zwrócił się śmiało w stronę inną, nie uląkł się tematów wzniosłych, nie uląkł się tonu wysokiego. Czuć siłę, czuć zdrowie. Autor jest zwykle odbiciem stanu otoczenia swego.

Miałbym tylko to i owo do zarzucenia przekładowi, nie jest on może niepoprawny, ale tłómaczka nie dotrzymała kroku autorowi. Stąd miejscami nuty fałszywe, stąd jakieś nienaturalne frazesy, jakby wystrugane niezdarnie z drzewa. Włosi bardziéj gustują w przesadzie niż my; ustęp piękny po włosku, w dosłownem tłómaczeniu razić będzie; takie arcydzieło trzeba było przelać artystycznie.

Wyszło w tych czasach „Sprawozdanie i bilans roczny (do 30 czerwca r. z.) Banku ziemsk. w Poznaniu“. Dotychczas są to zawiązki,

dla tego w sprawozdaniu znajdujemy więcéj wywodów teoretycznych i spostrzeżeń niż cyfr i danych dokładnych. Ogólna suma, jaką mógł rozporządzać bank, sięgała prawie 600 tysięcy marek. Pieniądze leżały w papierach publicznych; to téż dywidenda wynieść mogła zaledwie 1%, któréj nie wypłacono, lecz dopisano do zysków przyszłorocznych.

Zadaniem banku jest i będzie: 1) zasoby, znajdujące się już dziś w stanie włościańskim, racyonalnie zużywać na pożytek rolnictwa krajowego przez zwrócenie ich ku ziemi rodzinnéj; 2) „wytwarzać nowe zasoby w stanie włościańskim przez danie sposobności do nabywania ziemi i tworzenia nowych, coraz liczniejszych osad rolnych“. Do tych zaś celów prowadzą dwie drogi: *a*) „regulowanie stosunków hypotecznych stanu włościańskiego, *b*) parcelacya folwarków i osadnictwo“.

Dotychczasowa praktyka dowiodła, że ziemi, szukającéj nabywców, jest dużo w rękach właścicieli większych. Nabywców, szukających ziemi, również jest dużo w stanie włościańskim. Pośrednictwo pomiędzy tymi dwoma prądami stanowi właśnie pole działania banku. Nie jest to jednak tak łatwém, jak się komuś na pierwszy rzut oka zdawać może. Właściciele, zgadzający się na sprzedaż, są to zwykle bankruci, którzy pragną otrzymać sumy olbrzymie, aby z rozbitéj fortuny cośkolwiek uratować. Dotychczas jednak polecono bankowi do sprzedania przeszło 82,000 morgów magdeburskich.

Z drugiéj strony spotyka się przeszkodę w trudnościach porozumienia się z nabywcami-włościanami. Zresztą rzecz jest nowa, dosyć nieznana, niewypróbowana. Z biegiem czasu, gdy się już maszyna należycie rozpędzi, te drobne opory znikną. Niemało téż jest przeszkód ze strony władz. Zakładanie nowych budynków wymaga pozwolenia. Wprawdzie odmowa nastąpić może tylko w wypadkach, ściśle przez prawo określonych, pomimo to wszelkie przeszkody, a nawet zwyczajne opóźnienie, nieraz rzecz całą burzą. Pomimo tak krótkiéj praktyki i słabéj działalności z rąk banku, z przyczyny odmowy władz, wysunęło się 4,200 morgów, W jednym wypadku właściciel, nie mogąc uzyskać pozwolenia na kolonizacyą, sprzedał w końcu swój majątek landratowi miejscowemu, z którym się właśnie prawował o pozwolenie; inny z tych samych przyczyn udał się wprost do komisyi kolonizacyjnéj niemieckiéj. Nabrało szczególnego rozgłosu postępowanie władz ze spółką kolonizacyjną w Pinczynie: udzielono pozwolenia na kolonizacyą, a odmówiono na wzniesienie zabudowań, dopiéro wyrok ministeryum absurd ten usunął.

Ciekawe są ustępy w sprawozdaniu o emigracyi. Sądzę, że poznaw-

szy się szczegółowiéj z tą sprawą w dwu ostatnich zeszytach, czytelnicy „Ateneum“ z ciekawością przeczytają kilka następujących wierszy:

„Skonstatować należy — czytamy w sprawozdaniu — że Prusy Zachodnie stosunkowo znacznie większy dostarczają kontyngens popytu na ziemię, niż Księstwo. Ludność tamtejsza jest zamożniejsza, samodzielniejsza i więcéj przedsiębiorcza, niż włościanin wielkopolski, a emigracya z Prus Zachodnich do Ameryki stosunkowo o wiele silniejsza od emigracyi z Księstwa. Podczas gdy z Księstwa w roku 1888 wyemigrowało do Ameryki 12,434 osób tj. 0,7% ogólnéj liczby mieszkańców prowincyi, z Prus Zachodnich wyemigrowało równocześnie 12,616 osób, tj. 0,9%. Różnica uwydatnia się jeszcze więcéj, gdy uwzględnimy, że prawie tylko katolicka ludność emigruje; w stosunku bowiem do téjże procent emigrantów z r. 1888 z Księstwa wynosił 1,1%, natomiast z Prus Zachodnich 1,8%.

„Nie ulega prawie wątpliwości, że trudność nabycia kawałka ziemi jest jednym z motywów emigracyi ludu wiejskiego; a zatém liczba emigrantów jest dla nas na odwrót miarodajną w kwestyi popytu na ziemię i uzasadnia skonstatowany właśnie fakt, że w Prusach Zachodnich reflektantów na ziemię wśród włościan jest znacznie więcéj niż w Księstwie. Tłomaczy się to innym objawem charakterystycznym, że w Księstwie jak dotąd, popyt na ziemię występuje prawie wyłącznie tylko tam, gdzie są zamożni gospodarze, jak w Kościańskiem lub niektórych okolicach Kujaw; podczas gdy w okolicach takich, w których swego czasu grasowało niefortunne skupowanie gospodarstw włościańskich przez dziedziców, popyt jest bardzo słaby. Natomiast w Prusach Zachodnich popyt we wszystkich okolicach, przeważnie polskich, jest dość równy, albowiem tam głównymi nabywcami ziemi są, nie zasiedzieli już gospodarze, tak zwani gburzy, lecz ludzie, którzy dopiéro osiedlić się pragną, a dotąd żyli z najmu lub przemysłu bez stałéj siedziby.

„Podczas gdy w Księstwie parcelacya, jak dotąd, ma szanse powodzenia tylko tam, gdzie zamożni sąsiedzi grunta rozkupić lub dokupić mogą, w Prusach parcelacya jest prototypem istotnéj kolonizacyi tj. tworzenia się nowych zupełnie osad i mnożenia się samodzielnych posiadłości włościańskich.

W Księstwie osadnictwo potrzebuje jeszcze metody wychowawczéj, w Prusach materyał osadniczy jest więcéj gotowy“. *Lus.*

— Wskutek wynikłych w prasie nieporozumień co do treści konkursowego tematu z zapisu Adama Chojnackiego, Cesarski Warszawski Uniwersytet poczytuje za obowiązek rzeczony temat powtórnie ogłosić.

TEMAT PODANY PRZEZ FAKULTET FIZYKO-MATEMATYCZNY dla ubiegania się o nagrodę *Adama Chojnackiego* w latach *1889 — 1891* za dzieło popularne, mające na celu oświatę ludu

„Warunki urodzajności roli“.

Praca przedstawiona na powyższy temat zawierać powinna, w formie przystępnéj dla ludu prostego, odpowiedź na następujące kwestye: 1-sze, rola pod względem geologicznym (mineralogicznym), chemicznym i fizycznym; po 2-gie, uprawa i użyznianie roli: po 3-cie, jaki klimat i jaki grunt sprzyjają uprawie rozmaitych roślin pastewnych i zbożowych; i po 4-te, roślinność ziemi jako wskazówka, że dany grunt odpowiedni jest do uprawy tych lub owych roślin pastewnych albo zbożowych.

Wyciąg z warunków konkursu. Nagroda przyznaną będzie w ilości 900 rs. Dzieło powinno być nadesłane nie późniéj, niż 30 Kwietnia 1891 r. Powinno być napisane w języku ruskim i przez ruskiego poddanego: bądź to już drukowane, bądź też w rękopisie, napisane porządnie i wyraźnie. Wydanie nagrodzonego dzieła w języku ruskim lub polskim, pozostawia się uznaniu autora.

— Sprawozdanie z czynności Biblioteki polskiéj w Rumunii za r. 1889. Mimo wciąż uszczuplającéj się liczby rodaków w ogólności, zwłaszcza mogących lub chcących korzystać z biblioteki, zawsze znalazło się jeszcze 39, którzy w ciągu r. b. przeczytali 985 dzieł, nie licząc czasopism. Tak samo stan finansowy instytucyi jest zadawalniający. Dochód: składki 39 członków, z których 15 uwolnionych od taksy fr. 253,50, dochód z funduszu żelaznego 769, dochód nadzwyczajny 16,30; razem fr. 1038,80. Rozchód: zakupiono książek i czasopism za fr. 339,45, oprawa książek 93 fr., pomieszkanie, opał i światło 420, porto listów i paczek 58,85, rozchód nadzwyczajny 22,50, do żelaznego funduszu dano 51 fr., na rachunek druku książki pamiątkowéj 54 fr., razem fr. 1038,80. Fundusz żelazny na r. 1890 wynosi 7,500 fr., książnica zaś składa się z 4,770 tomów. Jak zawsze tak i w r. b. szczególną opiekę otaczało Bibliotekę dziennikarstwo nasze. Redakcye: „Tygodnika ilustrowanego“, „Wędrowca“, „Słowa“, „Gazety świątecznéj“, „Roli“, „Dziennika dla wszystkich“, „Przyjaciela zwierząt“, „Wieczorów Rodzinnych“, „Prawdy“, „Ateneum“, „Kroniki rodzinnéj“, „Muchy“, „Gazety Narod.“, „Muzeum“. „Zgody“ (z Ameryki), „Gońca“ i „Iskry“ przysyłały swe czasopisma gratis (3 za zwrotem porta); zaś za pół ceny: „Kłosy“, „Biesiada literacka“, „Przegląd tygodniowy“, „Głos“, „Przegląd pedagogiczny“, „Kuryer lwowski“, oraz dzieła nakładowo księgarń warszawskich. Z całą ufnością zwracamy się do prasy naszéj, aby nas poparła w r. 1890, w którym Biblioteka polska w Rumunii święcić będzie 25 rok swego istnienia. W miejsce zwykłych obchodów jubileuszowych zamierzamy wydrukować książkę pamiątkową, zawierającą kronikę biblioteki, oraz artykuły literackie, o które przedewszystkiém opiekunów naszych a potém każdego oceniającego należycie znaczenie téj instytucyi upraszamy.

Jassy 25 grudnia 1889 r. Zarząd Biblioteki polskiéj w Rumunii: prezes dr. J. Łukaszewski; członkowie: ks. B. Chwała, dr. Lippe, A. Gąsiorowski, E. Beldowicz.

NEKROLOGIA.

† **Mieczysław Bierzyński,** ur. 1857 w Kielcach, gdzie też nauki gimnazyalne odbywał. Chodząc na wydział prawny w uniwersytecie warszawskim, który ukończył r. 1881, poświęcił się dziennikarstwu naprzód w „Wędrowcu“, „Ekonomiście“, gdzie drukował rozprawę „Z dziejów miast polskich“ i „Kuryerze Warszawskim“, po tém w „Nowinach“ za redakcyi Bolesława Prusa i „Gazecie Polskiéj“. Pojechawszy następnie w r. 1884 do Kielc, zajął się adwokaturą i pod pseudonimem Czernedy pisał i drukował utwory powieściowe, między innemi: „W zamkniętéj chacie“, „Niepłakany“, „Odmieniec“ (w „Tygodniku ilustrowanym“), „Z pod strzechy wiejskiéj“, „O zmroku“, „Kancelista“, „Warchołek“, „Złodziéj“. Tyfus sprowadził zawczesną śmierć młodego a uzdolnionego pisarza, a zarazem gorliwego działacza w dziedzinie społecznéj. Umarł 9/10 grudnia 1889 r. w Kielcach.

† **Stanisław Smoleński,** urodzony około r. 1850, kształcił się w Krakowie, gdzie skończył wydział medyczny. Pracował naukowo w klinice prof. Korczyńskiego. Prace jego z téj dziedziny są: „Doświadczenia nad działaniem chlorku pilokarpinu“ (Warsz. 1879), „Trzy przypadki następstw ograniczonego przewłocznego zapalenia otrzewny i tkanki podtrzewnéj“ (Warsz. 1880), „Inhalacye rozpylonych płynów, jako sposób wprowadzania leków do miąższu płucnego“ (Krak. 1880), „Hydroterapia a suchoty płucne“ (Krak. 1881). „Sposoby leczenia Celsa“ (1885), „O podstawach hydroterapii“. Był lekarzem zdrojowym naprzód w Gleichenbergu, potém w Jaworze, a w końcu w Szczawnicy. Po stracie żony bolał wielce i wpadł w rozstrój umysłowy. Zmarł 22 grudnia 1889 r. w Krakowie.

† **Stanisław Przyborowski,** urodzony około r. 1844 w Domaszowicach pod Kielcami, do pióra wziął się stosunkowo dość późno, dopiéro około r. 1876. Pisywał artykuły dziennikarskie w różnych czasopismach; próbował i studyów w zakresie literatury polskiéj; jedno z nich o „Maryi“ Malczewskiego pomieściło w swoim cza-

sie „Ateneum“. Nie mogąc znaleźć w dziennikarstwie warszawskiém dostatecznego zajęcia, przeniósł się na prowincyą i pracował przy „Gazecie Radomskiéj“. Umarł w Radomiu w końcu grudnia 1889 r.

† **Ludwika z Zieleńskich Leśniowska,** zmarła w Krakowie w 75 roku życia d. 11 stycznia 1890, zmarła była w bardzo gorliwéj działalności na polu literatury ludowéj, mianowicie od 1859 do 1868. Ogłosiła kilkanaście powiastek historycznych i popularnie przedstawione dzieje Polski dla ludu“, wydawała przez 4 lata „Kolędę dla ludu“, a od 1 kwietnia 1862 do 1 lipca 1868 r. z kilkoma przerwami, „Nowiny ze świata“ w Krakowie. Z powiastek wymienimy: „Cudowna obrona Częstochowy“, „Obrona Wiednia“, „Wojak jakich mało“ (z czasów Stefana Batorego), „Wiśnicz spalony czyli prośba za braćmi Izraelitami“ (1863), „Wytrwałość w pracy i wpływ losu“.



Wydawcy **W. Spasowicz** i **Adolf Pawiński.**—Redaktor **P. Chmielowski.**

OGŁOSZENIA.

ZAPOWIEDŹ „KRAJU."

Redakcya.

Istniejące od r. 1882-go pismo polskie „Kraj“ wychodzić będzie w Petersburgu w roku 1890-ym pod tą samą redakcyą i w dotychczasowym kierunku.

Oprócz Włodzimierza Spasowicza i redaktora „Kraju“ Erazma Piltza, stałymi członkami redakcyi są: Ludomir Grendyszyński (zarazem sekretarz Redakcyi i referent prawny „Kraju“), Tokarzewicz-Hodi (w dziale literackim), Leon Połoński (w dziale polityczno-społecznym) i Wład. Żukowski (referent ekonomiczny „Kraju“).

W Petersburgu korzystamy również z miejscowego współpracownictwa pp. Wilh. Bogusławskiego, Henryka Glińskiego, Jana Łosia, Leona Okręta, Józefa Poznańskiego, Fel. Stronczyńskiego i Fr. Szymańskiego. Po za Petersburgiem „Kraj“ posiada przeszło 200-tu współpracowników i korespondentów.

„Działy Kraju.“

1. *Artykuły wstępne*, pióra Wł. Spasowicza, Leona Połońskiego, Ludomira Grendyszyńskiego, Tokarzewicza-Hodi, Wł. Żukowskiego, Lud. Straszewicza, Ign. Łychowskiego, Er. Piltza, Wład. Wścieklicy i innych.

2. *Artykuły bieżące* współpracowników i korespondentów „Kraju,“ traktujące o bieżących sprawach politycznych i społecznych.

3. *Felieton* zbiorowy z życia bieżącego, politycznego, społecznego i literackiego. Biorą w nim udział wszyscy członkowie redakcyi i wybitniejsi felietoniści warszawscy i zagraniczni.

4. *Dział zagraniczny*, mieszczący w sobie: *a*) *Echa Zachodnie*—listy i informacye od korespondentów „Kraju“ ze Lwowa (Nota), z Krakowa (Średnik), z Poznania (Domarat), ze Szląska (Resurrectus), z Berlina (Konrad), z Wiednia (Tertius), z Paryża (Caro i Zyzma) z Londynu (Latarnik), z Ameryki (Kapral), z Konstantynopola (St. Janczar) i t. d.; *b*) *Ziemie Słowiańskie:* listy korespondentów „Kraju“ z Czech, Słowenii, Chorwacyi, Słowacyi, Serbii, Bułgaryi, oraz „*Echa rusińskie*“ (Taras i Budrys—literackie); *c*) *Kronikę zagraniczną; d*) *Dział polityczny:* Przegląd tygodniowy, informacye i telegramy.

5. *Dział wewnętrzny:* „*Z tygodnia*“ (Słowo wstępne od redakcyi), „*Wiadomości urzędowe*,“ „*Wiadomości petersburskie*“ (Wiadomości Administracyjne, Życie ruskie, Kronika petersburska), „*Kronika Warszawska*“ (listy o sprawach bieżących, listy o literaturze i sztuce; wiadomości bieżące i t. d.), *Rozmaitości* (drobne wiadomości krajowe).

6. *Dział prowincyonalny*. Listy korespondentów „Kraju“: z *Piotrkowa*—Palestranta, z *Lublina*—Juniusa, z *Radomia*—Zrzędy, z *Kalisza*—bina, z *Płocka*—Witimira, z *Łomży*—Tom Fila, i z różnych miejscowości Królestwa; z *Wilna*—St. Wil., Ign. Ludgewskiego, Vestera, Letuwisława i in., z *Białegostoku*—Fr. Glińskiego, z *Grodna*—

Heloty, z *Kowna*—E. G., z *Mińska* — Al. Jelskiego, Servusa i in., z *Witebska*—Fed., z *Mohylowa*—A. S., z *Żytomierza* — B. Markora, z *Kamieńca Podolskiego*—R. P., z *Kijowa*—M. Trzaski i in., z *Odesy*—Wieniawy, Habera, z *Dorpatu*—Świadka, z *Moskwy* — Światowida, z *Tyflisu*—Ks. Dobkiewicza, oraz z różnych miejscowości Kraju Zachodniego, Rosyi Europejskiéj, Kaukazu, Syberyi i w ogóle całego państwa.

7. „*Kurjer Prawny*": sprawozdania sądowe, informacye prawne; „*Kurjer Kościelny*": wieści z Rzymu, zmiany w duchowieństwie; drobne wiadomości krajowe; „*Kurjer Szkolny*": sprawy ogólne życia akademickiego, wyższe i średnie zakłady naukowe; szkoły początkowe.

8. „*Ekonomista*": przegląd tygodniowy, artykuły ekonomiczne, listy korespondentów „Kraju," pośrednictwo w pracy, ruch własności ziemskiéj, drobne wiadomości ekonomiczne, sprawozdania giełdowe, rynki zbożowe i towarowe.

9. *Doniesienia*, odpowiedzi od redakcyi, zaślubiny, nekrologia i ogłoszenia.

„Przegląd Literacki" (Dodatek do „Kraju").

Od lat dwóch wychodzi przy „Kraju," bez oddzielnéj dopłaty, osobny dodatek (16-cie stronic) z charakterem samodzielnego pisma—„*Przegląd Literacki*". „Przegląd Literacki" stawia sobie to samo zadanie w sferze literackiéj, co „Kraj" w dziedzinie polityczno-społecznéj: być systematycznym, wiernym i żywym sprawozdawcą ruchu literackiego polskiego.

Warunki przedpłaty:

„*Kraj*" z „*Przeglądem Literackim*", wychodzi raz na tydzień w piątek. Prenumeratorzy prowincyonalni w Królestwie, Kraju Zachodnim i Nadbaltyckim otrzymują go w niedzielę rano. „Kraj" wraz z „Przeglądem Literackim" składa się z 40-tu stronic.

Przedpłata „*Kraju*" wraz z „*Przeglądem Literackim*" wynosi w Petersburgu: rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie 2 rs. 50 kop. Na prowincyi w Cesarstwie i Królestwie rocznie rs. 12, półr. rs. 6, kwart. rs. 3. Przedpłatę najlepiéj wysyłać bezpośrednio pod adresem: Petersburg „Kraj".

Warszawscy prenumeratorzy mogą składać przedpłatę w Księgarniach: Gebethnera i Wolffa, M. Orgelbranda, E. Wendego, G. Sennewalda, K. Prószyńskiego, G. Centnerszwera, T. Paprockiego oraz w Biurze ogłoszeń Rajchmana i Frendlera, Senatorska, 26.

O G Ł O S Z E N I A.

Ogłoszenia do „Kraju", jako do pisma najbardziéj ze wszystkich pism politycznych rozpowszechnionego, przedstawiają interes dla przemysłowców, kupców i t. d.

CENNIK OGŁOSZEŃ: 15 kop. od wiersza drobnym drukiem, 30 kop. od wiersza reklamy w rubryce „Doniesień". Ogłoszenia do „Kraju" przyjmuje Biuro ogłoszeń Rajchmana i Frendlera w Warszawie, Senatorska, 26. Prenumeratę i ogłoszenia składać i przesyłać należy pod adresem: Petersburg „Kraj", Kazańska, 26.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 12 Января 1890 года.